tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 14 (1213)
3-10.04.2023
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

NUMER NA WIELKANOC

MAREK BOROWSKI
ZAWSZE MARZYŁEM O DEMOKRACJI

MATEUSZ MAZZINI
ROMANS KOŚCIOŁA Z PINOCHETEM

ROLNICY TOPIENI PRZEZ WŁADZĘ

JACEK PAŁKIEWICZ
PODRÓŻ PRZEZ PUSTYNIĘ GOBI

PROF. LESZEK KUK
POLEMIKA Z ANNE APPLEBAUM

TRENER SANTOS WIETRZY KADRĘ

KATARZYNA DOWBOR

PRAWIE 300 DOMÓW

DLA LUDZI W POTRZEBIE

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
14 >
9 771509 311300

eprasa.pl 661d6f3dbf

SPĘDŹ ŚWIĘTA Z NAMI!

Sklep PRZEGLĄDU
zawsze w zasięgu ręki

BOGATA OFERTA I NAJLEPSZE CENY:

PRENUMERATA ELEKTRONICZNA
subskrybuj lub prenumeruj
nowy numer dostępny już w każdą sobotę

E-WYDANIA
aktualne i archiwalne numery tygodnika

KSIĄŻKI I E-BOOKI
czytaj na papierze lub na swoim urządzeniu

ZDANIE
elektroniczna wersja kwartalnika

Przegląd

Jeśli możesz, wesprzyj naszą działalność.
*Podczas składania zamówienia w sklepie internetowym dodaj do koszyka produkt **DAROWIZNA**.*
*Prosimy także o wpłaty na konto: **72 1090 2851 0000 0001 2023 9821** Fundacja Oratio Recta.*
Za każdą pomoc serdecznie dziękujemy!

Jerzy Domański

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 661d6f3dbf

Jerzy Domański

Pękanie bastionu

W polskiej tradycji święta to spotkania z rodziną przy suto zastawionym stole. Tak będzie i teraz. A jak już Polacy się spotkają, to o czym będą rozmawiać? O cenach. To, co na stole, jest coraz droższe. Ceny gonią za wysoką inflacją. A wieś, gdzie większość z nas ma swoje korzenie i gdzie wielu spędzi święta, ma mnóstwo powodów do narzekania. Tak marnie nie było tam od lat. Gdzie się odwrócić – kolejny problem. Festiwal obietnic wicepremiera Kowalczyka okazał się obłudnym festiwalem kłamstw. Nieudolność ekipy odpowiadającej za rolnictwo jest jedną z głównych przyczyn katastrofy, jaka spotkała rolników. Zebrać w jednym miejscu tylu ignorantów i organizacyjnych impotentów to wielka sztuka. A dorzucenie Janusza Kowalskiego z Solidarnej Polski to pokazanie rolnikom, że władza może z nimi robić, co zechce. Widzimy jednak, że nie może. Ta część rolników, którzy jeszcze nas żywią, ostro zaprotestowała. Nie mają wyboru. Przy takiej polityce rolnej pójdą z torbami. Wywraca się megalomańskie przekonanie władzy, że wieś jest z PiS związana na zawsze. Politycy tej partii za bardzo uwierzyli w słowa prezesa Kaczyńskiego, że „chłop jest pazerny i jeśli dostanie parę groszy, to na nas zagłosuje”.

Opozycja przed wyborami powinna postawić w każdej wsi baner z tym cytatem. Efekt gwarantowany. Ochłapami nie da się już rolników uspokoić. Główną przyczyną krachu na rynku zbóż, a za chwilę mleka, mięsa, owoców itp., jest niekontrolowany wwóz do Polski z Ukrainy wszystkiego, na czym da się zarobić. Pierwszy warunek realnej poprawy sytuacji to decyzje polityczne w sprawie granicy. Opowieści, że nasze porty mogą wywieźć miliony ton ukraińskiego zboża, to tylko brednie. Jeśli nie da się wprowadzić cła, to trzeba jasno powiedzieć polskim rolnikom, że taka jest polityka, a oni są jej ofiarą. A konsumentom, że jest tak drogo, bo taka jest cena tej wojny.

Jeszcze raz apeluję o stworzenie silnego państwowego banku rolnego. Bez niego nic sensownego się nie stanie. A PKO BP, które zdaniem Kowalczyka miało coś zrobić dla wsi, kpi sobie z niego. I, co gorsza, z rolników.

Naszym Czytelnikom życzymy miłego świętowania i smacznego jajka.
Zespół „Przeglądu”

BĄKOWSKI

eprasa.pl 661d6f3dbf

W NUMERZE

KRAJ

8 **Ile Kaczyńskiego w PiS, ile PiS w Kaczyńskim?**
Kto kogo ukształtował

11 **Utopieni przez władzę**
Rolnicy kontra ukraińskie zboże

14 **Platformę Obywatelską uważam za partię centrolewicy**
– rozmowa z Markiem Borowskim

20 **Trzecia siła czy sondażowa anomalia?**
Skąd te sukcesy Konfederacji

MEDIA

24 **Dla ludzi w potrzebie**
– rozmowa z Katarzyną Dowbor

ZAGRANICA

28 **Episkopat i dyktatura**
Kościół katolicki w Chile

33 **Prywatny sąd czy prywatne bojówki?**
Izrael a reforma sądownictwa

OPINIE

36 **Leszek Kuk**
Ostrożnie, Ukraina!

SPORT

42 **To nie będzie klub weteranów**
Wietrzenie kadry

OBSERWACJE

44 **Ksiądz Bar otwiera bar**
Posiłki z bydgoskiej bazyliki

49 **Cmentarzysko dinozaurów**
Jacek Pałkiewicz na pustyni Gobi

ZWIERZĘTA

52 **Ta jedna, co wiosny nie czyni**
Witamy jaskółki

KULTURA

56 **Da Vinci naszych czasów**
– rozmowa z Lechem Majewskim

60 **Qulturalia**

66 **Lipińskich dwóch**

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Pękanie bastionu

19 **Andrzej Szahaj**
Za długie rządy samorządowców (nawet najlepszych)

23 **Roman Kurkiewicz**
Ludowa historia mojego Taty

35 **Stanisław Filipowicz**
Kultura jako źródło cierpień

39 **Tomasz Jastrun**
Warsztat naprawczy

41 **Wojciech Kuczok**
Święto wiosny

48 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Rozrusznik

49

OBSERWACJE

CMENTARZYSKO DINOZAURÓW

Jacek Pałkiewicz na pustyni Gobi

52

ZWIERZĘTA

TA JEDNA, CO WIOSNY NIE CZYNI

Witamy jaskółki

56

KULTURA

DA VINCI NASZYCH CZASÓW

– rozmowa z Lechem Majewskim

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. KRZYSZTOF OPALIŃSKI /POLSAT

eprasa.pl 661d6f3dbf

To nie będą wybory, to będzie plebiscyt

Wybory do władz są wtedy, gdy w okręgach wybieramy naszych przedstawicieli. Ani obecnie, ani przedtem tak nie było. Odkąd pamiętam, to zawsze był plebiscyt, czyli wyrażenie woli, której bandzie/partii chcemy dać wolną rękę do rządzenia nami i decydowania o nas.

Od lat te plebiscyty sprowadzały społeczeństwo do pierwotnych emocji: ludzie szli głosować przeciw. Jak mogę brać udział w takich „wyborach", skoro kandydaci na listach są zatwierdzani przez warszawskie centrale partyjne, a nie przez lokalne organizacje?

To nie będą wybory, to będzie plebiscyt

Józef Brzozowski

•

Dla większości posłów Sejm jest zwyczajnym zakładem pracy z nadzwyczajnymi honorariami i uprawnieniami. Z władzą ma to niewiele wspólnego. Walczą o swoje etaty i „pracę" bez żadnej odpowiedzialności. W tym celu muszą przejść prawdziwe wybory – nominowanie przez ich partyjnych szefów na listę wyborczą. Z punktu widzenia obywatela wyborcy to ani demokracja, ani wybory. Nie jest to też plebiscyt. Jest to gra pozorów, festiwal zakłamania i giełda oszustw.

Piotr Krzeszewski

Leczmy przyczyny, a nie skutki

Leczmy przyczyny, a nie skutki

Nie sądzę, by ubóstwo, złe warunki czy nawet przemoc były głównymi przyczynami depresji. Przeczy temu fakt, że depresja dotyka najbardziej społeczeństwa krajów najlepiej rozwiniętych. To w Europie Zachodniej i w USA, a nie w krajach Trzeciego Świata, ogromna część populacji może funkcjonować tylko dzięki antydepresantom. Funkcjonować, a nie żyć. I to właśnie definiuje różnice między tymi kulturami. W bogatych krajach osoba z depresją jest problemem dla społeczeństwa, rodziny, nawet najbliższych, bo przestaje funkcjonować. Wszyscy chcą jak najszybciej przywrócić ją do funkcjonowania i wypełniania obowiązków. Jej samej także to dotyczy. Stąd presja na leczenie farmakologiczne. Tam, gdzie człowieka nie ocenia się wyłącznie po tym, czy jest odpowiedzialny, skuteczny, czy osiąga sukcesy, i gdzie ludzie bardziej żyją ze sobą, kiedy ktoś traci radość życia, nie wrzuca mu się na plecy jeszcze jednego obowiązku: wylecz się i wracaj do stada normalnych. Tam ludzie z jego otoczenia sięgają do przyczyn, okazują mu swoją troskę i pocieszenie, starają się, by dostrzegł sens i odzyskał radość życia, bycia wśród nich. Tam depresja prawie nie występuje, a jeśli już, to zwykle jako efekt urazów lub uszkodzeń układu nerwowego.

Konrad Reszczyk

•

Nie brałam i nie biorę żadnych leków. Jak się pracuje między ludźmi, a w domu opiekuje chorym, to trzeba mieć jasny umysł. Na potrzeby pracy i bycia poza domem opanowałam dobre granie. Rozmawiam, śmieję się i jak mogę, to pomogę. W domu stawia mnie do pionu mąż w stanie bardzo ciężkim, którym się opiekuję. Nocami wyję do ściany. I tak od siedmiu lat. Można; jak trzeba, to wszystko można.

Dorota Bajek

ZDJĘCIE TYGODNIA

Prezentacja wyników 31. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, podczas którego zbierano pieniądze na walkę z sepsą. Warszawa, 31 marca 2023 r.

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 661d6f3dbf

Ponad **365 tys. Polek i Polaków** ma emeryturę niższą od minimalnej, czyli **1445 zł netto.** W 2013 r. takich emerytur było 91 tys., a ich przyrost wiąże się z przechodzeniem na emeryturę osób z nowego systemu emerytalnego. Dostaje się tyle pieniędzy, ile składek się odłożyło.

•

Radosław Piesiewicz to kolejna osoba związana z obozem PiS, która celuje w najwyższe stanowiska w sporcie. Tym razem chodzi o prezesurę PKOl, a metodą jest obiecywanie zwiększenia jego budżetu z 30 do 300 mln zł. Kasę mają wyłożyć spółki skarbu państwa. A jak PiS straci władzę, to PKOl zostanie na lodzie. Z prezesem mitomanem.

•

Błażej Kmieciak zrezygnował z funkcji przewodniczącego Państwowej Komisji ds. Pedofilii, pozostając w jej siedmioosobowym składzie. Często krytykował postawę Kościoła, który utrudniał postępowanie w sprawie pedofilii duchownych.

•

Komisja Europejska wystąpiła przeciwko Polsce do Trybunału Sprawiedliwości UE z powodu nieimplementowania dyrektywy w sprawie prawa autorskiego na jednolitym rynku cyfrowym. Dyrektywa wzmacnia prawa wydawców i twórców wobec koncernów internetowych. Mogą oni się domagać wynagrodzenia od portali internetowych i wyszukiwarek typu Google News, dostarczających za darmo treści gazet.

•

Na 107 tys. funkcjonariuszy, których powinna mieć policja, prawie **13 tys. stanowisk to wakaty.** W tym roku odeszło ze służby 6,5 tys. policjantów, a przyjęto tylko 772. Największe braki są w Warszawie (1,9 tys.) oraz w Łodzi, Poznaniu, Krakowie i Gdańsku.

•

W obecnej kadencji Sejmu działają aż **64 podkomisje.** Choć termin „działają" może wprowadzać w błąd, jako że większość w ogóle nie jest zwoływana. Po co więc tak się mnożą? Kasa, misie, kasa. Przewodniczący podkomisji dostaje 10% swojej pensji (ok. 1,2 tys. zł miesięcznie). Wśród największych leni są Ewa Malik, Monika Pawłowska i Witold Czarnecki (wszyscy oczywiście z PiS).

•

Rolnicy domagają się ujawnienia podmiotów, które sprowadziły do Polski zboże z Ukrainy. Rząd PiS bagatelizował ostrzeżenia organizacji rolniczych, gdy te informowały o ciągle mających miejsce patologiach.

•

Do czego doprowadził desant Solidarnej Polski na Lasy Państwowe, pokazali jej wybrańcy na konferencji prasowej, próbując wmówić zebranym, że **„w Polsce nie ma czegoś takiego jak Puszcza Karpacka".** Jeśli tej puszczy nie ma, to partia Ziobry jest tylko makabrycznym snem.

•

Znany z wielu afer ekspisowiec Adam Hofman wraca do łask. Może potrzebują go na wybory? Na początek związany z nim Robert Pietryszyn został przewodniczącym rady nadzorczej państwowego giganta PKO BP. Na funkcję wyznaczył go minister aktywów państwowych.

PRZEBŁYSKI

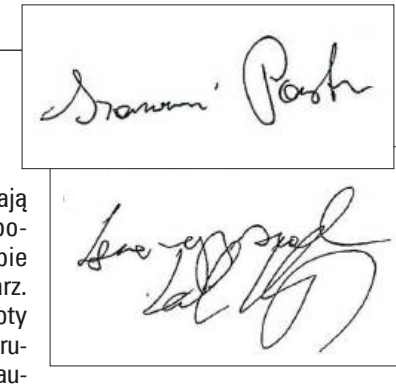

Szukamy autora

Święta to niezły czas na zadania prawie beznadziejne. Choćby takie. Odręczne pismo nieznanej treści. Starsi czytelnicy pamiętają jeszcze recepty lekarskie w podobnym stylu. Może więc sobie poradzą. Choć autor to nie lekarz. A może młodsi zaprzęgną do roboty sztuczną inteligencję? Kto rozszyfruje tekst i trafnie wytypuje jego autora, dostanie jedną z naszych książek. Do wyboru.

Od IPN do OPZZ

Gdy Bartosz Rydliński zabiegał o miejsce w Kolegium IPN, pisaliśmy, że jest to kompletnie bez sensu. Szans na tę posadę nie miał żadnych. Ośmieszał tylko siebie i Lewicę, którą podobno reprezentuje.

Śladowe poparcie dla Nowej Lewicy pokazuje, że wyborcy nie akceptują polityków, którzy mają poglądy tak rozciągliwe jak guma do majtek.

Nie udało się Rydlińskiemu załapać do IPN, więc przykleił się do OPZZ. Z grupką posłów Lewicy zaangażował się w wyeliminowanie przewodniczącego OPZZ Andrzeja Radzikowskiego. Metodami, za które tak chętnie krytykuje pisowców, udało się. Nowy przewodniczący Piotr Ostrowski ma obiecane miejsce w Sejmie. A za „pomoc" płaci posadami w OPZZ i upychaniem wskazanych ludzi tam, gdzie jest jakaś kasa.

Wyrywanie kasy na Sasa

Będzie konkurs. I to międzynarodowy. Po dwóch latach od przyjęcia najdroższej i najgłupszej specustawy w historii odbudowywania ruin. Tylko rząd wie, jaki sens ma wydanie 2,4 mld zł! A pewnie dojdzie do 4 mld. Powszechna opinia architektów o przedwojennym pałacu Saskim sprowadza się do jednego słowa: badziewie. Nie wiadomo, co ma być w tym cepeliowskim pałacyku. No bo ogłoszenie, że znajdzie się tam pięć instytucji nadzorowanych przez Ministerstwo Kultury, to żałosna kpina. Muzeum Narodowe, Muzeum Historii Polski, Zachęta, Instytut Chopina i Biuro „Niepodległa" – wszystkie mają już swoje siedziby.

Kasa płynie szeroko. Zarabia zarząd spółki Pałac Saski z prezesem Janem Edmundem Kowalskim (30 tys. zł miesięcznie). Zarobią też architekci, którzy spróbują ożywić ten saski kurnik. A niepełnosprawni ciągle będą żebrać o parę złotych.

Rzecznik na kolanach

Słyszymy, że wybór Mikołaja Pawlaka na rzecznika praw dziecka był ryzykownym eksperymentem. Dla dzieci z pewnością. Bo to nie ich rzecznik, ale granat bez zawleczki.

Jednak dla tych, którzy go powołali, Pawlak jest cenny. Przełknie nawet największą głupotę. A na widok biskupiej peleryny zawsze stanie na baczność. Nauczył się tego, gdy przez ponad 10 lat pracował jako adwokat przy sądach kościelnych i pomagał unieważniać małżeństwa. Jeszcze większego respektu dla hierarchów nabrał, gdy pisał pracę magisterską u abp. Andrzeja Dzięgi. Tegoż Dzięgi, który chronił pedofila ks. Dymera.

Niestety, Pawlak jest nieodwoływalny, póki rządzi PiS. I póki wyborcom PiS taki rzecznik, również ich dzieci, nie wadzi.

FOT. ARCHIWUM (2), MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 661d6f3dbf

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Co Polacy najczęściej tatuują na ciele?

ALBERT MAZOWIECKI,
tatuażysta, Fat Bunny Tattoo

Około 70 lat temu, jeszcze przed popularyzacją tatuowania, każdy tatuaż był czymś wyjątkowym. Dziś wytatuowano już prawie wszystko. Każdy kolejny nawet autorski wzór jest wariacją na temat tego, co już było. Ponadczasowymi motywami są czaszki i kwiaty. Obecnie ludzie tatuują sobie to, co jest akurat modne w mediach społecznościowych. Siedem lat temu najpopularniejszym motywem wśród mężczyzn były sowy i jelenie. Potem przyszła moda na motywy leśne i wilki. Między tatuażystami zmieniło się to w pewnym momencie w żart. Jak klient przychodził i mówił, że chciałby na przedramieniu coś z lasem, to w ciemno można było powiedzieć, że skończy się na wilku z drzewami w tle. Dziś, w dobie kryzysu, o tatuażach decydują przede wszystkim względy finansowe. Dlatego robi się teraz sporo małych i prostych tatuaży, które odpowiednio mniej kosztują.

KATARZYNA KUCEWICZ,
psycholożka, psychoterapeutka

Dawniej tatuaże kojarzono przede wszystkim z kulturą więzienną, a z psychologicznego punktu widzenia traktowano je wtedy jako uzewnętrznienie problemów natury osobowościowej. Myślano o nich jako o formie samookaleczania się czy zadawaniu sobie kontrolowanego cierpienia, a to oczywiście bywa związane z nagromadzeniem w sobie różnych negatywnych emocji. Jednak dziś nierzadko mówi się, że tatuaż jest sposobem na wyrażenie siebie, niekoniecznie wtedy, kiedy mamy jakieś emocjonalne dylematy czy problemy. Tatuaże pełnią dzisiaj bardzo różne funkcje. Jedni chcą coś manifestować, drudzy coś upamiętnić. Psychologowie też miewają tatuaże, więc odchodzi się już od poglądu, że tatuaż świadczy o problemie emocjonalnym. Sama rozmawiam z pacjentami o ich tatuażach. To często dobry punkt wyjścia do autorefleksji.

ADAM JARCZYŃSKI,
ekspert od savoir-vivre'u

Można powiedzieć, że tatuaż wszedł na salony, wybiegł na boiska, od dawna błyszczy na ekranie, już o mediach społecznościowych nie wspominając. Dookoła mamy sporo pięknych tatuaży, skomplikowanych, ale również podążających za modą, co pozwala na większą akceptację w społeczeństwie (syndrom mamby – jak ma celebryta, mam i ja).

A co na to savoir-vivre? Jeżeli spojrzymy na to z klasycznej, konserwatywnej perspektywy, to usłyszmy, że powinniśmy unikać zwracania uwagi na swoje zachowanie, na to, jak wyglądamy. Tatuaż, ten odkryty, np. na twarzy czy szyi, często jest w kontrze do bontonowego założenia i mówi, a nawet krzyczy. Czy to gafa? Nie, ale jak już krzyczy, to przynajmniej niech nie popełnia błędów językowych i nie obraża innych.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 661d6f3dbf

Kaczyński zaszczepił w PiS przekonanie, że wróg nie jest czegokolwiek godzien. Nz. na gali Człowiek Roku „Gazety Polskiej", 16 lutego 2020 r.

Ile Kaczyńskiego w PiS, ile PiS w Kaczyńskim?

Czy Jarosław Kaczyński stworzył PiS, czy przeciwnie – to PiS ukształtowało Kaczyńskiego?

Robert Walenciak

Pytanie nie jest akademickie. Ono ma swoją wagę. Jeżeli bowiem uznamy, że to Kaczyński stworzył PiS, narzucił wielkiej partii swój sposób myślenia, postrzegania świata, zdejmiemy w jakimś stopniu z członków i sympatyków PiS, nie mówiąc o wyborcach, odium złych spraw i błędów, które ta formacja popełniła. Bo to nie oni – tylko on. Oni mogą być dobrzy, ale zostali omamieni, oszukani. Jeśli natomiast przyjmiemy, że jest wręcz przeciwnie – że Kaczyński, by być skuteczny w polityce, musiał się upodobnić do wyborców, myśleć jak oni, mówić jak oni, postępować jak oni, sytuacja będzie inna. Wówczas pisowskie skandale staną się błahe. Bo przecież Kaczyński nie robił nic nadzwyczajnego, taka jest Polska.

To jak było? Spójrzmy na filary państwa PiS. Zastanówmy się, skąd się wzięły. Wtedy o odpowiedź będzie łatwiej.

1. Równi i równiejsi

Rzecz wiadoma od zawsze – demokracja ma wadę. Górą są w niej lepiej wykształceni, zasobniejsi, mówiąc językiem ludu: bardziej wygadani i lepiej ustawieni, potrafiący wykorzystać mechanizm państwa. W sytuacjach kryzysu, przemian to oni radzą sobie lepiej, ofiarą padają wówczas ci z najmniejszymi zasobami – kulturowymi, finansowymi, społecznymi – bo nie wiedzą, jak działać, i nikt ich nie broni. Tak było w Polsce lat 90. (i w ogóle w byłych państwach socjalistycznych) i na tę przypadłość miał swoją receptę Kaczyński. Dokończenie solidarnościowej rewolucji. A kto miał ją dokończyć, rozbić stare struktury? Ludzie Kaczyńskiego.

Ludwik Dorn sformułował nawet projekt grupy „tysiąca sprawiedliwych", czyli tysiąca funkcjonariuszy państwa, którzy mieliby nadzwyczajne uprawnienia, byliby ponad prawem i działali w imię ludu. Nie wiem, czy zdawał sobie sprawę, że powtarza ideę zawartą w „Poemacie pedagogicznym" Antona Makarenki – tam także pojawiała się podobna grupa, ludzi uczciwych, wyjątkowych, pogromców nieuczciwości – byli to funkcjonariusze NKWD. Tak czy inaczej, tego już się nie dowiemy.

Ważniejsze jest coś innego. Otóż Kaczyński stworzył opowieść, że w momencie przełomu pojawiła się grupa ludzi nieuczciwych, wywodząca się z dawnego aparatu PZPR, która wykorzystała nabyte umiejętności

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA/FORUM

eprasa.pl 661d6f3dbf

do zagrabienia części majątku narodowego. I teraz obowiązkiem stało się odebrać im Polskę. „Czyja Polska?!", wołał 4 czerwca 1992 r. w Sejmie odwoływany premier Jan Olszewski. A Kaczyński opowiadał o spółkach nomenklaturowych. Potem zresztą do grona „nomenklatury", do grona ludzi złych, dołączał kolejnych wrogów – WSI, byłych esbeków, „różowych", czyli Unię Wolności, Donalda Tuska.

Tę myśl powtórzy później, mówiąc, że Polskę trzeba odrobaczać, były marszałek Sejmu Marek Kuchciński na spotkaniu z wyborcami w Kraśniku. Tym odrobaczaniem jest wyrzucanie z funkcji, ze stanowisk ludzi Platformy, lewicy, PSL. Tę myśl, faszystowską przecież, mogliśmy usłyszeć również nie tak dawno z ust minister klimatu Anny Moskwy. Ona z kolei mówiła o ludziach, którym powinno się odbierać paszporty, bo za granicą źle mówią o Polsce (to znaczy o PiS, ale ona tego nie rozróżnia). Rezonowała zresztą w rytm zadawanych jej w tej sprawie pytań.

Tak oto Kaczyński zaszczepił w PiS przekonanie, że wróg nie jest czegokolwiek godzien.

2. Brudna ścierka

I nie dość, że nie jest czegokolwiek godzien, to jeszcze walka z tym wrogiem, choćby prowadzona nieuczciwymi metodami, jest słuszna.

PiS ma prawo się bogacić, nawet w podejrzany sposób. Ludzie PiS mają prawo grać nie fair, nikt zresztą czystej gry od nich nie wymaga. Kaczyński opisał to co najmniej na dwa sposoby. W rozmowie z Teresą Torańską mówił, że „jakbyśmy grali uczciwie, to nic byśmy nie osiągnęli". Innym razem tłumaczył, że brudną ścierką też można sprzątać.

Te zasady to podstawa PiS. Brudna szmata? Kaczyński w polityce kadrowej kieruje się prostą zasadą użyteczności. Tak skompromitowane postacie jak Łukasz Mejza, Ryszard Czarnecki czy Dominik Tarczyński mogą się czuć bezkarne, bo służą PiS. Kaczyński może opowiadać, że PZPR i SB to największe zło – a jednocześnie wśród jego najważniejszych współpracowników mamy Kazimierza Kujdę, prokuratora Piotrowicza, panią Basię czy ambasadora Przyłębskiego. Kaczyński i jego ludzie mogą opowiadać, że byli inwigilowani w latach 90. przez grupę płk. Lesiaka, a zarazem aprobują podsłuchiwanie opozycji za pomocą zakupionego w Izraelu systemu Pegasus.

Wszystko, co służy partii, jest moralnie słuszne. A co stoi na jej drodze – jest złe.

Liderzy PiS mogli więc być przekonani, że w Smoleńsku mieliśmy katastrofę lotniczą, w której śmierć poniósł m.in. prezydent Lech Kaczyński, ale i tak nie mieli (i nie mają) żadnych zahamowań, by mówić o zamachu i podgrzewać związane z katastrofą emocje. To jest ta brudna ścierka.

3. Jedna telewizja, jedna racja

Mniej więcej rok przed zdobyciem przez PiS władzy rozmawiałem z dziennikarzem pracującym w TV Republika, prawicowej stacji programowo popierającej PiS. Opowiadał on taką historię: otóż program był tak skonstruowany, że najpierw była dyskusja publicystów, trzech związanych z prawicą i jednego kojarzonego z sympatii do PO. Po nich na antenę miała wejść rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim. Prezes przyszedł do studia kilkanaście minut wcześniej i przyglądał się dyskusji. W pewnym momencie zapytał, po co tu jest ten od PO. Towarzyszący mu dziennikarz zaczął tłumaczyć, że to ożywia program, że należy prezentować różne punkty widzenia, poza tym ten jeden i tak polegnie, a przynajmniej zostanie zakrzyczany. Kaczyński wysłuchał, po czym odparł, że to bez sensu. Nie ma potrzeby zapraszać kogokolwiek innego, „obcego". Przekaz powinien być jednoznaczny.

I tak się stało z TVP. Gdy PiS wzięło władzę, błyskawicznie podporządkowało sobie telewizję publiczną i Polskie Radio, robiąc z nich maszyny propagandowe. Media publiczne są więc dowodem na to, jak Kaczyński wyobraża sobie rolę mediów w państwie.

A że prowadzić to może do tragedii, jaką było zaszczucie syna posłanki Filiks, 16-letniego chłopca, nikogo w PiS nie rusza. Dziennikarz, który sprawę rozpoczął, Tomasz Duklanowski z Radia Szczecin, nie tylko nie tłumaczy się z haniebnego czynu, ale wciąż kieruje radiem i – pewnie w przekonaniu, że prowadzi ważną wojnę – dalej szczuje na ludzi opozycji.

Dlatego nie mam złudzeń – tego, że ja, Robert Walenciak, i grono kilkuset dziennikarzy w tym kraju nadal może coś napisać i coś powiedzieć, nie gwarantuje nam kształt państwa, który wszyscy akceptują. Po prostu Kaczyński nie ma jeszcze wystarczającej siły, by nas przykneblować. Rączki ma za krótkie. Ale gdyby mógł, toby przykneblował. Tak jak to zrobił Orbán na Węgrzech czy Erdoğan w Turcji.

4. Najlepszy obrońca Kościoła

Są jednak dziedziny, w których Kaczyński postępuje inaczej niż wtedy, gdy rozpoczynał karierę polityczną. Taką sferą jest Kościół i religia. I żeby była jasność – Kaczyński od początków III RP przedstawiał się jako polityk bliski Kościołowi, ale próbował utrzymywać pewien dystans. Był gotów zrezygnować z lekcji religii w szkołach albo zakwalifikować je jako zajęcia dodatkowe. Ostro krytykował Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, określając jego działania jako najkrótszą drogę do dechrystianizacji Polski. W późniejszych latach atakował ks. Tadeusza Rydzyka i jego rozgłośnię. Sugerował też, że Rydzyk ma powiązania z rosyjskimi służbami specjalnymi.

To się zmieniło. PiS przedstawia się jako główny obrońca Kościoła w Polsce. Jako gwarant jego pozycji. A Rydzyk jest głównym sojusznikiem Kaczyńskiego. Dziś zresztą sojusznikiem Kaczyńskiego jest także Jan Paweł II – bo po emisji filmu „Franciszkańska 3" PiS zaangażowało się w operację walki o dobre imię papieża. To Kaczyński patronuje manifestacjom w obronie Jana Pawła II, tak jak patronował akcji obrony kościołów, gdy wybuchły protesty kobiet w 2020 r.

Można rzec, że w sprawach stosunków państwo-Kościół Kaczyński skręcił w kierunku, w którym wcześniej szło ZChN. I pojechał dalej.

eprasa.pl 661d6f3dbf

5. Przywódca ludu

PC, pierwsza partia Kaczyńskiego, miało być w założeniu ugrupowaniem centrowym, zorganizowanym wokół inteligencji, ale tej bliższej Kościołowi. Dzisiaj PiS jest partią, której trzon wyborców to mieszkańcy średnich i mniejszych miejscowości, gorzej wykształceni i mniej zarabiający niż wyborcy PO czy lewicowi.

Kaczyński postawił na elektorat ludowy. To nie nastąpiło szybko, było wieloletnim procesem. Pomógł w tym okres rządów koalicji PiS-Samoobrona-LPR z lat 2005-2007. Wtedy to, można rzec, na plecach koalicjantów Kaczyński przejął wyborców bliskich Kościołowi i tych związanych z wsią. Z kolei Solidarność, którą PiS faktycznie przejęło i podporządkowało sobie, okazała się dobrą trampoliną, by doskoczyć do środowisk robotniczych.

Ważnym etapem przechodzenia Kaczyńskiego w stronę elektoratu mniej zamożnego były rządy Platformy (2007-2015). PO czerpała wówczas polityczny napęd, kreując się jako siła, wobec której nie ma alternatywy (słynne słowa Tuska, że nie ma z kim przegrać) i która realizuje plan pogoni za bogatą Europą. Nie za bardzo patrząc na społeczne koszty tej pogoni. Kaczyński zaatakował więc PO w imieniu tych, którzy czuli się zepchnięci na boczny tor. Zbudował i konsekwentnie utrzymał narrację, że spór PO-PiS to wojna między Polską liberalną a Polską solidarną, socjalną.

Nie ma co ukrywać – to był polityczny wehikuł, bardzo udany, ale przecież nieautentyczny. Kaczyński nie ma nic wspólnego z klasami ludowymi, sam pogardliwie nazywał Tuska „chłopcem z podwórka", podkreślając swoje inteligenckie pochodzenie. Widzimy zresztą na różnych obrazkach, jak źle się czuje podczas objazdów po kraju, zapraszany na rosół i schabowego. To nie są jego klimaty. Ale przełamuje się i wyciąga z sytuacji, ile się da. To jego siła.

Tę elastyczność doskonale widać w sprawie Ukrainy. W roku 2014 Kaczyński pojechał do Kijowa, występował na Majdanie i krzyczał „Sława Ukrainie!". Gdy rządził, dokonał zwrotu, stosunki z Ukrainą za PiS były na najniższym poziomie, a minister Waszczykowski mówił Ukraińcom, że z Banderą to oni do Europy nie wejdą. Dzień 24 lutego 2022 r. zmienił perspektywę. Polska poparła Kijów, strofując Europę, że nie chce bardziej się angażować w pomoc Ukrainie. Ale na to nakłada się obecny kryzys – import zboża z Ukrainy, które zapchało magazyny w Polsce. Wobec tego premier Morawiecki ogłasza, że na zboże ukraińskie zostanie nałożone cło. Można zatem rzec, że stosunek PiS do Ukrainy jest funkcją nastrojów społecznych.

6. Bat na odmieńców

Tych obrazków mogliśmy się naoglądać do woli – podczas objazdu po Polsce Kaczyński wyciągał z uporem temat osób LGBT i snuł ku radości zgromadzonych działaczy opowieści, że ktoś był Władysławem, a zaraz potem jest Zosią. Szczucie na niewinnych ludzi to jeden z ostatnich wynalazków politycznych Kaczyńskiego. Można mniemać, że dopasował się tu do nastrojów prawicowego elektoratu. I pogłębił związane z tym strachy i fobie. Wrogość wobec obcego i odmieńca. Wobec inności. Pogardę tłumu wobec słabszego. Strach przed innym i nowym wykorzystał także, budując kolejny filar określający miejsce PiS na polskiej scenie – niechęć do Unii Europejskiej i do Niemców.

Dla PiS to niełatwa sytuacja, Polacy bowiem w większości są za obecnością w UE, uważają, że to wielkie osiągnięcie. W dodatku PiS, realizując wielki plan transferów socjalnych, potrzebuje pieniędzy z Unii, a ze względu na sądy fundusze te są zablokowane. Prezes jednak się nie poddaje. I ma odpowiedź: PiS chce Unii, ale tej, do której Polska wchodziła w roku 2004, a nie tej, która jest obecnie, lewackiej (LGBT!) i zdominowanej przez Niemcy. PiS walczy więc, również z Niemcami, o tę lepszą Unię, gwarantującą równość, wolność i pieniądze. Tę bardziej konserwatywną, a nie pędzącą do przodu, wegetariańską, elektryczną, bez silników spalinowych i bez węgla.

W tej konstrukcji PiS prezentuje się jako obrońca dotychczasowych zwyczajów i stylu życia przed niebezpiecznymi lewackimi ekstremistami. Czy taką narrację uda się Polakom sprzedać?

Kaczyński jest bardzo elastyczny, jeśli chodzi o środki, których używa. Socjal, 500+, obrona Jana Pawła II itd. to dla niego narzędzia polityki. Natomiast celem jest władza. Władza nieograniczona działaniami opozycji – dlatego wszelkimi metodami opozycję zwalcza. Władza niekontrolowana przez media – dlatego tak ważne jest ich podporządkowanie. I taka, która nie musi się obawiać rozpraw sądowych – bo sądy kontroluje. Właśnie o domknięcie tej ostatniej furtki toczy się polityczny bój. Dlatego miliardy, które Polska w wyniku tej walki traci, są z punktu widzenia Nowogrodzkiej sprawą drugorzędną. Bo Kaczyński nie walczy o pieniądze. On walczy o władzę.

Robert Walenciak

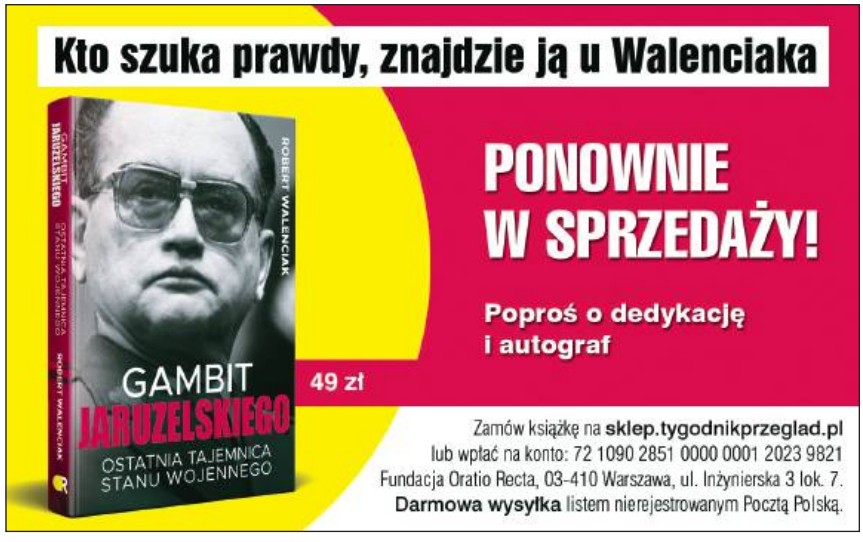

eprasa.pl 661d6f3dbf

Protest rolników w Szczecinie, 27 marca 2023 r.

Utopieni przez władzę

Czy polski rząd działa w interesie zachodnich koncernów, tolerując niekontrolowany import zbóż z Ukrainy

Marek Czarkowski

Nastroje na wsi pogarszają się z dnia na dzień. Przyczyną są niskie ceny polskiej pszenicy, kukurydzy i rzepaku spowodowane konkurencją tańszych zbóż z Ukrainy. 18 marca br. grupa aktywistów ze Stowarzyszenia Oszukana Wieś okrzykami „Judasze!" oraz „prezydenckim pozdrowieniem" „Spieprzaj, dziadu!" przywitała wicepremiera i ministra rolnictwa Henryka Kowalczyka odwiedzającego Międzynarodowe Targi Techniki Rolniczej Agrotech w Kielcach. Doszło do przepychanki protestujących z ochroniarzami ministra, Kowalczyk został ewakuowany z hali wystawowej do pakamery, w której odbyła się zaimprowizowana konferencja prasowa. Wracających autokarem z Kielc do Lublina rolników zatrzymała policja, starannie skontrolowała pojazd i spisała pasażerów. Rzecz jasna, w trosce o ich bezpieczeństwo.

Działacze stowarzyszenia ponownie dali znać o sobie 22 marca br. w czasie Europejskiego Forum Rolniczego w podrzeszowskiej Jasionce, zakłócając okrzykami debatę z udziałem ministra Henryka Kowalczyka oraz komisarza ds. rolnictwa Janusza Wojciechowskiego. W pewnym momencie w stronę oficjeli poleciały jajka. Zdjęcia tego ekscesu obiegły internet. Jajami ciskał nie wściekły rolnik, lecz lider Ruchu Narodowego na Podkarpaciu i działacz Konfederacji Tomasz Buczek. Dziennikarzom powiedział, że zrobił to, bo solidaryzował się z ludźmi. Politycy PiS zaczęli opowiadać, że Stowarzyszenie Oszukana Wieś to przybudówka Konfederacji, która w ten sposób chce zbić kapitał polityczny.

25 marca br. gniew aktywistów dotknął byłego marszałka Sejmu, obecnie szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, Marka Kuchcińskiego. W Dubiecku na Podkarpaciu próbowali oni wtargnąć do remizy strażackiej, w której odbywało się spotkanie polityków PiS z sympatykami. Doszło do rękoczynów, lecz policja nie interweniowała. Rolnikom udało się wejść do środka i zabrać głos. Domagali się uszczelnienia granicy i ograniczenia napływu ukraińskiego zboża do Polski.

Z identycznym postulatem od dawna występuje Agrounia Michała Kołodziejczaka, ale jedynym efektem jej zabiegów są rozpowszechniane pogłoski, że chłopski lider działa na rzecz Moskali. Ostatnio z krytyką rządu wystąpił jednak poseł Prawa i Sprawiedliwości, były minister rolnictwa, a obecnie przewodniczący

eprasa.pl 661d6f3dbf

Rady ds. Rolnictwa i Obszarów Wiejskich przy Prezydencie RP Jan Krzysztof Ardanowski. W wywiadzie udzielonym Radiu Wnet powiedział, że sytuacja polityczna na wsi jest zła, gdyż rolnicy martwią się o dochody. Nie mają gdzie sprzedać i składować zboża po ubiegłorocznych żniwach. Problem był bagatelizowany i pozostaje nierozwiązany od miesięcy. Ardanowski wyjaśnił, że za niekontrolowanym importem zboża z Ukrainy stoją międzynarodowe korporacje, mające tam ogromne latyfundia, i powiązane z nimi duże polskie firmy. Konkretne nazwy owych korporacji i ich polskich wspólników nie padły.

Były minister rolnictwa pominął też fakt, że 30 maja 2022 r. Unia Europejska, w związku z agresją Rosji na Ukrainę, zniosła cła na towary z tego państwa, chcąc pomóc ukraińskiej gospodarce. Rząd Morawieckiego był gorącym zwolennikiem tego rozwiązania. A w Parlamencie Europejskim głosowali za tym wszyscy nasi eurodeputowani. Nikt nie chciał wiedzieć, że efektem ubocznym otwarcia granic będzie wystawienie polskiego rolnictwa na nierówną konkurencję, przed czym ostrzegały organizacje rolnicze.

Wojna w Ukrainie ujawniła kilka nieprzyjemnych prawd. Dowiedzieliśmy się, że Rosja i Ukraina są jednymi z największych producentów zbóż na świecie. Eksport pszenicy z tych państw do Syrii, Egiptu, Iraku, Afganistanu i krajów afrykańskich pozwala tamtejszym narodom uniknąć klęski głodu. W wyniku działań wojennych transport ukraińskiego ziarna przez ukraińskie porty na Morzu Czarnym stał się niemożliwy. Latem ubiegłego roku ONZ oraz UE i USA zaapelowały do Rosji o wyrażenie zgody na otwarcie dla statków szlaku żeglugowego z Odessy, by można było dostarczyć zboże zagrożonym głodem afrykańskim krajom. Część ziarna miała być wywieziona przez Polskę i Rumunię. Dziś wiemy, że było to kłamstwo. Do biednych krajów Południa trafiło – według danych ONZ – zaledwie 27% ukraińskiego zboża, natomiast aż 47% do Holandii, Włoch, Hiszpanii i innych bogatych państw zachodnich. W rzeczywistości kilka dużych międzynarodowych firm, od lat handlujących ukraińskimi towarami rolnymi, chciało wywieźć liczone w dziesiątkach milionów ton zapasy pszenicy, kukurydzy, rzepaku i ziaren słonecznika, by nie zostały zniszczone w trakcie działań wojennych. Decyzja UE o otwarciu granic pomogła im nieźle zarobić.

Polska, która jest w awangardzie państw wspierających Kijów, oberwała najmocniej. Obok producentów zbóż ucierpieli hodowcy kurczaków. W pierwszych miesiącach tego roku import mięsa drobiowego z Ukrainy do krajów UE wzrósł o 94% w stosunku do analogicznego okresu 2022 r. Nie ma czemu się dziwić, gdyż jest ono o 40% tańsze od pochodzącego z polskich hodowli. To nie jest konkurencja, tylko rzeź. Przedstawiciele branży drobiarskiej już w ubiegłym roku wysłali pismo do odpowiedzialnego za unijne rolnictwo komisarza Wojciechowskiego, w którym wyrazili zaniepokojenie decyzją o otwarciu granic dla ukraińskiego drobiu. Efekt był żaden. Krajowi producenci jajek odkryli, że w pierwszych miesiącach 2023 r. również import tego produktu z Ukrainy wzrósł o… 1370%. A to dopiero początek.

Chłopi dobrze pamiętają apel ministra Henryka Kowalczyka, który po ubiegłorocznych żniwach radził, by wstrzymali się ze sprzedażą plonów, bo cena zbóż z pewnością wzrośnie. Ci, którzy go posłuchali, stracili duże pieniądze. Także Komisja Europejska niewiele robi. Zgoda Brukseli na udzielenie naszym rolnikom nadzwyczajnego wsparcia z unijnej kasy w wysokości 29,5 mln euro została przyjęta nad Wisłą jak ponury żart. Te pieniądze nie starczą na waciki.

W ubiegłym tygodniu rząd zapowiedział, że na dopłaty do zbóż dla gospodarstw poszkodowanych w wyniku nadmiernego importu ziarna z Ukrainy przeznaczy 600 mln zł. Szybko okazało się, że to zbyt mało, by choć zrekompensować koszty produkcji, dlatego najnowsza propozycja mówi już o 1,2 mld zł i na tym się nie skończy.

Politycy PiS wiedzą, że muszą sypnąć groszem, aby uspokoić nastroje na wsi. To konieczne, gdyż jesienią pójdziemy do urn, a żniwa zaczną się na przełomie czerwca i lipca. Jeżeli do tego czasu nie zostaną przynajmniej odrobinę złagodzone skutki niekontrolowanego importu ukraińskiego zboża, a silosy nadal

NAJWIĘKSI EKSPORTERZY PRODUKTÓW ROLNYCH Z UKRAINY

Cargill – amerykański koncern z siedzibą w Minneapolis, zajmuje się dostawą produktów i usług dla przemysłu rolno-spożywczego, prowadzi działalność produkcyjno-handlową. Jeden z głównych graczy na rynku zbóż. Eksportuje duże ilości zboża do klientów na całym świecie.

Nibulon – być może największy eksporter zbóż z Ukrainy. Ma flotę barek rzecznych i terminali zbożowych. Firma została założona w Mikołajewie przez Ołeksija Wadaturskiego, jednego z najbogatszych Ukraińców. Po rozpoczęciu przez Rosję wojny i zablokowaniu możliwości eksportu ziarna drogą morską Wadaturski i partnerzy opracowali plan jego wywozu.

ADM – Archer Daniels Midland, amerykańska korporacja z centralą w Chicago, obsługuje elewatory zbożowe i terminale eksportowe w Ukrainie. Sprzedaje ukraińskie zboże klientom w Europie, Azji i na Bliskim Wschodzie.

NAJWIĘKSZE HOLDINGI ROLNICZE W UKRAINIE

UkrLandFarming – spółka założona w 2007 r. przez Ołeha Bachmatiuka. Od 2022 r. jedna z największych w kraju. Kontrolując 670 tys. ha, jest również ósmą co do wielkości firmą na świecie pod względem powierzchni gruntów rolnych.

Kernel – ma ok. 480 tys. ha gruntów rolnych. Założona przez Andrija Werewskiego, miliardera i polityka, niegdyś członka Partii Regionów, spółka jest zarejestrowana w Luksemburgu. Jej akcje są notowane na Warszawskiej GWP.

MHP – największy producent drobiu w Ukrainie, obecny także na rynkach państw bałkańskich. Spółka ma też ok. 370 tys. ha gruntów. Założycielem i prezesem jest miliarder Jurij Kosiuk.

eprasa.pl 661d6f3dbf

29 marca 2023 r. Okrągły stół w sprawie sytuacji w rolnictwie z udziałem ministra Henryka Kowalczyka i przedstawicieli rolników.

będą zapełnione ubiegłorocznymi plonami, wściekłość rolników sięgnie zenitu. Wszyscy dobrze wiedzą, że jeśli nie będzie gdzie przechowywać tegorocznych zbiorów, ceny zbóż spadną jeszcze bardziej.

W zeszłym roku Amerykanie zaproponowali budowę przy granicy z Ukrainą prowizorycznych magazynów, w których można by przechowywać ukraińską pszenicę. Dzisiaj nikt nie wspomina o tej inicjatywie, a możliwości polskich portów oraz transportu są wykorzystane do maksimum.

W 2021 r. ukraińskie firmy wyeksportowały do UE produkty rolno-spożywcze o wartości prawie 7 mld euro. Uczyniło to z naszego wschodniego sąsiada czwartego co do wielkości partnera handlowego Unii w tej branży. Zniesienie ceł na ukraińskie towary stworzyło nową sytuację.

Ubiegły rok był rozgrzewką, czasem nawiązywania kontaktów handlowych i przecierania szlaków. Dziś, gdy rosyjska ofensywa utknęła, a sytuacja w kraju, na ile to możliwe, ustabilizowała się, ukraiński eksport ruszy z większą mocą. Zwłaszcza że przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen już zapowiedziała, że obowiązujące do końca maja br. moratorium na cła importowe, kontyngenty i środki ochronne dla ukraińskich dostaw będzie przedłużone o kolejny rok. Łatwo sobie wyobrazić, co czeka naszych producentów nie tylko zbóż i drobiu, lecz także malin, porzeczek i innych owoców, warzyw, mleka, serów itp.

Co prawda, KE przewiduje w przypadku stwierdzenia negatywnych skutków otwarcia granic zawieszenie części ułatwień w handlu, na tak długo, jak to będzie konieczne, lecz mało kto wierzy, że tak się stanie. Reakcja Kijowa jest łatwa do przewidzenia – prezydent Zełenski oskarży rząd państwa, które pierwsze wystąpi z taką inicjatywą, że zwąchał się z krwawym reżimem Putina i chce zadać cios w plecy ginącym za wolność Ukraińcom.

28 marca br. minister Kowalczyk zwołał w Warszawie okrągły stół z udziałem przedstawicieli organizacji rolniczych oraz firm eksportowych i zajmujących się przetwórstwem zbóż. Obrady od początku były burzliwe. Około godz. 18 minister na zaimprowizowanej konferencji prasowej ogłosił zawarcie porozumienia z rolnikami i przedstawił jego główne ustalenia. Najważniejsze mówiło: „Rząd, w związku z napływem ukraińskiego zboża, złoży na forum UE wniosek o zastosowanie klauzuli ochronnej dotyczącej granicy polsko-ukraińskiej". Kowalczyk obiecał też wprowadzenie dopłat rekompensujących straty producentom zbóż, przeznaczenie części zbóż na potrzeby energetyczne i znalezienie nowych rynków zbytu. Pierwszą reakcją rolników było oburzenie, zapowiedzieli strajk okupacyjny w Ministerstwie Rolnictwa. Lider Agrounii Michał Kołodziejczak twierdził, że nie ma żadnego porozumienia. I zrobiło się krzywo.

Wieczorem minister Kowalczyk ponownie zjawił się w resorcie i około godz. 23 ogłosił, że udało się wypracować kompromis i podpisać porozumienie. Znalazł się w nim zapis o wprowadzeniu przez rząd „tarczy dla branży rolno-spożywczej" w wysokości co najmniej 10 mld zł jako rekompensaty z powodu kryzysu na rynku zbóż, rzepaku i artykułów rolno-spożywczych wywołanego rosyjską agresją na Ukrainę. Michał Kołodziejczak uznał, że choć do końca nie jest usatysfakcjonowany, to każde, nawet najmniejsze załatwienie spraw w budowaniu bezpieczeństwa żywnościowego uważa za sukces.

Nie wiem, czy rząd zdaje sobie sprawę, jak wiele będzie teraz zależało od KE, która powinna się zgodzić na zastosowanie klauzuli ochronnej dotyczącej granicy polsko-ukraińskiej. Innymi słowy, na wprowadzenie ograniczeń utrudniających ukraińskim spółkom wwóz zboża do Polski. Trzeba też będzie znaleźć odpowiedź na pytanie, co dalej z otwarciem unijnych granic dla ukraińskich towarów. Trudno sobie wyobrazić, że jeśli wojna będzie trwała, kraje UE zdecydują się je zamknąć. A po zakończeniu wojny, gdy przyjdzie odbudować Ukrainę, Unia nie będzie mogła się wycofać z utrwalonych już regulacji. Oznacza to gigantyczne kłopoty nie tylko dla naszego rolnictwa, ale i dla całej gospodarki, która oparta jest na taniej sile roboczej, niskich podatkach, węglu, wieprzowinie i służbach specjalnych. Gdy zapanuje pokój, Ukraina, mająca swobodny dostęp do unijnych rynków, stanie się wyjątkowo atrakcyjnym krajem do inwestowania. Siła robocza będzie tańsza niż u nas, a ulgi podatkowe jeszcze atrakcyjniejsze. Na taką konfrontację ani rządzący, ani tym bardziej opozycja nie są przygotowani.

Marek Czarkowski

FOT. ROBERT STACHNIK/REPORTER, PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 661d6f3dbf

troje na jednego

JEDEN:
MAREK BOROWSKI
TROJE:
JAN ORDYŃSKI
DOMINIKA RAFALSKA
PAWEŁ SĘKOWSKI

PLATFORMĘ OBYWATELSKĄ UWAŻAM ZA PARTIĘ CENTROLEWICY

Fragmenty obszernego i bardzo interesującego wywiadu, który w całości można przeczytać w numerze 1/2023 „Zdania", w wersji papierowej do nabycia w EMPIKACH, w wersji elektronicznej dostępnym na sklep.tygodnikprzeglad.pl.

(...) DOMINIKA RAFALSKA: Po wyrzuceniu z PZPR i ukończeniu studiów pracował pan w Domach Towarowych „Centrum". (...)

MAREK BOROWSKI: – (...) Koleżanka mamy znała Albina Kostrzewskiego, który był dyrektorem Centralnego Domu Towarowego, i powiedziała mu, że jest taki koleżanki syn, który ma problem, bo go wyrzucili z partii. Kostrzewski na to mówi: „To ja go mogę przyjąć, ale tylko na sprzedawcę, bo o sprzedawców nie muszę się pytać. On by mi się przydał w administracji, w dziale ekonomicznym, ale tam muszę pytać. Na sprzedawcę mogę przyjąć, niech rok popracuje". No i tak się stało. Przyjęli mnie na sprzedawcę, pracowałem przez rok jako sprzedawca. Do dzisiaj wiem, co to znaczy stać na nogach 10 godzin.

RAFALSKA: A jak traktowały pana koleżanki w pracy?

BOROWSKI: – Początkowo jak wtykę dyrekcji! Że na pewno jestem po to, żeby donosić.

RAFALSKA: Za dobrze wykształcony?

BOROWSKI: – Oczywiście, od razu wiedziały, że przychodzi facet po studiach. One wszystkie były po zawodówkach.

JAN ORDYŃSKI: A na jakim dziale byłeś? Co sprzedawałeś?

BOROWSKI: – Najpierw koszule, a potem spodnie. W domu towarowym „Junior". (...) Nauczyłem się składać i rozkładać koszule, mierzyć spodnie. W ogóle poznałem technologię handlu. Przestałem być wtyką w momencie, kiedy obraziłem pewną damę, która przyszła do „Juniora". Niechcący ją obraziłem: ona dość tęga była, chciała większe spodnie i takich rozmiarów już nie było dla młodzieży. Powiedziałem: „Przepraszam, ale to jest dział dla młodzieży". Więc ona wybuchła: „Nie będzie mi pan wieku wypominał! Gdzie jest książka życzeń i zażaleń?!". I jak książki życzeń i zażaleń normalnie nie można było znaleźć – te dziewczyny co i raz powinny mieć jakieś wpisy, ale tę książkę chowały: „Nie ma, tu była, ale gdzieś się zapodziała" – tak tym razem koleżanki natychmiast ją wyciągnęły i przyniosły tej kobiecie. Ona napisała, że jestem cham, prostak itd. Trafiło to do kierowniczki piętra, która powiedziała: „Panie Marku, pan zawsze taki uprzejmy". Bo ja byłem przykładowo uprzejmy. „I tak pan się zachował? Strasznie przykro, ale muszę pana pozbawić premii". Ja mówię: „No rozumiem, nie ma wyjścia". I naprawdę mnie pozbawiła premii. Więc one wtedy doszły do wniosku, że skoro pozbawiono mnie premii, to chyba jednak nie jestem wtyką. I od tego momentu zaczęły mnie szanować, komitywa już była. (...) A po półtora roku już mieliśmy Grudzień 1970 r., przyszedł Gierek i wszystko się zmieniło.

RAFALSKA: Co się dla pana zmieniło?

eprasa.pl 661d6f3dbf

BOROWSKI: – (…) Dyrektor Kostrzewski awansował mnie do działu ekonomicznego, gdzie najpierw zostałem pracownikiem, dość szybko zastępcą kierownika działu, a potem kierownikiem. Jako że ja cały czas byłem w handlu i byłem trochę taki nietypowy, bo byłem praktykiem, a jednocześnie znałem języki i byłem po ekonomii na SGPiS, to jak mieli wydelegować kogoś do kolejnych ciał reformujących system ekonomiczny kraju, Kostrzewski delegował w pierwszej kolejności mnie. Dlatego byłem w kolejnych zespołach ds. reformy gospodarczej: w latach 70., gdy reformowano zjednoczenia branżowe, w zespole Władysława Baki, potem Zdzisława Sadowskiego. Zrobiłem podyplomowe studium z finansów na SGPiS. Trochę się zagapiłem, że doktoratu nie zrobiłem, bo w pewnym momencie mogłem go łatwo zrobić. Jakoś mi to przeszło koło nosa. (…)

PAWEŁ SĘKOWSKI: W latach 90. objawia się nam Marek Borowski polityk. To ciekawe, bo w PZPR był pan w zasadzie szeregowym członkiem, a nie działaczem. Tymczasem w III RP zaktywizował się pan politycznie, i to od początku. Skąd ta zmiana?

BOROWSKI: – Ja zawsze marzyłem o demokracji. Jak byłem w PZPR, także. Chodziło mi o to, żeby nie było cenzury, żeby była wolność wypowiedzi itd. Byłem w partii (…), ale nie angażowałem się na pełny gwizdek, bo osoby funkcyjne w zasadzie odgrywały w tamtym okresie role propagandystów. A ja nie chciałem tego robić. Natomiast jak wybuchła demokracja, to zaczęła się inna rozmowa. Nagle miałem pole do działania. Nareszcie mogłem poszaleć! (…)

ORDYŃSKI: W tym okresie Aleksander Kwaśniewski staje się najważniejszą postacią na lewicy. Kiedy się poznaliście?

BOROWSKI: – (…) Poznałem go w trakcie kampanii wyborczej na ostatni zjazd partii, bo startowaliśmy w tym samym okręgu. To był okręg pracowników ministerstw. Ja byłem wprawdzie na innej liście niż on, ale była jakaś wspólna kampania, spotykaliśmy się, gadaliśmy, czego to nie zrobimy, przeróżne rzeczy. (…) Jego wybrali na pierwszym miejscu, z dużą liczbą głosów. Mnie też wybrali na delegata. No i potem spotkaliśmy się już na zjeździe. Kwaśniewski montował wtedy ekipę do Rady Krajowej, która miała liczyć 120 osób. On chciał, żeby 60 osób było wytypowanych przez niego, no i zapytał mnie, czy się piszę – zgodziłem się. (…) W ten sposób znalazłem się w Radzie Krajowej SdRP. (…)

RAFALSKA: Zostaje pan ministrem w rządzie Waldemara Pawlaka.

BOROWSKI: – Kiedy wygraliśmy w 1993 r. wybory, my i PSL, to w ogóle nikt nie chciał zostać premierem. W końcu Kwaśniewskiemu udało się wmówić PSL, że lepiej, jak oni będą mieć premiera. Pawlak bał się stanąć na czele rządu, bo wtedy jednak ciągle jeszcze była wysoka inflacja, gospodarka była w złej sytuacji. On wtedy wolał, żeby ktoś inny wziął rząd, konkretnie Kwaśniewski. Ale Kwaśniewski też nie chciał i w końcu jakoś przekonał Pawlaka. Ja zostałem wicepremierem i ministrem finansów. Pierwsze moje ruchy były nawet dosyć lewicujące, bo podniosłem podatki, głównie najbogatszym. Mimo to nazywano mnie liberałem. Za te pieniądze podniosłem

eprasa.pl 661d6f3dbf

najniższe emerytury. Wprowadziłem ulgi inwestycyjne. No i wszystko początkowo szło dobrze…

ORDYŃSKI: Aż do wybuchu „afery" w związku z prywatyzacją Banku Śląskiego. Rok 1994…

BOROWSKI: – Okazało się, że jest strasznie małe zainteresowanie tym bankiem. Zacząłem się obawiać, że nie uda się go sprywatyzować. Tam zresztą tylko część akcji była do sprzedaży, więc tak naprawdę miał on pozostać w rękach skarbu państwa. Trzeba było po prostu trochę na tym zarobić dla państwa i tyle. A tutaj nagle nie ma chętnych. Zaczęliśmy szukać jakiegoś kapitału zagranicznego. Bardzo ciężko było, ale w końcu zgłosił się holenderski ING. Rozpoczyna się kwestia wyceny. Zapisy wstępne nie zawierały ceny, potem była mowa o cenie 250 zł za akcję. A ja powiedziałem, że chcę podnieść cenę, i to dwukrotnie, do 500 zł. (…) Wiele osób mnie straszyło, że skoro nie było chętnych za 250 zł, tym bardziej nie będzie chętnych za 500 zł. Ale ING zdecydował się kupić 25% akcji. Jak poinformowałem, że ING kupił ten pakiet akcji, to zaczął się run. (…) Zaczęły się kolejki, wykupiono wszystkie akcje, które były do sprzedania, i potem czekaliśmy na debiut giełdowy. Skarb państwa zachował 50%, część akcji wykupili pracownicy Banku Śląskiego, bo taka była ustawa, według pewnego algorytmu – ci o najdłuższym stażu najwięcej, o krótszym mniej. Najdłuższy staż tam mieli dyrektor, kierownictwo, więc oni mieli najwięcej akcji. No i jest debiut, a na tym debiucie pojawia się bardzo mało akcji, mało kto chce sprzedać. Ogromny popyt i akcje windują się do 6,8 tys. zł. Z 500 zł ! Ale jest bardzo mało tych akcji w obiegu. Następnego dnia jest ich trochę więcej, więc cena trochę spada, ale dalej jest powyżej 6 tys. I przez dwa tygodnie trochę spada, ale utrzymuje się na zabójczym poziomie. Dlatego podniosły się krzyki, wrzaski. Za tanio sprzedał, trzeba było sprzedać po 6 tys.! Absurd kompletny. ING by nie kupił za taką cenę, a wtedy nie kupiłaby także cała reszta. Oni kupili dlatego, że ING kupił. Że za 500 zł? No, może mogło być 600, ale w dalszym ciągu uważam, że nie więcej. Ze wszystkich opinii tak wynikało.

ORDYŃSKI: Ale w Sejmie wybuchła wielka afera.

BOROWSKI: – Okazało się – a to już była granda – że kierownictwo Banku Śląskiego, widząc, co się dzieje, wyprzedało swoje akcje. Co było nieetyczne, po prostu skandaliczne. Oni mieli dużo tych akcji i zarobili na tym straszne pieniądze. Jak byśmy na dzisiejsze pieniądze policzyli, to miliony. To oczywiście podgrzało atmosferę, wybuchł skandal w Sejmie, wielka burza.

RAFALSKA: Ktoś musiał za to politycznie zapłacić…

BOROWSKI: – Ktoś musiał zapłacić. Pawlak był przerażony. Mówi do mnie: „Zwolnij Kawalca". Bo to wiceminister Stefan Kawalec był odpowiedzialny za tę sprawę. Ja na to mówię: „Waldek, nie będę robił kozła ofiarnego z Kawalca, bo cenę ustaliłem ja, a nie on. Wiesz, co mi Kawalec mówił? Że to jest za wysoka cena!". I tak było rzeczywiście. Więc jak ja teraz miałbym go zwalniać? To byłoby świństwo. Na to Pawlak: „Wiesz, nie o to chodzi. Ludzie muszą wiedzieć, że coś z tym robimy". Ja mówię: „Ludzie muszą wiedzieć, że jesteśmy rządem uczciwym, porządnym. Jak chcesz, to ja się podam do dymisji,

chociaż uważam, że cena była ustalana prawidłowo, a to, co się działo na rynku, to jest zupełnie inna rzecz".

ORDYŃSKI: Wtedy Pawlak dymisjonuje Kawalca za twoimi plecami.

BOROWSKI: – (…) Z gazety się o tym dowiaduję! Pawlak tłumaczy, że musiał to zrobić… Przyjechał Kwaśniewski, jest ewidentny kryzys rządowy. Ja mówię: „Olek, ja tego nie przepuszczę, ja tutaj nie jestem pionkiem i tego tak nie zostawię". Kwaśniewski na to: „Nie możesz, przecież wiesz. Kto tu cię zastąpi?". I tak mnie błagał, że w końcu ustąpiłem, w tym sensie, że zgodziłem się, że nie przywrócimy już Kawalca, ale mam pięć warunków na przyszłość i Waldek musi je podpisać, w przeciwnym wypadku podaję się do dymisji.

Pierwszy warunek to, że Pawlak nie będzie przychodził do ministerstwa i nie będzie poza mną, bez mojej zgody, rozmawiał z moimi pracownikami. Bo on się wcześniej pojawił u mnie w ministerstwie i przepytywał różnych dyrektorów, czym mnie już wkurzył do reszty. Oczywiście jako premier ma prawo rozmawiać, tylko niech mnie wcześniej poinformuje. Po drugie, nie będzie mi nikogo odwoływał poza mną. Musi ze mną to uzgodnić. Jeszcze tam trzy inne warunki były, związane z jakimiś jego działaniami, ponieważ Pawlak jakieś ustawy finansowe poza mną puszczał przez jakiś komitet i później kierował od razu na Radę Ministrów. Chodziło o to, żeby tego nie robił. Olek mówi: „Dobrze". Spotkaliśmy się z Pawlakiem.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 661d6f3dbf

Ja mówię: „Waldek, pal licho już Kawalca. Źle zrobiłeś, ale masz tutaj, podpisz te pięć punktów". On przeczytał, zmarkotniał i mówi: „To ja muszę się z tym przespać". Dobra, to jutro się spotkamy. I on się przespał. A miał wtedy takich dwóch doradców, jeden się nazywał Mleczko, a drugi Śmietanko, którzy kombinowali, „jak by tutaj Borowskiego ocwanić". I powiedzieli Pawlakowi, że ja blefuję i na pewno nie podam się do dymisji. Powiedzieli, że dwa warunki może podpisać, a trzech nie. I następnego dnia spotykamy się. Ja już miałem na wszelki wypadek przygotowany tekst dymisji. Pawlak mówi: „Podpiszę dwa warunki, a trzech nie". Ja na to: „Dobrze, Waldek, no to rozstajemy się". Kwaśniewski mówi: „Żartujesz?". „Nie, nie żartuję". On może myślał, że ja jeszcze blefuję. Wyszedłem, dziennikarze już czyhali. (…) Powiedziałem wtedy: „Funkcje można sprawować różne, twarz ma się tylko jedną" – te słowa potem wielokrotnie cytowano.

Moją rolą w sprawie prywatyzacji Banku Śląskiego zajmowała się prokuratura – sprawę umorzono. Zajmował się Lech Kaczyński jako prezes NIK – też nie stwierdzono żadnych specjalnych niedociągnięć. Tak więc wyszedłem z tej „afery" cało. (…)

SĘKOWSKI: Stery w Sojuszu przejmuje Krzysiek Janik.

BOROWSKI: – Odbywa się znowu Rada Krajowa. I na tej Radzie Krajowej ja występuję już upoważniony przez 10 osób, to byli m.in. Włodzimierz Cimoszewicz, Andrzej Celiński, Izabella Sierakowska… I mówię, że sytuacja jest dramatyczna, mam tu projekt uchwały, który opracowaliśmy w 10 osób, i proponuję przyjąć tę uchwałę. Zawierała ocenę sytuacji i opis jej przyczyn, które już wymieniłem. Następnie pisaliśmy, że trzeba dokonać zmian personalnych, ale nie takich na chybcika, tylko proponujemy zwołać kongres i wybrać nową Radę Krajową, mniej liczną, i nowe władze partii. Znowu dostałem brawa, ale potem były zgłaszane poprawki, zostawiono diagnozę, ale poszatkowano propozycje, coś tam poskreślano, a na koniec wyrzucono postulat zwołania kongresu. A wiadomo było, że jak nie będzie kongresu, to nie będzie zmian. W tym momencie zebraliśmy się w dziesiątkę i powiedzieliśmy: to nie ma sensu, to się musi skończyć jakimś totalnym kolapsem i dlatego trzeba tę lewicę ratować. Wtedy w gronie większości spośród tych 10 osób powstał projekt, żeby jednak założyć nową partię. Trzy osoby się na tym etapie z naszej grupy wycofały, w tym Cimoszewicz. Najpierw poinformowałem Jerzego Szmajdzińskiego, że idziemy w kierunku nowej partii. Prosił, żebyśmy tego nie robili. Zebrał kierownictwo, byli Janik, Miller, Szmajdziński, cała czołówka była. Oczywiście ja także. Leszek powiedział do mnie: „Słuchaj, to może ty obejmij kierownictwo". Ja mówię: „Ja? Proszę bardzo, tylko warunek jest taki, że zwołujemy kongres albo przynajmniej Radę Krajową czy raczej konwencję i zmieniamy statut. I ja tam sobie chcę wpisać uprawnienia do personalnych decyzji". Do obsadzania list wyborczych itd. Oni na to odpowiadają, że tak to nie będzie. Ja mówię: „Wy mnie chcecie zrobić przewodniczącym, który nic nie będzie mógł zdziałać". Bo przecież ja sam nic bym nie mógł. Wszystkie decyzje byłyby podejmowane wspólnie. Oni nie zgodziliby się z większością moich decyzji, a wszystko by szło na mój rachunek. Dlatego właśnie postawiłem ten warunek, że albo kongres wybierze Radę Krajową i rada wybierze zarząd partii, albo przynajmniej zostanie zwołana konwencja, która zmieni statut. Inaczej się nie zgadzam. „Nie, tak to nie", odpowiedzieli. Jeszcze miesiąc trwało takie przeciąganie liny, może coś zrobią, może nie zrobią.

Czas leciał, a w czerwcu 2004 r. były wybory do Parlamentu Europejskiego. My chcieliśmy wystartować. No i tę partię założyliśmy, wystartowaliśmy i trzy mandaty zdobyliśmy. (…)

SĘKOWSKI: A pan, dodajmy, w kwietniu 2004 r. rezygnuje ze stanowiska marszałka Sejmu.

BOROWSKI: – Rezygnuję, bo w zasadach SDPL napisaliśmy, że przewodniczący partii nie może być marszałkiem Sejmu. (…) Gdybym nie zrezygnował, to podejrzewam, że pewnie bym się utrzymał. Bo był problem z tym, kto po mnie. Ostatecznie został wtedy wybrany na marszałka Sejmu Oleksy, ale tylko dlatego, że SDPL go poparła. Lewica – której rząd był zresztą już od 2003 r. mniejszościowy, a w 2005 r. premier mniejszościowego rządu SLD Marek Belka przystąpił do innej partii, Partii Demokratycznej – przegrała kolejne wybory parlamentarne na własne życzenie, a nie dlatego, że powstała SDPL! Natomiast SDPL miała szansę, żeby się utrzymać na scenie politycznej i jakoś z powrotem przyciągnąć ludzi do lewicy.

SĘKOWSKI: Dlaczego zatem SDPL tej szansy nie wykorzystała?

BOROWSKI: – Tak naprawdę zadecydował o tym później Aleksander Kwaśniewski. Gdy doszło do wyborów prezydenckich w 2005 r., to on poparł Cimoszewicza.

SĘKOWSKI: A dlaczego pan zdecydował się kandydować przeciwko Cimoszewiczowi?

BOROWSKI: – Ja musiałem kandydować jako przewodniczący partii. Partia, która nie wystawia kandydata w wyborach prezydenckich, bardzo traci.

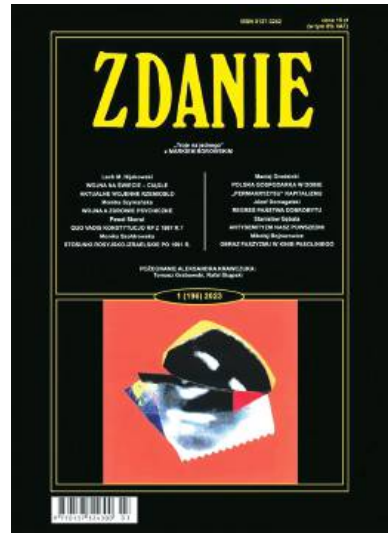

SĘKOWSKI: A może Aleksander Kwaśniewski miał taki pomysł, że Włodzimierz Cimoszewicz to jest akurat ten jeden jedyny kandydat, który ma szansę spowodować, że pan nie wystartuje? W końcu rok wcześniej podpisał się pod waszą uchwałą zatytułowaną „Dość złudzeń", a poza tym znany był – i dalej jest – ze swojej niezależności.

BOROWSKI: – To nie jest takie proste. Jeszcze wiosną Cimoszewicz powiedział, że nie będzie kandydował. Gdyby od razu powiedział, że kandyduje i byłby kandydatem całej lewicy, to ja bym nie kandydował. W momencie jak Cimoszewicz powiedział, że nie będzie kandydował, to moi ludzie

eprasa.pl 661d6f3dbf

powiedzieli, że ja muszę kandydować. No to postanowiłem, że idę w tych wyborach. Zacząłem być notowany w rankingach, kandydowali Lech Kaczyński, Donald Tusk, ja, kandydował Zbigniew Religa. Wtedy Religa prowadził w sondażach, miał ze 20%, ja miałem 17%, Tusk miał mniej ode mnie, Kaczyński gdzieś tam się plątał jeszcze niżej. Tak więc wydawało się na początku, że jest realna szansa na II turę, a wtedy, gdyby cała lewica poparła moją kandydaturę, wszystko byłoby możliwe. Liczyłem bardziej na poparcie wyborców SLD niż partii SLD.

W pewnym momencie Cimoszewicz zdecydował się jednak kandydować. Zgłosił swoją kandydaturę, a Kwaśniewski go poparł. Ja się wtedy spotkałem z Cimoszewiczem i mówię: „Jeżeli zgodzisz się być kandydatem całej lewicy, czyli i SDPL, i SLD, to ja się wycofam". A on na to mówi: „Nie, ja tak nie mogę". Bo jego wysunął SLD, to Sojusz organizuje kampanię, a SLD się nie zgodzi, żeby on był kandydatem i SLD, i SDPL.

RAFALSKA: Czyli pan w 2005 r. dążył już do porozumienia z SLD?

BOROWSKI: – Absolutnie, bo ja nie miałem żadnych ambicji prezydenckich. (…) Ale skoro Cimoszewicz nie mógł wystąpić jako wspólny kandydat, to ja nie mogłem się wycofać. (…)

SĘKOWSKI: Dla zasady?

BOROWSKI: – Dla zasady. Doszedłem w sondażach do 1,5% poparcia. Wszyscy dziennikarze mnie pytali: „Kiedy pan się wycofa?". Ja mówię: „Nie widzę powodu". Potem doszło do znanej prowokacji wymierzonej w Cimoszewicza i on się wycofał z kandydowania. Okazało się, że jestem jedynym kandydatem lewicy. Ostatecznie wyciągnąłem nieco ponad 10%.

W tym okresie była łączona kampania wyborcza prezydencka i parlamentarna, wybory do parlamentu odbywały się dwa tygodnie przed I turą prezydenckich. I to właśnie wtedy Kwaśniewski dobił SDPL. Myśmy cały czas mieli ok. 4% poparcia, a to jest najgorszy wynik, tuż pod progiem, i potencjalny wyborca często boi się stracić głos. W piątek tuż przed wyborami odbyła się ostatnia konferencja, notabene u nas, w SDPL. Na moje zaproszenie przyszedł Kwaśniewski i coś tam powiedział, a potem dziennikarze go pytają: „A pan, panie prezydencie, kogo popiera?". „Do Sejmu SLD. A na prezydenta Borowskiego". To, że „na prezydenta Borowskiego", mnie wtedy nie ucieszyło, bo wiadomo było, że nie przejdę do II tury. Mnie wtedy zależało na partii. A Kwaśniewski zamiast powiedzieć: są dwie partie lewicowe, nie powiem, na kogo będę głosował, wybierzcie sami, powiedział, że zagłosuje na SLD. Jak on to powiedział, to wyborcy SDPL, którzy Kwaśniewskiego bardzo cenili, dla nich on był guru, widząc jeszcze w sondażach te 4% u nas, przenieśli poparcie na SLD.

Twierdzę do dzisiaj, że gdyby Kwaśniewski inaczej się zachował, tobyśmy ten próg przekroczyli. A to nadałoby potem całkiem inną dynamikę nowej formacji, także zjednoczeniową, żeby sprawa była jasna. Niemniej jednak i tak do porozumienia doszło. (…)

Jan Ordyński, Dominika Rafalska, Paweł Sękowski

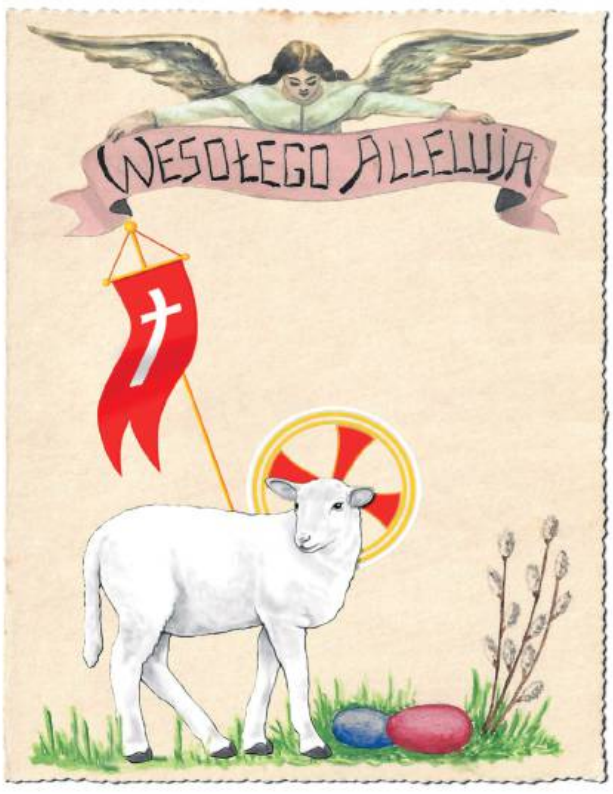

MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI

Zdrowych, spokojnych, pełnych miłości, wiary i nadziei Świąt Wielkanocnych

życzy

Dyrekcja Muzeum Niepodległości w Warszawie wraz z pracownikami

Dyrektor
dr Tadeusz Skoczek

W projekcie wykorzystano: ręcznie wykonany karnet, autor nieznany, Kazachstan, 1954, akwarela, rysunek, nr inw. EI 4053 oraz Wesołego Alleluja! Oświata Ludu, 1909, fotokopia kolorowana, nr inw. P-2711 ze zbiorów Muzeum Niepodległości w Warszawie.

25 lat Mazowsze

eprasa.pl 661d6f3dbf

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Za długie rządy samorządowców (nawet najlepszych)

Moje wrażenie jest następujące: w latach 90. pojawiały się u nas niezłe pomysły, próbowano je wprowadzać w życie, ale następnie, stopniowo albo gwałtownie, porzucano. Dlatego mam dziś poczucie regresu. Popatrzmy choćby na samorząd. Idea oddania mu sporej części władzy była słuszna. A jeszcze słuszniejsza była koncepcja ograniczenia kadencyjności władz samorządowych. Nie ma wszak lepszego lekarstwa na powstawanie klik i tzw. układów. Wiedzieli o tym już starożytni Grecy, którzy w demokratycznych Atenach wprowadzili jednodniową kadencyjność niektórych urzędów, a także ich losowanie. Może nieco przesadzili. Niemniej już wtedy wiedzieli, że nie ma nic gorszego niż zezwolenie na to, aby urzędy państwowe stawały się ośrodkami korupcji. My jednak niczego się nie uczymy. Nie bierzemy poważnie ani nauk starożytnej Grecji, ani żadnych innych. A jak już mamy niezłe pomysły, to szybko je zarzucamy (np. ten o konieczności istnienia apolitycznej służby państwowej). No i w rezultacie mamy teraz np. prezydentów miast, którzy sprawują swoje urzędy od ponad 20 lat. Samorządowców przyspawanych do stołków.

W poprzednim ustroju, będąc członkiem tzw. nomenklatury, można było sprawować rządy przez wiele lat, bez względu na osiągnięcia czy raczej ich brak. Teraz wystarczy skutecznie neutralizować wszelką opozycję na poziomie samorządowym oraz tkać gęstą sieć zależności i mamy podobny rezultat. A nie potrzeba jakichś specjalnych badań naukowych, żeby zauważyć, że dzisiejsza samorządowa nomenklatura ma wiele narzędzi do dyspozycji, aby trwać i mieć się dobrze. Potrafi skutecznie uciszać niezadowolonych, podporządkowywać sobie lokalną prasę i eliminować jakikolwiek opór przeciwko swojej władzy metodą kija i marchewki. Szczególnie w mniejszych miastach, gminach i na wsi. Dobrze te procesy opisał Andrzej Andrysiak w książce „Lokalsi. Nieoficjalna historia pewnego samorządu".

Samorządowcy od samego niemal początku reform bronili się przed dwukadencyjnością i ostatecznie wygrali. Mogą dziś rządzić do śmierci i żadna siła polityczna im tego nie zabroni. A wszystko to oczywiście w przekonaniu, że są najlepsi i nie można ich karać odwoływaniem z urzędów, mają przecież same sukcesy. Nie twierdzę, że niektórzy nie mają. Ale nie o to chodzi. Co jakiś czas trzeba po prostu dokonywać zmiany samorządowej władzy i w ten sposób przecinać więzi klientelistyczne oraz likwidować układy, na które „nie ma rady". Czy tego bowiem chcemy, czy nie chcemy, muszą one się wytworzyć przy długim sprawowaniu każdych rządów. A nie są wszak rzeczą dobrą czy pożądaną. I ponownie nie potrzeba tutaj jakichś wnikliwych badań socjologicznych. To wiedza znana nam od dawna. Dlatego już dawno wymyślono zasadę dwukadencyjności, aby patologiom przeciwdziałać. Rządź przez dwie kadencje, wykazuj się, zdobądź szacunek i uznanie, ale potem odejdź. Zrób miejsce innym. Być może będą gorsi, taka groźba zawsze istnieje. Jednak mogą być lepsi, a w każdym razie – inni. A taka odmienność jest bardzo wskazana. Nikt z nas bowiem nie ma patentu na nieomylność.

Tymczasem u nas rządy przychodzą i odchodzą, partie u władzy się zmieniają, ale niektórzy samorządowcy trwają na swoich stanowiskach przez dziesięciolecia. Trudno zatem nie odnieść wrażenia, że w wielu miejscach w Polsce nie ma szans na zmianę. Mieszkańcy stracili na nią wszelkie nadzieje. A nic tak nie zabija demokracji jak utrata wiary w jej możliwość. W tym sensie od dziesięcioleci osłabiamy demokrację, pozwalając na to, aby samorządy zamieniały się w twierdze obsadzone wciąż tą samą załogą. Odporne na ataki z zewnątrz. I choć czasem nieco zmurszałe, to nie do zdobycia.

> Chwaląc oficjalnie demokrację, robimy od dawna wszystko, aby przestała faktycznie istnieć.

Co ciekawe, ten proces odchodzenia od kadencyjności znamionujący psucie demokracji można obserwować także gdzie indziej. Na przykład na uniwersytetach, które w rezultacie neoliberalnych reform przypominają coraz bardziej korporacje finansowe, przemysłowe czy handlowe, gdzie istnieje co prawda jakaś rada nadzorcza, ale faktyczną władzę sprawują prezes i menedżerowie mogący rządzić w nieskończoność. W ten sposób uniwersytet, który od wieków był instytucją wspólnotową kierowaną przez ciała kolektywne, zamienia się w jeszcze jedno narzędzie oduczania ludzi odpowiedzialności za dobro wspólne. Skoro bowiem nic od nas nie zależy, to po co się przejmować losami danej instytucji? Trzeba jedynie dbać o to, aby nie podpaść władzy, bo w obliczu osłabienia rządów ciał kolektywnych nikt nas przed jej działaniem nie uratuje. I tak oto, chwaląc oficjalnie demokrację, robimy od dawna wszystko, aby przestała faktycznie istnieć. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 661d6f3dbf

Trzecia siła czy sondażowa anomalia?

Skąd się biorą sukcesy Konfederacji

Do budowania swojej popularności Mentzen wykorzystuje ten sam arsenał argumentów, chwytów retorycznych i prowokacji, co jego idol Korwin-Mikke.

Jakub Dymek

Rok temu Konfederację składano do grobu. Partia Bosaka i Mentzena dołowała w sondażach. Wiosną 2022 r. krzywe poparcia dla Lewicy i Konfederacji się przecięły – partia Czarzastego wskoczyła na 10%, konfederaci zaś nurkowali w okolice progu wyborczego. Ich notowaniom nie pomagały wypowiedzi odbierane powszechnie jako antyukraińskie i idące w poprzek okołowojennej patriotycznej mobilizacji. Prowokacje Janusza Korwin-Mikkego i Grzegorza Brauna przestały przynosić rozgłos, a zaczęły – wstyd. Kończyło się pandemiczne paliwo, Facebook nadal blokował konfederackie profile, a w obliczu kryzysu energetycznego, planów wielkich zakupów zbrojeniowych i konieczności ochrony polskich rodzin przed inflacją szybko uleciał powab libertariańskich recept gospodarczych „Konfy". Pytanie, czy taka prawica ma w ogóle w Polsce przyszłość, wydawało się zasadne.

Niemal równo rok po zaliczeniu przez Konfederację największego dołka sytuacja przedstawia się zupełnie inaczej. Dziś nacjonalistyczno-libertariański sojusz przeskoczył poprzeczkę 10% w sondażach, wbijając się klinem na trzecie miejsce na scenie politycznej (a więc i przed Lewicę, i przed Polskę 2050 Hołowni). Choć sam wynik 10-11% imponujący nie jest, tempo wzrostu poparcia i wizja prawie 50 mandatów dla skrajnej prawicy tworzy wrażenie niezwykłego sukcesu. W mediach pełno jest Sławomira Mentzena, którego okrągłej, brzoskwiniowej twarzy nie opuszcza cyniczny i pobłażliwy uśmieszek. Główny nurt polskiej debaty publicznej znowu zadaje sobie w panice pytanie: co poszło nie tak? I dlaczego Konfederacji rośnie? Choć tak naprawdę nie wiadomo jeszcze, czy mówimy o wielkim zjawisku, czy zaledwie o sondażowej anomalii.

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 661d6f3dbf

W rzeczywistości przyczyny odbicia się partii Bosaka i Mentzena nie są nieprzeniknioną tajemnicą. To w różnych proporcjach cierpliwość, sprawne zarządzanie partią i seria szczęśliwych przypadków.

Strategia: zawsze wbrew

Przyczyny dzisiejszego powodzenia Konfederacji można wygodnie podzielić na trzy obszary: strategii, taktyki i ideologii. „Konfa" postanowiła osiągnąć to, co wcześniej okazało się nieosiągalne dla Kukiza, Petru czy Palikota – wejść do Sejmu i pozostać partią protestu. To właśnie konsekwentny sprzeciw wobec głównego nurtu polskiej polityki i niewchodzenie w doraźne sojusze pozwoliły utrzymać dwa konfederackie żywioły – nacjonalistów i libertarian – w jednym obozie. Gdyby nie to, wcześniej pewnie ujawniłyby się sprzeczności między bardziej klerykalnym, tradycyjnym i kolektywistycznie patrzącym na rzeczywistość Ruchem Narodowym a hiperindywidualistycznymi libertarianami skupionymi wokół Korwina (dzisiaj zaś Mentzena).

Konfederacja (w odróżnieniu od Lewicy czy Polski 2050) postawiła na osobność i trzymała się swojej tożsamości wytrwale. Jej politycy zgodnie oskarżali wszystkie inne partie o uprawianie „socjalizmu" (którym ich zdaniem jest wszystko na lewo od Degrelle'a, Franco i Putina). Gdy inne ugrupowania opozycji rozważają różne układy, wspólne listy i kompromisy programowe, Konfederacja zyskuje dzięki swojej odrębności i wizerunkowi jedynej prawdziwie niezależnej opozycji. W sprawie pandemii, Unii Europejskiej, sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi czy wojny w Ukrainie uparcie szła wbrew wszystkim pozostałym partiom i nierzadko także własnym wyborcom. Garstka posłów wybranych z jej list – chociaż nie cały klub – wstrzymała się od głosowania za Ustawą o obronie Ojczyzny w marcu 2022 r. To jednak ten sam upór i płynięcie pod prąd głównego nurtu polskiej polityki ściągnie na Konfederację jej największy kryzys egzystencjalny. W 2022 r. nie udało się jej ani wzniecić, ani wykorzystać antyukraińskich emocji. Partia „zmęczonych wojną" była jeszcze wtedy na tyle w Polsce nieliczna, że nie tylko Konfederacji nie pomogła, ale wręcz ściągnęła ją w dół.

Antyukraińskie wiece w polskich miastach, na które chodził poseł Braun, nie były sukcesem frekwencyjnym, a ludzie niechętni pomaganiu Ukrainie raczej ze swoimi poglądami się ukrywali. Ruch Narodowy, wcześniej bardzo głośny w sprawie obrony Polski – przed „islamizacją", Unią czy uchodźcami – nagle nabrał pacyfistycznego rumieńca i zaczął kluczyć. W sprawie poboru do wojska bardziej bojowa od narodowców okazała się posłanka Lewicy Anna Maria Żukowska. To musiało zaboleć. Ale gdy strategia Konfederacji zaczęła zawodzić, z pomocą przyszły zmiana taktyki i szczęśliwy przypadek.

> Za odbicie się Konfederacji odpowiadają w różnych proporcjach cierpliwość, sprawne zarządzanie partią i seria szczęśliwych przypadków.

Taktyka: postawić wszystko na gospodarkę

Gdy w drugiej połowie 2022 r. w Konfederacji zaczęło dochodzić do kolejnych rozłamów po linii poglądów, lojalności i pokoleń, kryzys udało się przekuć w szansę. Konkretnie udało się to Sławomirowi Mentzenowi, współprzewodniczącemu Konfederacji i liderowi Nowej Nadziei. Nowa Nadzieja jest pomostem pokoleniowym, kolejnym wcieleniem i dziedziczką wcześniejszych partii Janusza Korwin-Mikkego. W istniejącym w tej formule od listopada 2022 r. ugrupowaniu to 36-letni Mentzen jest liderem, a JKM, wiekowy guru polskich libertarian, objął honorowe stanowisko prezesa założyciela.

Odsunięcie na dalszy plan Korwina i Brauna, o których aktywności słychać ostatnio mniej, uruchomiło korzystną dla Konfederacji dynamikę. Sławomir Mentznen jako współlider – choć nie ma mandatu poselskiego i na co dzień zajmuje się własnymi biznesami oraz rolą internetowego celebryty – prezentuje Konfederację jako siłę zainteresowaną przede wszystkim gospodarką. Jego internetowe wystąpienia dają libertariańskim wyborcom to, za co tak ukochali swojego „króla" Korwina – metaforyczną, prostacką i zrozumiałą dla każdego wizję ekonomii i państwa. „Zbieranie butelek po piwie opłaca się bardziej niż odkładanie na emeryturę", przekonuje w filmiku Mentzen, a zachwyceni wyborcy pieją z rozkoszy. Na platformie TikTok, gdzie umieszcza swój minutowy wykład, zbiera 214 tys. serduszek i miliony wyświetleń, a o butelkowej teorii składek emerytalnych Menztena piszą największe media.

Bo polityk Konfederacji wie, że najlepsze (i być może jedyne) paliwo, na jakim jest w stanie dojechać do Sejmu, to internetowe oburzenie, przerabiane na zasięgi w mediach społecznościowych. Do budowania swojej popularności Mentzen wykorzystuje ten sam arsenał argumentów, chwytów retorycznych i prowokacji, co jego idol Korwin, ale w przeciwieństwie do największego skandalisty polskiej polityki nie potrzebuje do tego uwagi mediów – dostęp do publiczności zapewnia mu internet. I tu w sukcesie Mentzena

Redaktorowi
ROMANOWI KURKIEWICZOWI
składamy serdeczne wyrazy żalu i współczucia z powodu śmierci
TATY
Koleżanki i koledzy z „Przeglądu"

eprasa.pl 661d6f3dbf

i odbiciu się Konfederacji pomógł przypadek.

Od lat bowiem Konfederacja ma problem z banowaniem i cenzurą treści na Facebooku – jednym z najpopularniejszych wśród Polaków portali. Niektórzy sympatycy i politycy Konfederacji widzą w tym zresztą rękę Prawa i Sprawiedliwości, które – twierdzą – dobrze żyje z amerykańskimi korporacjami cyfrowymi w Polsce i nie miałoby nic przeciwko uderzeniu w prawicową konkurencję. Jednak ograniczenie zasięgów Konfederacji na Facebooku okazało się – przede wszystkim dla Mentzena – niespodziewanym błogosławieństwem.

Ugrupowanie jest bezkonkurencyjne wśród mężczyzn, u których zdobywa 37% poparcia, wyprzedzając KO ponaddwukrotnie.

Lider Nowej Nadziei skupił swoje wysiłki na budowaniu popularności na TikToku, w serwisie szczególnie popularnym wśród najmłodszych i oferującym jeszcze lepsze zasięgi niż Facebook. Ten drugi, co gorsza, tylko się starzeje i przeistacza z żywiołowej platformy pokolenia milenialsów w skansen internetu. Prawdziwe emocje można dziś wywołać na TikToku właśnie – i tam lapidarne, barwne i jednoznaczne treści Mentzena mają się świetnie. Do tego budują przewagę partii w grupie, w której od zawsze Korwinowskie ugrupowania były najmocniejsze – wśród młodych. Szczególnie zaś młodych mężczyzn.

Ideologia: polska partia mężczyzn

Popularność Konfederacji wśród młodych mężczyzn jest zjawiskiem trwalszym niż ostatni skok sondażowy. W niedawnym badaniu Ipsos dla OKO.press Konfederacja zajmuje drugie miejsce (po Koalicji Obywatelskiej) wśród wyborców poniżej 40. roku życia (21%). I jest bezkonkurencyjna wśród mężczyzn, u których zdobywa 37% poparcia, wyprzedzając ponaddwukrotnie następną w kolejności partię (KO). W badaniach z poprzednich lat Konfederacja nie mogła się pochwalić aż taką przewagą, ale zawsze zdobywała nieproporcjonalnie dużo głosów młodych mężczyzn. I w tym właśnie – w trwałej atrakcyjności dla męskiej połowy społeczeństwa – tkwi jedna z przyczyn sukcesu tej formacji.

Nawet gdy wiodło jej się źle, mogła liczyć – jak niegdyś Korwin – na żelazne 5% wyborców. Gdy okoliczności się zmieniły na jej korzyść, szybko udało się odrobić straty – znów dzięki poparciu tych samych ludzi. Po pierwsze, dlatego że wyborca Konfederacji rozumie swój interes klasowy. Badania pokazują już, że wśród sympatyków tej partii nie brakuje wykształconych i dobrze zarabiających mężczyzn, właścicieli firm i przedstawicieli wolnych zawodów. Propozycje obniżek podatków i składek, walki z biurokracją i ułatwień dla biznesu trafiają do nich – bo to program napisany z myślą o takich właśnie ludziach. Tym bardziej notowania Konfederacji w grupie skrajnych zwolenników państwa minimum pompuje panika wokół rzekomego skrętu w lewo Platformy. Gdy Tusk obiecuje teraz dopłaty do kredytów, czterodniowy tydzień pracy i babciowe, część wyborców przywiązanych do antypaństwowych i wolnorynkowych sloganów dawnej PO czy Nowoczesnej rzeczywiście może zacząć spoglądać przychylniej na Konfederację.

Ale część przede wszystkim młodych mężczyzn czuje się w Polsce osamotniona czy porzucona także w szerszym sensie. Wyborca Konfederacji jawnie i otwarcie utożsamia się z tym ugrupowaniem jako jedynym, które ma dla mężczyzn jakąś ofertę. Wszystkie inne bowiem – od PiS do Lewicy – chcą wspierać rodziny, emerytów, kobiety, mniejszości, ale nie facetów. Można zbagatelizować podobne diagnozy jako pretensje i tak najbardziej uprzywilejowanych w społeczeństwie – młodych, sprawnych i zdolnych zarabiać na swoje utrzymanie chłopaków. Z drugiej strony taka polityka tożsamości, jaką oferuje Konfederacja, trafia na podatny grunt. Skoro Lewica jasno określiła się jako partia dla kobiet i mniejszości, a PiS jako ugrupowanie rodzin z dziećmi i osób starszych, to po młodych mężczyzn wystarczyło tylko się schylić. Co Konfederacja zrobiła. Oczywiście poczucie frustracji, zablokowanego awansu i utraty w ostatnich dekadach przywilejów nie jest wyłącznie polskim problemem – przeciwnie, było magnesem tzw. alt-prawicy od lat. A jeśli weźmie się pod uwagę, że młodzi mężczyźni głosują liczniej niż młode kobiety, to ten wyborczy zakład może się Konfederacji opłacić.

O ile wcześniej nie wpadnie ona znowu w pułapkę własnej przekory albo nie utopi jej – a przecież bardzo chce – PiS.

Jednak żaden z tych powodów, dla których Konfederacja dziś zyskuje, nie jest tak naprawdę nowy. Sondażowy skok partii Bosaka i Mentzena może się przełożyć na dalszy wzrost notowań – mówi się o suficie 15% – ale nie musi. Potencjał „Konfy" rzeczywiście jest duży – ale o jej ostatecznych sukcesach i tak zdecydują cudze porażki. Konfederacja zyskuje teraz, bo reszta opozycji jest uwikłana w dyskusje o jednej liście i wciąż szuka swojej tożsamości. Być może gdyby Agrounia – lub dowolne inne ugrupowanie – wystartowała szybciej i mocniej jako partia protestu, rozmowy o sukcesach Konfederacji by nie było. Ale dopóki jest ona jedyną siłą w parlamencie, która rzuca wyzwanie wszystkim innym, pozostaje w grze.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 661d6f3dbf

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Ludowa historia mojego Taty

Piszę o moim Tacie, Lucjanie, który zmarł w ostatnich dniach, w 87. roku życia. Jego historia jest oczywiście dla mnie ważna z wielu innych powodów, ale patrzę też na nią jako na historię pewnego nowego, charakterystycznego i wyjątkowego pokolenia.

Kiedy się rodził w Fabianowie, niewielkiej wielkopolskiej wsi gdzieś między Jarocinem a Pleszewem, od pół roku trwała już wojna w Hiszpanii. Jego mamą była Zofia, zajmująca się domem, ziemią i starszym rodzeństwem, ojcem był Józef, stolarz i rolnik, weteran I wojny światowej, która na całe życie opieczętowała go odłamkiem granatu pozostałym w nodze. Wioska została wysiedlona w czasie II wojny, dla kilkuletniego chłopca było to traumatyczne, naznaczone przemocą i niedojadaniem doświadczenie. Powracało. Powojnie było ubogie, ale zwyczajne, wiejskie: krowy, żniwa, rzeczka, szkoła, wąskotorówka, parokilometrowe spacery do kościoła, życzliwy proboszcz. Jego tata potrafił z drewna zrobić wszystko, od służących nam do dzisiaj taborecików do wozu drabiniastego pod zaprzęg. Moja pierwsza konfrontacja z niesprawiedliwością i wyzyskiem, z tym, czym są pieniądze za wykonaną pracę, wiązała się właśnie z tym wozem. Dla mnie był niemal mityczną, olbrzymią machiną, zbudowaną w całości przez dziadka. Okazało się, że dziadek dostał za to jakąś symboliczną sumę, jedną trzecią tego, co Tata w mieście zapłacił za mój pierwszy, używany rowerek Bobo... Drugą częścią zapłaty było użyczenie konia na żniwa.

Tata był ewidentnie uzdolniony, zauważono to, błyskawicznie zakończył edukację podstawową, poszedł do liceum w Pleszewie. Maturę zdawał jako 16-latek. Rozpoczął studia na Politechnice Poznańskiej. Był pierwszą osobą z wioski, która miała maturę i następnie studiowała. I pierwszym magistrem oraz pierwszym inżynierem mechanikiem. Rozumiał, że to dla takiego chłopaka jak on zupełnie nowa szansa i perspektywa, którą przyniosła Polska powojenna. Jego prababka znała jeszcze pańszczyznę.

Przeżył wydarzenia Czerwca 1956 na ulicach zbuntowanego Poznania, dość szczęśliwie nic mu się nie stało, gdzieś w tym tłumie i huku strzałów mijał się ze swoją późniejszą żoną, moją mamą. Jego przyjaciółka z wioski zasłużyła się jako słynna pielęgniarka. Bardzo świadomie przeżył Październik 1956, był, w najszerszym rozumieniu tego słowa, pokoleniem „Po Prostu", a ja do dzisiaj mam październikowe wydanie „Nowych Dróg".

Zaczął pracę, przez rok w Cegielskim, a potem w Instytucie Obróbki Plastycznej, gdzie przepracował całe życie do emerytury. Był konstruktorem, projektantem pieców do obróbki cieplnej metalu. Jego deska kreślarska była moim dziecięcym pejzażem domowym. I kłęby dymu papierosowego, które towarzyszyły mu do późnego wieku. Zaczął palić podczas służby w wojsku, gdzie doszedł do stopnia porucznika (rezerwy), dowodził plutonem czołgów, co odbierałem z zachwytem, oglądając z siostrą pierwszą emisję „Czterech pancernych". Kawa i papierosy to wspomnienie zarówno Taty, jak i moich wypraw do sklepu, kolejek, mordęgi z ręcznym młynkiem. Tata prekursorsko nam tacierzyńskował, kiedy Mama nauczycielka pracowała w szkole dla zaocznych. Szczytem jego kulinarnych osiągnięć była jajecznica, ale z moimi siostrami pamiętamy je dobrze. Jak i wspólne słuchanie radia, „Matysiaków" czy „W Jezioranach". Mieliśmy telewizor!

Kiedy miałem sześć lat, zbudził mnie krzyk Ojca, który biegał po mieszkaniu i pokazywał Mamie, ile to jest osiem metrów dziewięćdziesiąt centymetrów: „Stąd, przez cały pokój do parapetu w kuchni". Bob Beamon wyskakał właśnie swoje złoto w Meksyku. Rok później, grubo po północy, Ojciec zerwał mnie z łóżka, żebym zobaczył Neila Armstronga, który zrobił „mały krok dla człowieka, a wielki dla ludzkości" na Księżycu. Oglądaliśmy razem zmagania Górnika Zabrze z Manchesterem United i rzecz jasna najsłynniejszy polski zwycięski remis na Wembley. Ale Tata nauczył nas pływania, jazdy na rowerze (co sezon rozbierał swój na najdrobniejsze części i konserwował, smarował, udoskonalał), gry w piłkę, szachy (nie dawał wygrać, kiedy wreszcie wygrałem, będąc na studiach – przez kolejne kilka dekad już nie zagraliśmy), wędrowaliśmy.

Jeden z projektów Taty, prototypowego pieca, sprzedano w latach 70. do Indii, Tata pojechał na wyprawę życia, żeby nadzorować jego rozruch. Potem przez lata handryczył się z centralą handlu zagranicznego o odzyskanie należnych diet w dolarach – kiedy je odzyskał, były już niewiele warte.

Po drodze zbudowaliśmy jeszcze murowany domek w naszym ogródku działkowym. Zdobycie każdego papiaka było świętem. Tata obudowywał domeczek swojego projektu w najróżniejsze usprawnienia. W domu były zawsze „Polityka", „Kobieta i Życie", „Przekrój", wtedy już czytałem nałogowo. Tata nie angażował się w nic, co nie było pracą i domem, no, może poza pasją do brydża, także sportowego. Nie był w partii, ale zabierał nas na pochody. Z pewnym dystansem patrzył na mnie, kiedy koniecznie chciałem machać czerwoną szturmówką. Zaangażował się w Solidarność, w Sierpniu 1980 słuchaliśmy wspólnie po raz pierwszy Wałęsy. Potem dłubał coś w podziemnej S w swoim instytucie. Pokazał mi kiedyś skrytki, które zrobił, wkomponowując je w swoje komplety „mebli Kowalskich". Bardzo przemyślne.

Nauczył się komputera i buszowania po sieci już po siedemdziesiątce. Był krytyczny. Dobry, życzliwy, kochający. Nieprzegadany – wybierał słuchanie. Fotografował nasze życie. Czytał Daviesa i Urbana, pytał o Snowdena. Miał poczucie humoru. „Obcinam, obcinam i ciągle za krótkie...". Kochamy go. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 661d6f3dbf

DLA LUDZI W POTRZEBIE

Prawie 300 domów

KATARZYNA DOWBOR

eprasa.pl 661d6f3dbf

Rozmawia Liliana Śnieg-Czaplewska

40 lat w telewizji, w tym dziesięć, prowadząc program „Nasz nowy dom" w Polsacie. Lubi mieć napięty grafik zajęć, bo wtedy ze wszystkim zdąża. W chwilach „wolnych od pracy" napisała „Apetyt na życie. Poradnik dojrzałej kobiety" („taki żarcik", twierdzi), a z Marcinem Koziołem – trzy książeczki dla dzieci. Wszystkie o jej zwierzakach: psach, kotach i koniach. Ma je pod ręką. Psy kręcą się w zgodnej komitywie, choć każdy inny, dwa koty rządzą tą gromadką, a za oknami pasą się konie. Gospodyni „Naszego nowego domu" właśnie nagrała w Polsacie kolejny program. Powoli zbliża się do trzechsetnego.

Cztery dekady w tak kapryśnym medium jak telewizja, chapeau bas! Na dodatek robisz rzeczy ważne i potrzebne.

– Myślę, że dużo szczęścia w życiu miałam. Z publicznej wyrzucono mnie 1 maja, w Święto Pracy.

Z uzasadnieniem?

– Likwidacja stanowiska pracy spikerki, choć w umowie było „publicystka". Pisałam konspekty, scenariusze, kręciłam filmy dokumentalne. Gdyby mnie nie wyrzucono, nigdy nie poszłabym na casting. Już planowałam: wszystko sprzedam, wyjadę na Mazury, otworzę agroturystykę. Na castingu spotkałam kolegów wciąż na etacie w TVP. Był czerwiec, ja – wolny człowiek – poszłam i… wygrałam. Dobrze się stało, bo uwielbiam robić „Nasz nowy dom"; to spełnienie moich marzeń zawodowych.

Przedtem było cię wszędzie pełno.

– Faktycznie, robiłam różne rzeczy. Mam dożywotnią kartę spikerską „S", więc gdy znikł zawód spikerki, zostałam prezenterką, bo uważam, że to nie tylko „pindzia przy stokrotce", jak to barwnie określiła jedna z koleżanek. Lubiłam robić program „Apetyt na zdrowie", gdzie z kolegą promowaliśmy aktywne formy rekreacji, nowe dziedziny sportu, snowboard, rowery górskie, penetrowanie jaskiń. To trwało też z dziesięć lat.

Teraz z jednym programem jeździsz po całej Polsce.

– Mój kolega z ekipy żartuje, że jak zawodowi kierowcy tirów robimy po ok. 4 tys. km miesięcznie.

Przeprowadzacie remont w pięć dni, przygotowania trwają pewnie o wiele dłużej.

– Nie mogę zdradzać tajemnic planu. Kolejność, harmonogramy robót dla ponad 20 osób ekipy budowlanej, logistykę itp. ustalają kierownicy budowy, architekci. To nasi frontmani. Tylko ekipa filmowa jest anonimowa, dlatego lubię o nich mówić.

W latach 90. usłyszałam od Ryszarda Kapuścińskiego, że za dużo jest mediów, kanałów telewizyjnych, stacji radiowych, tytułów prasowych, to nadmiar nie do skonsumowania. Pomyślałam wtedy: przesada. Minęło ćwierć wieku, szum medialny osiągnął apogeum, Kapuściński miał rację. W telewizji królują, obrażając gust i rozsądek, różne głupie formaty. Na tym tle nigdy dość wartościowych programów, zmieniających ludziom życie na lepsze, czyniących dobro. Jeden z nich ty prowadzisz. Kilka innych stacji telewizyjnych też robi remonty, ale chyba bez takiego rozmachu jak wasze – od komina po podłogę. Skąd bierzecie sponsorów?

– Pieniądze na remont daje Polsat, potem biuro reklamy szuka sponsorów. Dają radę, a my nie musimy już się martwić, tylko trzymać kosztorysu. Ja się na finansach nie znam. Ja jestem od serducha. Jestem dumna z tego, co udało nam się wypracować. Siłą programu, jego duszą, są nasi bohaterowie, którzy mówią, co i jak czują. Reagują spontanicznie na informacje, które przywożę, nikt im niczego nie narzuca. Architekci, ekipa budowlana, ja i pozostali to dodatek, jak ręka trzymająca mikrofon.

Super, że każdy remont zaczynacie od zrobienia bezpiecznej instalacji elektrycznej. Ten program to reality show z przesłaniem, a może paradokument?

– Trudno uwierzyć, ale przy okazji nagród branżowych reprezentujemy kategorię „program rozrywkowy", mimo że naprawdę pomagamy, dajemy potrzebującym wędkę.

Raczej rybę. Te pełne lodówki, sprzęty, meble…

– Trochę ryby też, prawda. Ale największą satysfakcję i radość daje pomoc dzieciakom, które zazwyczaj dużo przeszły. Dla nich nowy dom jest arcyważny, bo pozwala im wyjść do świata silniejszymi. My wspieramy ich pasje, one nabierają wiatru w żagle. Chłopiec, któremu załatwiliśmy – dzięki naszemu sponsorowi – stypendium, właśnie zrobił licencjat z informatyki i uczy się dalej. Jego samotnej mamy absolutnie nie było na to stać. Załatwiliśmy mu też profesjonalny komputer; pomoc trafiona w punkt.

> Jestem dumna z tego, co udało nam się wypracować. Siłą programu, jego duszą, są nasi bohaterowie, którzy mówią, co i jak czują.

Kilka lat temu wspomogliście też Janna, który ostatnio wziął udział w preselekcji do Eurowizji.

– Utalentowane plastycznie i muzycznie jest także jego siedmioro rodzeństwa, ze wspaniałą mamą z Lucynowa pod Garwolinem. Jann miło wspominał pomoc naszej ekipy, a my trzymamy za niego kciuki, choć do Eurowizji dostał się ktoś inny. Wszystko przed nim.

W innej małej wsi odkryliśmy chłopaka – wielbiciela flag narodowych, którego otoczenie nie brało na serio: ot, jakieś dziwactwo. A on dzięki hobby geografię miał w małym palcu. My potraktowaliśmy jego pasję poważnie – zrobiliśmy mu tapetę w pokoju we flagi świata, wielką mapę i segregatory.

Niektórzy nie spotkali na swojej drodze nikogo, kto by ich pokierował, a my mamy zawodowych doradców, którzy podpowiadają.

A jak do wsi nie dociera żaden autobus?

– Kilku osobom opłaciliśmy zawodowe kursy online, kursy prawa jazdy itp. i udaje się znaleźć pracę. Jak pani, której po mężu

eprasa.pl 661d6f3dbf

został samochód – zdała egzamin i stała się mobilna. Zaczęła wozić dzieci do szkoły, a sama jeździć do pracy. Pewnej samotnej rencistce z bardzo fajnym synem i z dużym talentem plastycznym znaleźliśmy pracę. Właścicielka kwiaciarni skierowała ją na kurs, a my załatwiliśmy drugi, online. I zaczęła sprzedawać stroiki, które wcześniej rozdawała krewnym i znajomym, a my zrobiliśmy jej w domu pracownię z dużym blatem. Przed świętami przyjechała, by opowiedzieć, jak bardzo jej życie się zmieniło.

Zaspokajacie kroplę w morzu potrzeb, ale ludzka zazdrość się ujawnia?

– W ilości umiarkowanej, to raptem kilka przypadków oblania elewacji czy nieżyczliwej reakcji otoczenia, gdy bohaterowie wymykają się stereotypom. Bo „miała kolczyk w nosie". No, straszne, naprawdę…

My, Polacy, mamy problem z innością.

– Ja, ruda i piegowata, coś o tym wiem. Teraz ludzie się do mnie przyzwyczaili, ale na początku na moją mentorkę Edytkę Wojtczak koleżanki naciskały: „Ona spikerką? No coś ty". Pewna młoda kobieta miała tatuaż i od razu usłyszeliśmy: „Na tatuaż ją stać, a na remont domu już nie".

Raczej by za to remontu nie zrobiła.

– Poza tym każdy ma prawo wyrażać swą osobowość, odmienność, odreagować bodźce. Było kilka przypadków wrogości, bazgroły na ogrodzeniu czy telefon ze skargą do naszej ekipy, to chyba niewiele.

Tak niewiele, że aż niewiarygodne.

– O wiele częstszym zjawiskiem jest chęć niesienia pomocy ze strony otoczenia: „Powiedzcie, co zrobić. O, jak dobrze, że tej rodzinie pomagacie, oni na to zasługują". Naprawdę, o wiele częściej się z tym spotykamy! To miłe zaskoczenie, także dla mnie. Ostatnio spotkałam dyrektorkę szkoły, która, chcąc pomóc, zrobiła naprawdę dużo. Cudowna osoba, wokół cudni ludzie, utalentowana dziewczynka, którą trzeba wspomóc.

Naszą producent Olgę Toporowską najbardziej szanuję za to, że nie zgadza się na „sprzedaż" na wizji intymnych zwierzeń, nie pozwala, aby szły w Polskę. Bo my wyjeżdżamy, a oni zostają. Ktoś opowiada czteroosobowej ekipie o swoim patologicznym małżeństwie, nie wiedząc, że może się o tym dowiedzieć milion widzów, a w związku są dzieci…

…które mają kolegów.

– Jestem dumna, że nie narazilismy nikogo nieobeznanego z mediami na ból rozczarowania.

Mnie osobiście najbardziej żal rodzin, w których są nieuleczalnie chore dzieci, bo to tragedia. Samotne kobiety, samotni ojcowie na pielęgnacyjnym. Dołączę do walki o zwiększenie renty socjalnej do wysokości podstawowego uposażenia i o to, co już zostało obiecane: aby opiekunowie osób z niepełnosprawnością mogli dorabiać.

Robiliśmy dom samotnej matce z córeczką z zespołem Downa. Jako dziennikarka mogłaby dorabiać np. na rehabilitację dla małej. A tego jej nie wolno, bo straci to, co dostaje. To nieludzkie!

Zwłaszcza że dla siebie władza jest bardziej „łaskawa".

– A form pracy jest wiele: umowa o dzieło, ryczałt, praca nakładcza... Połączona ze sprawowaniem opieki byłaby korzystna także dla zdrowia psychicznego opiekunów. Wiem, jakie to ważne, bo wielu ich poznałam.

Najbardziej mi się podoba w naszej ekipie, że nigdy nie zauważyłam u nikogo tonu lekceważenia naszych bohaterów. Że niby gorsi, bo z wychodkiem na podwórku…

Nie oceniają, że to nieudacznicy?

– Nie. Szacunek dla człowieka w potrzebie to cecha całej ekipy. Sądząc zaś po tym, jak chętnie wracamy na plan, a przebywamy ze sobą non stop dłużej niż z własnymi rodzinami, szczerze się lubimy. Kierownik planu ma nieprzypadkowo ksywkę Ojciec, nasz dyżurny, Puzon, też przepada za dziećmi, a one go uwielbiają. I wiesz, co jest jeszcze bardzo fajnego? Że na planie spotkał się tłum ludzi, którzy kochają zwierzęta. Zgodnie optują za kupowaniem bud, budowaniem kojców, uwalnianiem

Największą satysfakcję i radość daje pomoc dzieciakom, które zazwyczaj dużo przeszły.

Wśród podopiecznych, którzy zrobili prawo jazdy, mam nawet swojego ulubionego ojca, pana Zbyszka, którego żona zmarła przy trzecim porodzie. Przerobiliśmy mu kawalerkę, żeby się dzieciaki pomieściły, a gdy się żegnaliśmy, pomachałam mu kluczykami od samochodu: „Mam nadzieję, że następnym razem mnie pan przewiezie swoim samochodem". Gdy po dwóch latach robiliśmy remont w okolicy, przyjechał: „Zabieram panią na przejażdżkę". Skorzystał z naszych podpowiedzi i odłożył na używany samochód! Doradcy zawodowi służą profesjonalną radą, umieją zachęcić, pokierować.

Czujecie się docenieni?

– Czasami boli mnie, a jednocześnie trochę śmieszy, brak sprawiedliwej oceny. Hejtu na szczęście jest niewiele, ale jak słyszę: „Co nie wyremontują, to się pali", wkurzam się. Na prawie 300 domów były trzy wypadki i za każdym razem winny był człowiek. Pierwszy spowodował zalotnik, którego nie chciała kobieta, a liczył na coś więcej. W drugim przypadku państwo w ogóle nie czyścili przewodów kominowych i trochę sobie niefachowo poprzerabiali, w trzecim strażacy nie stwierdzili zwarcia instalacji, tylko „nieostrożność nieletnich". Oczywiście nieżyczliwi wiedzą najlepiej: „Ooo, zwalają winę na dzieci".

Podoba mi się w naszej ekipie, że nigdy nie zauważyłam u nikogo tonu lekceważenia naszych bohaterów. Że niby gorsi, bo z wychodkiem na podwórku.

eprasa.pl 661d6f3dbf

psów z łańcuchów. Nie zgadzamy się na ten proceder. Każdy z nas pomaga, jedna z moich sąsiadek przyjęła już trzy psy z budów. Niestety, smutne, że w tzw. terenie dla psa nie ma krztyny szacunku. Zapytałam kiedyś jednego z naszych bohaterów, dlaczego tak traktuje psa, przecież jest taki fajny. A on na to: „A wie pani, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Dziadek miał psa na łańcuchu, ojciec miał, to i ja". Na to mówię: „Może nadszedł czas, by to zmienić?". Dotarło do niego.

Kojce to...

– Kilka ogrodzonych metrów kwadratowych koło budy, przy ścianie albo płocie. Wiele psów jest agresywnych, bo są nieszczęśliwe.

Twoje psiaki to sama radość, koty się wylegują, a za oknem widać konie.

– Ten duży jest adoptowany z Centaurusa, drugi to bezzębna 33-letnia babunia, trzecia, hucułka, jest w stajni u przyjaciół.

Miłość do koni to po dziadku kawalerzyście, ojcu przyrodniku?

– I po babci oraz mamie, które jeździły konno. Wszyscy mieli własne konie, a ja je mam od 35 lat.

Zdałam sobie sprawę, że nigdy nie widziałam cię na bankiecie, na balu.

– Na co dzień otacza mnie tylu ludzi, że każdą wolną chwilę spędzam na wsi, w dresie i w kaloszach. I uwielbiam to. O godz. 7 rano mój zegar biologiczny mnie budzi, sprawdzam, co się dzieje w kraju i na świecie, no i karmię zwierzęta – to one mnie dyscyplinują.

A jak strzyka w kręgosłupie?

– Trudno. Mnogość zajęć fantastycznie trzyma człowieka w pionie. Bo trzeba pojechać do weterynarza, załatwić siano, szczepienia, zawieźć owies do zgniecenia, aby bezzębna babcia mogła coś zjeść, dokupić witaminy. Im więcej mam obowiązków, tym lepiej jestem zorganizowana. Nie jest tak?

Jest.

– One mnie kochają i na mnie liczą. Nie wyobrażam sobie, bym mogła zawieść moje zwierzęta.

Dziesięć lat to okazja do podsumowań. Wracasz do czegoś pamięcią?

– Niestety, do sytuacji przykrej. Robiliśmy remont domu rodzinie z trójką dzieci i uroczym owczarkiem na łańcuchu. Podczas remontu zapewniali, że to zmienią. On pracował na budowie, ona – matka Polka, w domu. Kupiliśmy budę, obiecali wybieg. Uwierzyliśmy, w końcu facet miał dwie zdrowe rączki i umiał, zresztą i ja to potrafię. Pół roku później byliśmy w okolicy, wzięłam koleżankę, z którą wyprowadzałyśmy tego cudnego psiunia, żeby zobaczyć, jak funkcjonuje. Przyjechałyśmy i dostałam szału. Nie tylko nie zrobili kojca, ale jeszcze pies wrócił na łańcuch tak krótki, że do budy nie mógł wejść. Upał był 30-stopniowy, a pies nie miał wody w misce. Pobiegłyśmy do sklepu po wodę butelkowaną, bo pani nie chciała otworzyć drzwi.

Nie dziwię się, wiedziała, co zrobiła.

– Po napojeniu psa raczyła nam otworzyć; dom był zadbany, ale pani bardzo arogancka: „Jak śmiem ją nachodzić, jej pies – jej sprawa, nie powinnam się wtrącać". Napisała na mnie donos do Polsatu, że „burzę jej mir domowy", a my zwróciliśmy się do miejscowego TOZ i obiecali, że się tym zajmą. Najgorsze, że rodzice dawali zły przykład dzieciom.

Jeśli interwencja TOZ była skuteczna, może zobaczą, że trzeba inaczej traktować zwierzę.

– Chciałabym być optymistką, ale nie zadzwonię.

Liliana Śnieg-Czaplewska

Im więcej mam obowiązków, tym lepiej jestem zorganizowana.

FOT. KATARZYNA CHRZANOWSKA-KOZIOŁ (2)

eprasa.pl 661d6f3dbf

Episkopat i dyktatura

Dzisiaj Kościół katolicki jest w Chile co najwyżej kustoszem dawnego imperium polityczno-gospodarczego

Mateusz Mazzini

Angelo Sodano przyjeżdża do kraju szarego, przepełnionego złowrogą ciszą, straumatyzowanego systemowym terrorem dyktatury. Na początku w ogóle nie chce tam jechać, traktuje to jak zesłanie. Amerykę Łacińską zna, bo w latach 60. był sekretarzem nuncjatur w Ekwadorze, Urugwaju i właśnie w Chile. Choć osobiście jest konserwatystą, nie jest też wcale do końca przekonany do dyktatury i samego Pinocheta. Obserwując przewrót z Watykanu, kwestionuje jego metody, zastanawia się, czy represje są potrzebne aż w takim stopniu. W końcu jednak przyjmuje placówkę bez szemrania jako posłuszny urzędnik Kurii Rzymskiej. Jeszcze wielokrotnie w swojej karierze da się poznać właśnie z absolutnej lojalności wobec zwierzchników. Zawsze będzie realizował strategiczne cele Stolicy Apostolskiej, w dodatku po cichu i bez szemrania. (…)

Zgodnie z ogólną linią geopolityczną Kościoła Angelo Sodano zbliża się do dyktatury. Najpierw – bo dostaje taki rozkaz, potem zaczyna sam popierać reżim Pinocheta. Generał jest już wtedy dla Watykanu ważnym sojusznikiem. Zdławił u siebie rewolucję komunistyczną, wspiera walkę z nią w innych krajach regionu za pomocą operacji „Kondor". Doskonale rozumie też, że aby wygrać z komunizmem, potrzeba pieniędzy. A tych akurat Stolica Apostolska wtedy nie ma za wiele, przynajmniej jak na swoje standardy. Kościelne finanse znajdują się w opłakanym stanie, głównie z powodu kryzysu na światowych rynkach (władze Kościoła lokują dużo pieniędzy w zagraniczne instrumenty finansowe), upadku włoskiego Banco Ambrosiano, którego była akcjonariuszem, i innych nietrafionych inwestycji. Z kolei potrzeby rosną z dnia na dzień. Zwłaszcza na początku lat 80., kiedy Karol Wojtyła zaczyna pomagać finansowo antykomunistycznym ruchom na całym świecie, na czele z polską Solidarnością.

Oficjalnie żadnych przepływów finansowych pomiędzy Chile, Watykanem i Polską nie udowodniono. Pozostają spekulacje (…). Sporo o kroplówce finansowej od dyktatora dla polskiej opozycji, stworzonej z inicjatywy Jana Pawła II, pisze w „Sodomie" Frédéric Martel, francuski dziennikarz śledczy zajmujący się homoseksualizmem i przestępstwami seksualnymi w Kościele katolickim – ale i on pozostawia tylko domysły. (…)

•

Mijają lata, Związek Radziecki chyli się ku upadkowi, a zimna wojna zbliża do końca. Sodano tymczasem skleja się z dyktaturą coraz bardziej. W Santiago można spotkać go częściej w towarzystwie rządowych oficjeli niż kościelnych purpuratów, niespecjalnie angażuje się też w sprawy miejscowej wiary. Przez całą dekadę lat 80. Sodano to w Chile nie duchowny, ale polityk. Aktywnie uczestniczy w pracach nad reformami politycznymi, regularnie widuje się z Pinochetem – choć nadal robi tylko to, czego wymaga od niego Watykan. Chociażby z tego względu pytanie, czy popiera generała, jest bez znaczenia, nawet jeśli watykaniści i dziennikarze zajmujący się kościelną elitą piszą, że wtedy ze strony Sodano pod adresem dyktatury płynęła już wyłącznie aprobata. Szczyt jego potęgi jako nuncjusza przypada na rok 1987, kiedy do Chile przyjeżdża z pielgrzymką Jan Paweł II. Sodano angażuje się w organizację wizyty, choć w sposób inny, niż można by się tego spodziewać. Na spotkaniach przygotowujących przyjazd papieża bywa regularnie, ale zachowuje się na nich nie jak przedstawiciel Stolicy Apostolskiej, tylko dyktatury. To on ustala harmonogram podróży Ojca Świętego po kraju, wybiera oficjeli, z którymi papież ma się spotkać. (…) Pod każdym względem to jest jego projekt.

Tamta pielgrzymka przeszła zresztą do historii jako jedna z najbardziej kontrowersyjnych w całym pontyfikacie Jana Pawła II. Do dzisiaj wywołuje skrajne emocje (…). Chilijska lewica – ta stara, z czasów opozycji demokratycznej, i ta nowa, naoliwiona zarzutami o molestowanie – Wojtyłę i Pinocheta wrzuca do jednego worka. Po lewej stronie panuje narracja, że przyjazd papieża do Chile był odwiedzinami u dobrego kolegi, ideologicznego sojusznika, sponsora. Od tamtejszych marksistów, komunistów czy ludzi związanych swego czasu z ruchami teologii wyzwolenia można usłyszeć, że Jan Paweł II doskonale wiedział o torturach DINA i CNI, skandalach seksualnych, ale na wszystkie te rzeczy przymykał

Mateusz Mazzini – latynoamerykanista, socjolog, reporter. Stały współpracownik „Przeglądu", „Gazety Wyborczej" i „Polityki". Publikuje również w „Washington Post", „El País", „Foreign Affairs", „Foreign Policy". Nominowany do Nagrody Grand Press. Absolwent University of Oxford, badacz wizytujący na University College London. Wykładowca Collegium Civitas.

eprasa.pl 661d6f3dbf

Jan Paweł II z Augustem Pinochetem podczas pielgrzymki do Chile w 1987 r.

oko, bo Pinochet świetnie sprawdzał się jako partner w globalnej krucjacie antykomunistycznej.

Drugie plemię polityczne, też z korzeniami w dawnej opozycji, ale już bliższe Kościołowi, twierdzi, że zły generał wykorzystał niedoinformowanego, dobrodusznego papieża do własnych celów politycznych. Wedle tej wersji historii Wojtyła miał do Chile jechać pełen wściekłości na łamanie praw człowieka, ale też nadziei, że tragedię uda mu się zastopować. Mniejsza o to, czy chciał to robić za pomocą własnej perswazji czy interwencji Ducha Świętego. Pinochet okazał się jednak trudniejszym przeciwnikiem, niż sądził papież, i koniec końców Jan Paweł II wpadł w zasadzkę, bo wspólne zdjęcia z generałem, bliskość z Sodano i bardzo populistyczne, wygłaszane w czasie pielgrzymki kazania tak naprawdę jeszcze bardziej legitymizowały dyktaturę, wzmacniając jej mandat zwłaszcza poza granicami Chile.

Zgodnie z linią geopolityczną Kościoła Angelo Sodano zbliża się do dyktatury. Najpierw – bo dostaje taki rozkaz, potem zaczyna sam popierać reżim Pinocheta.

Trzecia opowieść to hagiografia Jana Pawła II, popularna wśród części chilijskiej prawicy, ale też dzisiejszych obrońców dziedzictwa papieża Polaka w Watykanie i na świecie. Wojtyle przypisuje się w niej zdolności cudowne, bywa, że wręcz magiczne. Katolicki internet przepełniony jest świadectwami po angielsku, włosku i hiszpańsku opisującymi pielgrzymkę z 1987 r. jako gigantyczny sukces – polityczny i ewangelizacyjny. Opierają się one na założeniu, że Jan Paweł II tak naprawdę dyktatury nigdy nie popierał, nawet nie akceptował. Przecież już w 1979 r. w trakcie nabożeństwa na placu św. Piotra apelował o wypuszczenie więźniów politycznych w Argentynie i Chile. Potem, kiedy już w Chile się pojawił, realizował przede wszystkim przesłanie tej wizyty, jakim było hasło „El amor es más fuerte" – miłość jest silniejsza.

Z młodymi, których tak bardzo kochał, spotkał się na Stadionie Narodowym, co było symbolicznym gestem, modlitwą za dusze tych, którzy ponieśli tu śmierć. Pytany, czy niesie Chilijczykom demokrację, odpowiadał, że wprawdzie nie głosi ewangelii demokracji, tylko ewangelię Boga, ale ta zawiera wszystkie kwestie związane z prawami człowieka. Tak więc jeśli demokracja popiera ich ochronę, to jest integralnym elementem nauczania Kościoła. Warto pochylić się nad hierarchią wartości zawartą w tych słowach: demokracja i prawa człowieka są co najwyżej elementem religijnej układanki, nie nadrzędnym dobrem, celem samym w sobie. Możemy je więc zaakceptować, ale pod warunkiem ich kompatybilności z tym, co płynie z Kościoła – czyli tak naprawdę z Watykanu.

Ta quasi-magiczna narracja zawiera jeszcze jeden ciekawy element, dotyczący spotkania papieża z Pinochetem w cztery oczy. Obaj mieli wtedy dyskutować o sytuacji politycznej w Chile i całym regionie. Według hagiografów papieża generał

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 661d6f3dbf

zapytał podobno, dlaczego Kościół zawsze tyle mówi o demokracji i staje po jej stronie, skoro każda polityczna forma rządów jest w zasadzie tak samo dobra. Odpowiedź Wojtyły była stanowcza i w kontekście tej mitologii bardzo przewidywalna. Stwierdził podobno, że Pinochet się myli, bo wszyscy ludzie mają prawo do swoich wolności, nawet jeśli czasem popełniają błędy przy korzystaniu z nich. Generała te słowa poruszyły do głębi – i nic dziwnego, w końcu padły z ust przyszłego świętego. Pod ich wpływem poddał krytycznej refleksji swoje metody i właśnie wtedy, w pierwszych dniach kwietnia 1987 r., podjął decyzję o natychmiastowej liberalizacji polityki rządu.

Dalszy ciąg jest doskonale znany. Referendum, porażka Pinocheta, zwycięstwo demokracji, wzmocnienie wolnego rynku, który jest przecież uosobieniem słów Wojtyły o powszechnym prawie do korzystania z ludzkich wolności. A na świecie – upadek imperium zła, zburzenie muru berlińskiego, koniec zimnej wojny. Demon komunizmu zostaje raz na zawsze pokonany światłością katolicyzmu, demokracji, kapitalizmu. W nowej rzeczywistości znalazło się też oczywiście miejsce dla Pinocheta, który w tej opowieści jest przecież synem marnotrawnym. A wszystko dzięki osobistemu kontaktowi z papieżem Polakiem.

Empiryczne dowody? Zwolennicy tej tezy znajdują je bez trudu. Przecież Wojtyła w czasie pobytu w Chile spotyka się z przedstawicielami opozycji, mimo że Pinochet do spotkania nie chciał dopuścić. Wspólne zdjęcie dyktatora z Ojcem Świętym na balkonie pałacu La Moneda? Pułapka zastawiona przez nienawróconego jeszcze ze złej drogi generała, który w trakcie oprowadzania papieża po pałacu prezydenckim przeprowadził gościa przez drzwi, nie mówiąc mu, że za nimi jest kurtyna, a za nią – taras, pod którym od kilku godzin wystawały tysiące ludzi. Jan Paweł II nie miał o niczym pojęcia, nie chciał tego, ale wpadł w pułapkę. (…)

Niewiele mówi się z kolei o tym, jak ta pielgrzymka wyglądała z perspektywy chilijskiego społeczeństwa. Zapomniane w głównym nurcie są chociażby wydarzenia z mszy w stołecznym parku O'Higginsa, gdzie na modlitwach zgromadziło się przeszło milion osób. Przed nabożeństwem i w jego trakcie dochodziło jednak do zamieszek, starć z policją. Protestowały przede wszystkim osoby związane z opozycją, rodziny ofiar dyktatury domagające się potępienia Pinocheta przez chilijskich hierarchów i Stolicę Apostolską. Niektórzy próbowali przedostać się pod ołtarz polowy, inni rzucali w policjantów i propinochetowskich dziennikarzy kamieniami i butelkami. Mundurowi odpowiedzieli armatkami wodnymi i gazem łzawiącym, w końcu rozpędzili tłum szarżą konną. Rannych zostało kilkadziesiąt osób po obu stronach. Według archiwalnych relacji prasowych papież, odprawiając mszę, zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje na tyłach parku. W czasie homilii mówił wielokrotnie, że przemoc nie jest rozwiązaniem chilijskich problemów. Po zakończeniu nabożeństwa pozostał w pozycji klęczącej, oczekując na zakończenie starć. Wstał dopiero, kiedy przekazano mu informację, że zamieszki zostały spacyfikowane.

Propagandowo na pielgrzymce zyskali obaj – i Pinochet, i Wojtyła. Dyktatorowi przysłużyła się do silniejszej legitymizacji dyktatury w oczach świata i własnego narodu. Tej pierwszej potrzebował już wtedy desperacko, po tym jak opuścił go najważniejszy sojusznik, Stany Zjednoczone. Papież z kolei po raz kolejny pokazał się jako sprawny negocjator, wytrawny polityk, znajdujący wspólny język zarówno z przywódcami – złymi i dobrymi, jak i ze zwykłymi ludźmi. Sam nie krył zadowolenia z wyjazdu, a karność i sumienność Sodano nie pozostała niezauważona. W 1988 r. Wojtyła ściąga go do Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej, gdzie Sodano obejmuje funkcję sekretarza tzw. sekcji kontaktów z państwami – jednego z dwóch najważniejszych pionów w całej instytucji. W dodatku staje też na czele papieskiej komisji ds. Rosji, co w tamtym okresie – końcówce lat 80., naznaczonych niepewnością wokół tego, co wydarzy się w Związku Radzieckim – jest stanowiskiem szczególnie newralgicznym i ważnym. W momencie wielkich przemian Sodano stoi w pierwszym szeregu. To najlepiej pokazuje zaufanie, jakim darzył go Karol Wojtyła.

Stamtąd do przejęcia władzy w całym Sekretariacie Stanu już tylko krok. Sodano staje na jego czele trzy lata później, w 1991 r. Jan Paweł II jest coraz słabszy, schorowany. Zmienia się też świat wokoło: nie ma już podziału na dobrych demokratów i złych komunistów. Coraz więcej decyzji podejmowanych jest nie przez samego Wojtyłę, ale przez Angela Sodano i Stanisława Dziwisza. Nie przepadają za sobą, o wzajemnym szacunku nie ma mowy – arystokrata Sodano wywyższa się nad Dziwisza, ten odpowiada odcinaniem mu dostępu do papieża. Dzielą się więc obowiązkami i strefami wpływów, żeby jak najmniej wchodzić sobie w drogę. Byłemu nuncjuszowi przypada wszystko, co dzieje się na półkuli zachodniej, Dziwisz zajmuje się Wschodem. Dzięki temu Sodano może nadal obserwować wydarzenia w Ameryce Łacińskiej, a ściślej w Chile.

Z Pinochetem pozostał w bliskich stosunkach do samej jego śmierci. Przez cały okres na stanowisku sekretarza stanu wysyła jemu i jego żonie życzenia na Boże Narodzenie, pisane na watykańskiej papeterii. Wtedy też, przy słabnącym papieżu, po raz pierwszy decyduje się ujawnić własne poglądy. Kiedy Baltasar Garzón zamyka Pinocheta w areszcie domowym w Wielkiej Brytanii, Watykan staje w obronie byłego dyktatora. Stolica Apostolska wydaje oświadczenie, w którym daje wyraz

Przez całą dekadę lat 80. Sodano to w Chile nie duchowny, ale polityk. Uczestniczy w pracach nad reformami, regularnie widuje się z Pinochetem.

eprasa.pl 661d6f3dbf

obawom o przyszłość procesu rekoncyliacyjnego w Chile w świetle aresztowania Pinocheta. Wcześniej do brytyjskiego Foreign Office list wysyła sam Sodano. Daje do zrozumienia, że przetrzymywanie generała może zaszkodzić chilijskiej demokracji, apeluje o rozwagę i ostrożność w rozpatrywaniu argumentów Garzóna, co należy odczytywać jako wezwanie do wypuszczenia Pinocheta na wolność. Działania Watykanu wywołują spory szok na świecie, choć w Chile – niekoniecznie. Amnesty International pisze kolejny list, tym razem do samego Jana Pawła II, nawołując, żeby papież potępił generała. Podobne apele spływają od innych organizacji pozarządowych. Wojtyła milczy. Pod żadnym dokumentem w tej sprawie nie widnieje jego podpis.

Wszystkie natomiast sygnował – jawnie, otwarcie – Angelo Sodano. (…)

•

Po 1989 r. chilijski episkopat szybko dostosował się do nowych realiów politycznych. Choć Pinochetowi udało się wymienić wszystkich niewygodnych biskupów i nadać Kościołowi jednoznacznie konserwatywny charakter, paradoksalnie w ostatnich latach istnienia dyktatury relacje między rządem i hierarchami stawały się coraz bardziej napięte. Kościół mocno pchał się do polityki, ponieważ czuł presję na swoich tyłach. Stracił poparcie w klasie robotniczej, rozczarowanej brakiem potępienia działań reżimu przez duchownych i ich bezkrytyczną aprobatą dla neoliberalnej doktryny ekonomicznej. Coraz więcej wiernych odchodziło też do Kościołów neoprotestanckich, co wtedy dopiero zaczynało być problemem, a dzisiaj jest dla Kościoła katolickiego zagrożeniem wręcz egzystencjalnym. Nie tylko w Chile, w całej Ameryce Łacińskiej. Bogate w zasoby, sponsorowane przez amerykański rząd i CIA kolejne kongregacje wkraczały na teren chilijskiego episkopatu, werbując tysiące nowych członków. Neoprotestantyzm znalazł w Chile szczególnie żyzny grunt dla swojej działalności, bo jest religią niesamowicie wręcz nastawioną na kult przedsiębiorczości i osobistego zysku materialnego. Klasa średnia przechodziła więc do zielonoświątkowców i baptystów, robotnicy wiarę porzucali zupełnie. Trzeba było się bronić.

W ciągu zaledwie pół wieku Kościół katolicki stracił w Chile jedną trzecią wyznawców.

Katoliccy hierarchowie, czując wiatr zmian, zaczęli więc kopać pod dyktaturą. W czasie kampanii przed plebiscytem w 1988 r. wielu z nich sekretnie namawiało do głosowania na „nie", czyli przeciwko pozostaniu Pinocheta u władzy. Angażowali się też w negocjacje opozycyjne, forsując powstanie wspólnej prodemokratycznej listy. Pinochetystom zaleźli za skórę tak bardzo, że ówczesny minister spraw wewnętrznych Sergio Fernández nazwał Kościół katolicki „największym zagrożeniem dla ustanowienia w Chile pokoju". (…)

•

Kościół w Chile przez 30 lat demokracji mocno się okopał na pozycjach społecznego konserwatyzmu i ani myślał ustępować. (…) Po transformacji ani biskupów, ani pinochetystów społeczeństwo może nie ceniło w przytłaczającej większości, obie grupy miały jednak wiernych zwolenników, więc władze demokratyczne stąpały wokół nich na palcach. Jeden fałszywy ruch i proces demokratyzacji może zachwiać się w posadach. W kontekście Kościoła szczególnie ważne były jego związki z biznesem. Najbogatsze rodziny w Chile pozostawały mocno religijne, świątynie w El Golf czy Providencii były pełne jeszcze w połowie pierwszej dekady XXI w., co już wtedy stanowiło rzadkość w całym krajobrazie latynoamerykańskim. Jakakolwiek rewolta w kierunku laickości byłaby więc potencjalnym zarzewiem konfliktu z tymi, z którymi spór był nieopłacalny.

Zupełnie inaczej wyglądała pozycja Kościoła, jeśli spojrzeć na nią od dołu, okiem wiernych. Będący w sojuszu z wielkimi, najczęściej prawicowymi pieniędzmi, popierający neoliberalną doktrynę ekonomiczną,

Wielu wiernych nigdy nie wybaczyło chilijskim hierarchom ciepłych relacji z Pinochetem.

niechętny do angażowania się na rzecz najbiedniejszych – tracił posłuch w społeczeństwie. Niektórzy hierarchowie, jak Sergio Valech, stawali się wprawdzie bohaterami narodowego pojednania przez swoje zaangażowanie w komisje prawdy, ale szczyt tej góry niewiele miał wspólnego z jej podstawą. Kościół w Chile odpuścił tradycyjne obszary aktywności, takie jak pomoc bezrobotnym czy wielodzietnym rodzinom. Księża przestali być aktywni w dzielnicach biedy, tworząc niszę, w którą błyskawicznie wskoczyli neoprotestanccy misjonarze, dzisiaj absolutnie wygrywający walkę o rząd dusz chilijskiej biedoty. Brakowało też zdecydowanego głosu Kościoła w obronie Mapuczów, w demokratycznym Chile wroga publicznego numer jeden, zwłaszcza z punktu widzenia wielkomiejskich elit. Wszystko to sprawiło, że Chilijczycy od wyznania rzymskokatolickiego się po prostu odwrócili.

Jak wynika z danych amerykańskiego centrum badawczego Pew Research, Chile ma dzisiaj jeden z najwyższych w regionie – po Urugwaju i Dominikanie – odsetek populacji niedefiniującej się jako członkowie jakiejkolwiek zinstytucjonalizowanej grupy religijnej: 3% uważa się za agnostyków, 2% za ateistów, aż 11% nie ma zdania na ten temat. Maleje też część społeczeństwa, która identyfikuje się z katolicyzmem. W szczycie popularności Allende i marksistowskiej lewicy, a więc w okresie teoretycznie

eprasa.pl 661d6f3dbf

trudnym dla Kościoła, było to aż 76% obywateli. (…) W ciągu zaledwie pół wieku Kościół katolicki stracił w Chile jedną trzecią wyznawców.

Kryzys ilościowy nie pokazuje jednak pełnej skali kryzysu katolicyzmu. O wiele więcej mówią na ten temat dane dotyczące jakości wiernych. Aż 41% Chilijczyków, najwięcej spośród wszystkich badanych przez Pew Research Center społeczeństw na świecie, było w 2017 r. zdania, że religia nie odgrywa w ich życiu ważnej roli lub jest kompletnie nieobecna. Spośród tych, którzy deklarują się jako katolicy, najważniejsza w życiu jest tylko dla co drugiego (48%). Zaledwie 19% uczęszcza na mszę co niedzielę. Wyniki te są zgodne z ogólnym trendem sekularyzacji w Ameryce Łacińskiej (…).

W tę niszę z impetem wchodzą neoprotestanci. Według różnych źródeł jest ich w tej chwili w Chile od 17% do nawet 25%, liczby te rosną. Ekspansja neoprotestantyzmu, zwłaszcza różnej maści Kościołów zielonoświątkowych, ma jednak zupełnie inny wymiar, jeśli chodzi o postawy publiczne i konsekwencje dla społeczeństwa. Neofici tych kongregacji są znacznie bardziej ze swojej wiary dumni i skłonni do jej manifestacji, a ich zaangażowanie w życie religijne, także na poziomie duchowym, jest dużo głębsze. (…)

•

Dzisiaj Kościół katolicki jest w Chile co najwyżej kustoszem dawnego imperium polityczno-gospodarczego. W pewnym sensie na margines zepchnął się sam, kompletnie tracąc słuch społeczny. Nominaci z czasów Wojtyły skleili się z władzą i neoliberalnym porządkiem gospodarczym, oddalając się od narodu. A ten bardzo się zmieniał i przede wszystkim przestał potrzebować moralnego drogowskazu, przynajmniej w tej archaicznej, konserwatywnej, opresyjnej formie, jaką oferowali księża. Wielu z nich żyło dawną sławą, tłumami na papieskiej pielgrzymce, poczuciem brania udziału w bitwie o losy świata.

Spore wpływy Kościół zachował tylko jako instytucja, nie jako duszpasterstwo. Nadal posiada liczne nieruchomości, prowadzi szpitale, zwłaszcza na prowincji. Jest magnatem edukacyjnym i głównie dzięki temu utrzymuje się finansowo na powierzchni. Katolickie przedszkola, szkoły podstawowe, licea, uniwersytety zapewniają stały dochód, którego nie dostarczają już masy rzucające co niedzielę na tacę. Działalność w oświacie opłaca się głównie dlatego, że edukacja katolicka jest wciąż w Chile uważana za najbardziej elitarną – to nie zmieniło się od początków XX w. Cztery najaktywniejsze w tym zakresie katolickie kongregacje: Towarzystwo Jezusowe, Opus Dei, Kongregacja Świętego Krzyża i Legion Chrystusa, prowadzą w Chile łącznie 26 zespołów szkół pierwszego i drugiego stopnia, w których uczy się prawie 30 tys. uczniów. Rodziny każdego z nich płacą czesne, często wynoszące kilka średnich pensji miesięcznych.

Zbliżenie episkopatu i dyktatury dobrze pamiętano przez wiele lat po zmianie ustroju.

Równie drogie są katolickie uniwersytety, których w Chile działa obecnie sześć. Dwa z nich – w Santiago i Valapraíso – noszą tytuł uniwersytetów pontyfikalnych, więc z formalnego punktu widzenia kontrolę nad nimi sprawuje Watykan, a nawet sam papież. Stołeczny Papieski Uniwersytet Katolicki Chile jest obok świeckiego, publicznego Universidad de Chile najlepszą uczelnią wyższą w kraju; obie szkoły od dekad rywalizują ze sobą we wszystkim: od wyników naukowych, przez zaangażowanie polityczne absolwentów, po osiągnięcia sportowe. A najbardziej – w piłce nożnej. Dawniej w chilijskim społeczeństwie obowiązywał jasny podział. Elity konserwatywne, mieszczańskie, splecione z Kościołem i sektorem prywatnym, wywodzące się jeszcze z kolonialnych europejskich rodzin, posyłały dzieci na uniwersytet papieski. Progresywni intelektualiści kształcili się na uczelni świeckiej. Dzisiaj granica zatarła się tak bardzo, że praktycznie nie istnieje. Tak samo jak w dużej mierze istnieć przestała ideologiczna różnica pomiędzy centrolewicą i demokratyczną prawicą. W pewnym więc sensie sektor uczelni wyższych jest miniaturą stosunków politycznych w Chile po transformacji ustrojowej. Spory światopoglądowe przestały odgrywać pierwszoplanową rolę, o wszystkim decydują dziś pieniądze i koneksje – bez względu na to, czy chodzi o zdobycie miejsca na liście wyborczej, nieważne w której partii, lub miejsca na uniwersytecie, nieważne, czy katolickim, czy świeckim.

Wielu wiernych nigdy nie wybaczyło chilijskim hierarchom ciepłych relacji z Pinochetem i późniejszego jednoznacznego legitymizowania transformacyjnego konsensusu. Przyczyn odejścia od Kościoła było oczywiście wiele, wliczając w to liberalizację norm społecznych i kwestie ekonomiczne, ale zbliżenie episkopatu i dyktatury dobrze pamiętano przez wiele lat po zmianie ustroju, tak samo jak brak sprzeciwu wobec neoliberalizmu. Im bardziej ulica chciała ze wspomnianym konsensusem zerwać, zastąpić go nową umową społeczną, tym większy opór stawiali hierarchowie. Być może wiedzieli, a być może tylko przeczuwali, że nic innego nie utrzyma ich przy władzy i że społeczeństwo drugi raz nie wyniesie ich na piedestał. Odchodził porządek, którego integralną część stanowili. I pewnie odejście to odbywałoby się powoli, a śmierć byłaby naturalna, rozciągnięta w czasie, relatywnie bezbolesna, gdyby ktoś nie pociągnął za spust i nie wystrzelił śmiertelnego naboju. Tym nabojem było ujawnienie wszechobecnej w chilijskim Kościele katolickim pedofilii.

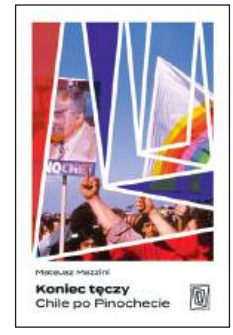

Fragmenty książki Mateusza Mazziniego *Koniec tęczy. Chile po Pinochecie*, Wydawnictwo Otwarte, Kraków 2023

eprasa.pl 661d6f3dbf

Protest przeciwko planowi Netanjahu, Jerozolima, 27 marca 2023 r.

Prywatny sąd czy prywatne bojówki?

Beniamin Netanjahu zawiesił kontrowersyjną reformę sądownictwa

Jakub Katulski

Setki tysięcy Izraelczyków protestujących w ostatnich tygodniach mogą choć na chwilę odetchnąć z ulgą – Beniamin Netanjahu ogłosił, że wstrzymuje się z kontrowersyjną reformą sądownictwa. Zmiany proponowane przez rząd Likudu i koalicjantów skupiały też na sobie uwagę mediów i analityków nie tylko w Izraelu, ale i w innych krajach Bliskiego Wschodu oraz na Zachodzie, przypominają bowiem, co zauważyli demonstrujący, reformy przeprowadzone przez rządy Polski i Węgier. W percepcji znacznej części społeczeństwa propozycje ministra sprawiedliwości Jariwa Lewina zagroziłyby demokratycznemu charakterowi Izraela, który wyróżnia państwo żydowskie na tle autorytarnych reżimów regionu.

Według rządowego planu konieczna jest zmiana sposobu wybierania sędziów Sądu Najwyższego (a także wszystkich innych sądów), którzy wyłaniani są przez specjalny komitet, w skład którego wchodzą przedstawiciele władz i środowiska prawniczego. Rząd tłumaczy, że dzisiaj to sędziowska samowolka, że wybierają oni spośród siebie osoby na eksponowane stanowiska. Potrzebne byłoby zatem powiększenie komitetu, tak by przeważała w nim władza wykonawcza.

Na tym jednak pakiet reform się nie kończy, bo planowane jest również wprowadzenie klauzuli umożliwiającej parlamentowi odrzucanie wyroków Sądu Najwyższego, gdy ten orzeka o konstytucyjności przyjmowanych ustaw. Wśród innych kontrowersyjnych przepisów, zaprojektowanych tak, by przynieść bezpośrednie korzyści politykom rządzącej obecnie koalicji, najgłośniej zaś o prawie, które zabroniłoby Sądowi Najwyższemu wpływania na skład rządu. Ma to unieważnić decyzję SN ze stycznia, w związku z którą Arje Deri, lider partii Szas i skazany przestępca podatkowy, został zdymisjonowany przez Bibiego ze stanowiska ministra spraw wewnętrznych i ministra zdrowia. Kolejny mający działać wstecz przepis unieważni zeszłoroczny wyrok nakazujący premierowi Netanjahu zwrócenie bezprawnej darowizny w wysokości 270 tys. dol., którą Bibi otrzymał na wydatki związane z obsługą prawną ciążących na nim zarzutów korupcyjnych od kuzyna, amerykańskiego biznesmena Nathana Milikowsky'ego.

Takie zmiany byłyby niepożądane, a protestujący dawali temu wyraz, wykrzykując, że nie chcą, by ich kraj stał się drugą Polską czy Węgrami. Nie uspokoiło ich też to, że wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński w wywiadzie udzielonym Robertowi Mazurkowi w RMF FM przyznał wprost, że rząd PiS „dzielił się doświadczeniami" ze stroną izraelską w zakresie zmian w sądownictwie, zresztą na zapytanie Izraela.

W ostatnich tygodniach zaczęły się pojawiać rysy na rządzącej Izraelem koalicji, widoczne szczególnie w partii premiera. Minister obrony Joaw Galant najgłośniej wzywał do

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 661d6f3dbf

wstrzymania reform, mówiąc, że pozostanie na stanowisku będzie dla niego trudne, zwłaszcza że liczni żołnierze rezerwy odmawiali stawiania się na służbę i ćwiczenia, jeśli zmiany zostaną wprowadzone w życie. Rezerwiści są istotną częścią systemu obrony Izraela, gdyż większość obywateli podlega obowiązkowi służby wojskowej, a tym samym na ich mobilizacji oparte są strategie na wypadek eskalacji konfliktów z Hamasem i Palestyńskim Islamskim Dżihadem w Strefie Gazy bądź konfliktu z innymi sąsiadami czy nawet z oddalonym Iranem, który postrzegany jest dzisiaj jako największe zagrożenie dla Izraela.

Przeciwwagą dla Galanta okazał się minister bezpieczeństwa publicznego Itamar Ben Gwir, odpowiedzialny za izraelską policję. Przywódca skrajnie prawicowego ugrupowania Ocma Jehudit (hebr. Żydowska Siła), w przeszłości skazany za rasizm i wspieranie organizacji terrorystycznej, zaznaczył, że jeśli Netanjahu zatrzyma reformę, on odejdzie z rządu, co mogłoby się zakończyć rozpadem koalicji i kolejnymi wyborami, choć ostatnie miały miejsce ledwie w listopadzie.

Netanjahu postawił na publiczne ogłoszenie dymisji Galanta (chociaż do momentu oddania tego tekstu do druku minister według izraelskich mediów wciąż nie otrzymał oficjalnego dokumentu potwierdzającego dymisję), gdyż, jak sam powiedział, „stracił wiarę" w niego jako ministra. Krótko później jednak ogłosił, że zmiany w sądownictwie zostaną zatrzymane, przynajmniej do maja, kiedy odbędzie się następne posiedzenie Knesetu. Ta decyzja nie zakończyła się bynajmniej rozpadem rządu, gdyż Ben Gwirowi udało się wynegocjować coś, o co zabiegał od lat, zanim jeszcze został istotnym strategicznie koalicjantem Netanjahu. Premier zgodził się, by w parlamencie rozpoczęły się prace nad ustawą o utworzeniu gwardii narodowej. Nowa służba ma się składać z ochotników i, jeśli wierzyć przeciekom medialnym, jej budżet sięgać będzie miliarda szekli. Przede wszystkim jednak ci ochotnicy mają podlegać bezpośrednio poleceniom ministra bezpieczeństwa publicznego, pomijając w formalnej hierarchii zawodowych oficerów policji.

Pojawiły się więc obawy, że Ben Gwir otrzymał od Netanjahu prywatną bojówkę. Izraelska prawica, zwłaszcza ta związana z ruchem osadniczym, wzywała do utworzenia takiej formacji jeszcze w 2021 r., kiedy dochodziło do zamieszek na tle etnicznym i starć między izraelskimi Żydami i Arabami, kolejnej eskalacji konfliktu po decyzji o eksmisji rodzin z Szajch Dżarrah (wstrzymanej później przez Sąd Najwyższy).

Planowane jest wprowadzenie klauzuli pozwalającej parlamentowi odrzucać wyroki Sądu Najwyższego.

Zdaniem prawicowych aktywistów gwardia mogłaby być mobilizowana w momentach kryzysów wewnętrznych. Przeciwnicy tego pomysłu sugerują, że wykorzystanie źle wyszkolonych ochotników, którzy potencjalnie rekrutowaliby się z tzw. młodzieży ze wzgórz (młodych osadników zamieszkujących osiedla na Zachodnim Brzegu, nielegalne nawet według prawa izraelskiego), samo w sobie stanowi zagrożenie wewnętrzne i będzie jedynie nasilać przemoc. Tym bardziej jeśli rzeczywiście podlegaliby oni bezpośrednio Ben Gwirowi. Ten bowiem w ostatnich tygodniach był krytykowany za wzywanie policji do stosowania siły przeciwko demonstrującym, zupełnie jakby armatki wodne, granaty hukowe i oddziały konne były niewystarczające. Sąd Najwyższy zresztą zabronił mu wydawania poleceń operacyjnych policjantom, bo w ten sposób wykraczałby on poza swoje kompetencje ministerialne.

Ben Gwir miał w ostatnich dniach omawiać koncepcję gwardii narodowej z szefem policji Kobim Szabtajem, dynamicznie zabierając się do pracy nad nowym prawem. Raczej jednak nie oznacza to, że koncepcja reformy sądownictwa, do której prawica wzywała od lat, zostanie całkowicie porzucona przez rząd Netanjahu. W tej chwili w ramach koalicji Arje Deri mediuje między premierem a Joawem Galantem, starając się wypracować kompromis, który pomoże utrzymać ministra obrony na stanowisku. Do kompromisu w kwestii reformy wezwał też rząd i największe ugrupowania opozycyjne prezydent Icchak Herzog. Wcześniej przedstawił własną propozycję, która jednak została odrzucona przez obie strony sporu. Rząd przekonywał, że jest zbyt bliska obecnego status quo, opozycja zaś uważała ją za wyciągnięcie ręki do Netanjahu.

Nowy pomysł przedstawił także Uriel Lynn, doświadczony parlamentarzysta z Likudu. Według niego klauzula uchylająca jest konieczna, ale powinna być oparta na większości stanowionej 67 głosów w Knesecie, co w przypadku większości ostatnich kadencji wymuszałoby ponadpartyjną zgodę na odrzucenie wyroku sądu. Co więcej, zaproponował, by to prezydent zasiadał na czele komitetu decydującego o składzie sądów. Byłoby to pewne novum, gdyż rola prezydenta Izraela jest raczej symboliczna, a według tej koncepcji uzyskałby on znacząco większy wpływ na kształtowanie polityki kraju.

Nie wiadomo jeszcze, czy ta propozycja zostanie przyjęta, ale może Netanjahu będzie bardziej skory do kompromisów teraz, kiedy administracja Joego Bidena wzmocniła naciski. Amerykanie są najważniejszym strategicznym sojusznikiem Izraela i od początku protestów wzywali Netanjahu, by nie rozmontowywał dotychczasowego systemu. Dzisiaj jednak z ust prezydenta Bidena słyszymy, że Netanjahu nie zostanie zaproszony do Waszyngtonu w najbliższym czasie, mimo że wstrzymanie reformy zostało przyjęte dość ciepło. Środowisko Bibiego nie pozostaje dłużne i jego syn Jair zaczął publicznie sugerować, że protesty finansowane były przez amerykański Departament Stanu, czemu ten stanowczo zaprzecza. Trudno jeszcze mówić o kryzysie w relacjach izraelsko-amerykańskich, ale sytuacja jest daleka od idealnej. Netanjahu ma więc trudną rolę do odegrania – musi równoważyć ambicje koalicjantów ze skrajnej prawicy i opór opozycji popieranej przez najważniejszego sojusznika.

Jakub Katulski

eprasa.pl 661d6f3dbf

Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Kultura jako źródło cierpień

Był czas, że czytaliśmy Freuda. Nic nie trwa wiecznie, Freuda odłożyliśmy na półkę. Marzeniami sennymi zajmują się dziś komputery. Nie ma czego żałować? Tu można się spierać. Przynajmniej w jednym dr Freud miał rację – kultura jest źródłem cierpień.

Myślę, że moje słowa poparliby sprawozdawcy sejmowi. To właśnie oni poruszają się na scenie dramatu – widzą, w jaki sposób polityczne libido rozsadza gorset kultury, jak kruche są zasady dobrego tonu, powściągliwości i elegancji. Formy trzymają jednak życie na uwięzi – mamy więc przed oczami autentyczne cierpienia gburów i megalomanów, którzy składać muszą daninę w ogrodach przyzwoitości. Ale ostatecznie źle się tam czują, nieustannie tratują grządki. Ciekawy to świat, w którym gwiazdorzy obciachu pokazują swoje plecy jak obraz święty.

Męki trwają, nasza rodzima martyrologia nie znosi pauz. Chwała więc tym, którzy płoną na ołtarzu dobrych obyczajów, wydając tylko niekiedy okrzyki bólu – to wtedy męczeństwo przemawia głosem obelg. Bądźmy jednak wyrozumiali, ostatecznie chodzi przecież o rozpacz ludzkiego serca. Serce rwie się do gwałtu, a udawać trzeba miłosierdzie. Może właśnie dlatego Sejm otoczono żelaznymi barierkami. Pasterze trzody i ich świta – sumienni wyrobnicy bezwstydu – dają nam znak: oto nasz kaftan, nie lękajcie się!

Egzorcyzmując libido, wiele trzeba wycierpieć, czasami może jednak warto. Początki naszego świata – mam tu na myśli początki demokracji – związane są z nadziejami, jakie wznieciła idea „gładkich manier". Tak najlepiej chyba tłumaczyć pojęcie *civility*. W ślad za nadzieją poszły czyny – w XVIII w. w Szkocji, Anglii, w brytyjskich koloniach w Ameryce trwa wielki ferment, obserwujemy przemiany obyczaju i moralności torujące drogę porządkom, które ostatecznie obdarzymy mianem demokracji. Rośnie rola edukacji, rola wyrafinowania pozwalającego myśleć o nowej organizacji przestrzeni, o czytelniach i salach koncertowych (tu w nawiasie zapytam: czy nie taki właśnie sens miało to, co wydarzyło się w Polsce po roku 1945? Czy teatry, sale koncertowe, czytelnie i biblioteki mamy traktować jako element „hańby domowej"?). Ostatecznie wszakże najważniejsza stała się rezygnacja z przemocy, potrzeba „gładkiego" obcowania. Wybitny amerykański historyk Gordon Wood, zastanawiając się nad historią własnego kraju, mówi o „łagodnym duchu Oświecenia".

Jak zawsze jest jednak i druga strona medalu. Patrząc na Nową Anglię, widzimy olśniewająco białe gorsety kaznodziejów. Ale jest też ciemna strona tej bieli – symbolizuje ją „szkarłatna litera", stygmat obwinienia dotykający niepokornych, znak pogardy i potępienia. Ciosy, jakie zadaje kultura, domagając się posłuszeństwa, mogą być bolesne.

Odwet natury bywa okrutny. W Ameryce wszystko zaczęło się w istocie od nieudanego eksperymentu w Jamestown. Tu właśnie (na obszarach dzisiejszej Wirginii) w 1607 r. powstała osada pionierów próbujących sforsować bramy Nowego Świata. Nie poradzili sobie, wszystko zakończyło się haniebną porażką. Głód, choroby, beznadzieja. Po drodze okazać się miało, jak krucha jest obręcz kultury. Zdarzały się przypadki kanibalizmu – jeden z osadników nie miał litości nawet dla własnej żony.

Część historii Ameryki to także żądza mordu. W latach 70. XIX w. na preriach trwa orgia strzelb i pocisków – ofiarami stały się bizony. Wielkie Równiny zamieszkiwało – szacunki są sporne – od 50 do 150 mln bizonów. W roku 1883 – jak policzono – było już tylko ok. 300 bizonów na ranczach nostalgików. Wynalazek wielostrzałowego karabinu zachęcił przedstawicieli „cywilizacji" do prawdziwego szaleństwa (była w tym również kalkulacja – skóry bizonów!). Zwierzęta mordowano w transie, strzelając na oślep. „Dzicy" Indianie ze zgrozą przypatrywali się furii zabijania. Uśmiercając bizony, niszczono zresztą podstawy ich życia.

Ciekawy to świat, w którym gwiazdorzy obciachu pokazują swoje plecy jak obraz święty.

Nie bądźmy jednak niesprawiedliwi, patrząc tylko w jedną stronę. A Belgowie? Joseph Conrad do końca nie mógł pokonać traumy, którą spowodowały miesiące spędzone w posiadłościach zacnego króla Leopolda. Kongo było areną niebywałego okrucieństwa, prawdziwym „jądrem ciemności". Wiek XIX używał tu pojęcia misji cywilizacyjnej.

Cóż ostatecznie rzec można? My też uczestniczmy w misji – wciąż wstajemy z kolan. Budowniczowie rzeczypospolitej gburów nie ustają w trudach. W środowiskach, które najgorliwiej uzurpują sobie prawa wychowawców narodu, zasadą stała się prostacka fanfaronada – lubieżne samouwielbienie mentorów. No i jest sukces – udało się ostatecznie odwrócić wektory Oświecenia: na gruzach idei *civility* triumfy święci nieokrzesanie. Dobrze tylko, że nie mieszkamy nad rzeką Kongo, mogłoby wtedy być gorzej. W naszym klimacie libido jedynie popiskuje. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 661d6f3dbf

Ostrożnie, Ukraina!

Co wynika z napaści Putina dla Rosji, Europy i świata – **polemika z Anne Applebaum**

Leszek Kuk

Sobotnio-niedzielny magazyn „Gazety Wyborczej" z 25-26 lutego w całości poświęcony został Ukrainie, w tym oczywiście toczącej się tam od roku wojnie. Otwiera go krótki, oryginalny esej Anne Applebaum. Jego oryginalność polega na tym, że nie tylko opisuje i analizuje określony stan rzeczy, ale przede wszystkim zawiera próbę odtworzenia stanu niedoszłego, alternatywnego, wydarzeń, jakie miałyby nastąpić, gdyby Ukraina szybko i całkowicie przegrała wojnę. Już sam tytuł jest oryginalny: „Ukraińcy, uratowaliście nas!", przy czym to „nas" oznacza Polskę, Zachód i „demokratyczną" resztę świata.

Uwagi wstępne Applebaum pozostają poza dyskusją: rozpoczynając inwazję na Ukrainę, Rosja liczyła na szybki i całkowity sukces i się przeliczyła, a Ukraina stawiła twardy i skuteczny opór.

Gdyby nie Ukraińcy, to…

Po tych wstępnych wyjaśnieniach autorka niemal enumeratywnie wyjaśnia, przed czym Ukraińcy uratowali nas i siebie. Otóż, gdyby nie ich heroiczny opór, to:

• prezydent Zełenski, jego żona i dzieci zginęliby „z rąk grasujących po stolicy bojówkarzy",

• władzę nad Ukrainą przejęliby „kolaboranci",

• w całym kraju miałyby miejsce „masakry, egzekucje, masowa przemoc"; wypełniłby się on „obozami koncentracyjnymi, mordowniami i prowizorycznymi więzieniami",

• niszczone byłyby ukraiński język i kultura („ukraińskie książki zniknęłyby ze szkół i bibliotek. W miejscach publicznych nie rozbrzmiewałaby już ukraińska mowa"), mało tego, „całe pokolenie ukraińskich pisarzy, artystów, polityków, dziennikarzy i działaczy społecznych" zostałoby wymordowane,

• liczni młodzi mężczyźni zostaliby przymusem wcieleni do armii rosyjskiej przygotowującej się do ataku co najmniej na Europę Środkową, ale również na Niemcy.

Tyle na poziomie Ukrainy. Na poziomie międzynarodowym, w stosunkach Rosji z Zachodem i resztą Europy, doszłoby do:

• szybkiego „pogrążenia się NATO w chaosie",

• następnie (czy może równolegle) doszłoby do „nieuchronnej" inwazji rosyjskiej na „Warszawę, Wilno i Berlin",

• miliony uchodźców ukraińskich, pozbawionych nadziei na powrót do ojczyzny, zalałyby na stałe Europę, która szybko straciłaby dla nich całą początkową życzliwość z bolesnymi tego konsekwencjami,

• powstałaby „federacja rosyjsko-białorusko-ukraińska" i z pewnością do wejścia do niej szybko zostałaby przymuszona Mołdawia, co byłoby poprzedzone załamaniem się jej gospodarki.

Ponieważ „katastrofa nie ograniczyłaby się do Europy", w stosunkach międzynarodowych na poziomie globalnym stałoby się, co następuje:

• Chiny dokonałyby inwazji na Tajwan,

• „irańscy mułłowie" ogłosiliby posiadanie broni jądrowej,

• rozzuchwalone zwycięstwem Rosji liczne reżimy autorytarne i dyktatorskie globalnego Południa („od Wenezueli przez Zimbabwe po Myanmar") stałyby się jeszcze bardziej represyjne i okrutne,

• „cały demokratyczny świat poczułby się przeraźliwie postarzały" (tego oryginalnego spostrzeżenia nie sposób nie zacytować dosłownie).

Następnie Applebaum przechodzi od trybu warunkowego i budowania narracji retroalternatywnej do trybu oznajmującego, czyli od wymienienia zagrożeń, których oddalenie, jeśli nie wręcz stłumienie w zarodku umożliwił opór Ukrainy, do przedstawienia korzyści, które stały się naszym udziałem. I tak:

• pod wpływem ukraińskich zwycięstw oddaliły się w amerykańskim życiu politycznym widmo izolacjonizmu oraz „kult autokracji", który zawładnął częścią elit („częścią amerykańskiej prawicy"),

a poza Ameryką:

• przywódcy europejscy (z wyjątkiem premiera Orbána) stanęli na wysokości zadania, przeciwstawili się rosyjskiej dezinformacji i szantażowi i ruszyli na pomoc Ukrainie; podobnie „ludzie na całym świecie",

• zachwianiu uległ („padł") mit militarnej potęgi Rosji,

• „Chinami i Iranem wstrząsają niepokoje",

• „świat demokratyczny" wzmocnił się.

Rządy kolaborantów?

Co zatem najważniejsze, nic nie wydaje się stracone. Tu jednak pojawiają się pewne wątpliwości. Ograniczmy się do przedstawienia najważniejszych.

Bardzo trudno przyjmować całkowicie na wiarę kategoryczne stwierdzenia charakteryzujące ten horror, jaki Rosjanie mieliby wprowadzić na Ukrainie, gdyby szybko zawładnęli nią, tym samym kończąc wojnę. Skąd pewność, że cała rodzina prezydenta zostałaby wymordowana,

eprasa.pl 661d6f3dbf

a wraz z nią „całe pokolenie” koryfeuszy ukraińskiej kultury i nauki? Nawet przy uznaniu, że wojnę na Ukrainie Rosja prowadzi w sposób bezwzględny, przy użyciu środków i metod godnych potępienia, to czy stwierdzenie, że cała Ukraina pokryłaby się „obozami koncentracyjnymi, mordowniami i prowizorycznymi więzieniami” jest uprawnione? W przypadku „mordowni” mamy pewne wątpliwości wynikające już choćby z braku ostrości tego pojęcia. W kwestii „obozów koncentracyjnych” pojawia się ich jeszcze więcej. Może dobrze byłoby tu wskazać już istniejące na obszarach zajętych i kontrolowanych od roku przez armię rosyjską. A może przykład Krymu, pozostającego w mocy Rosji od dziewięciu lat, wart byłby w tym kontekście przywołania? Ilu tam wybitnych przedstawicieli ukraińskiej kultury i nauki pomordowano, ile „mordowni” potworzono, ile „obozów koncentracyjnych”?

Gdyby nawet zgodzić się z opinią, że na podbitej Ukrainie rządy przejęliby „kolaboranci”, to tu również przeszkadza nieczytelność terminu kolaboracja. Czy Wiktor Medwedczuk, zwolennik par excellence orientacji prorosyjskiej wypowiadający się za zachowaniem ścisłych związków i ścisłej współpracy Ukrainy z Rosją, jest takim „kolaborantem”? Najpewniej Applebaum ma na myśli to, że stałby się nim po klęsce Ukrainy. Był wysokim rangą funkcjonariuszem państwa ukraińskiego w jego odleglejszej historii, był szefem wielkiej, zgoda, że prorosyjskiej, partii opozycyjnej, posłem do ukraińskiego parlamentu. Działał legalnie, a swoich poglądów nie ukrywał. Nadzwyczajnie ciekawy wywiad, jakiego udzielił jeszcze dwa lata temu „Rzeczpospolitej” („Przyszłość tylko z Putinem”, 19.04.2021), dostarcza w tej materii dobrych wskazówek. Miliony obywateli Ukrainy narodowości rosyjskiej (Rosjan etnicznych), rosyjskojęzycznych i najpewniej wielu innych podzielało jego poglądy. Po wybuchu wojny ukrywał się. Czy nie z obawy o swoje życie? Czy nie z tej samej obawy uciekł do Rosji w 2014 r. prezydent Janukowycz? Był, jaki był, ale niewątpliwie był legalnie wybranym prezydentem Ukrainy, a obalony został w wyniku zamachu stanu/przewrotu politycznego wyraźnie inspirowanego z zewnątrz (i to nie z Rosji!).

Idźmy dalej. „Ukraińskie książki zniknęłyby ze szkół i bibliotek. W miejscach publicznych nie rozbrzmiewałaby już ukraińska mowa”, alarmuje Applebaum. Znowu pytanie, skąd ta pewność. Czy postępowanie władz „okupacyjnych” na terenach kontrolowanych przez Rosję dostarcza wskazówek uprawniających do wyciągania aż tak kategorycznych wniosków? A pewną wstrzemięźliwość w formułowaniu tego rodzaju oskarżycielskich konkluzji należałoby zachować z jeszcze jednej przyczyny, którą jest – tu już schodzimy do poziomu faktów – represyjna i wynaradawiająca polityka państwa ukraińskiego wobec swoich mniejszości narodowych, nie tylko mniejszości rosyjskiej/rosyjskojęzycznej. Przyjęta jeszcze za prezydentury Poroszenki, widocznie przyśpieszyła po objęciu stanowiska przez Zełenskiego. W przypadku języka rosyjskiego zmierza ona wyraźnie do całkowitego wypchnięcia go ze szkoły, z przestrzeni publicznej i skąd tylko się da. To przeciwko niej protestują gwałtownie Węgrzy. Nam nie przeszkadza.

Najbardziej zaskakujące są uwagi Anne Applebaum dotyczące NATO. Pisze ona, że szybkie zwycięstwo Rosji zmusiłoby Sojusz do wydatkowania ogromnych sum na obronę. Zauważmy jednak, że brak tego zwycięstwa również spowodował kolosalne wydatki w państwach NATO. Wzrastać zaczęły one już od 2014 r., od zeszłego roku zaś mamy do czynienia z prawdziwą galopadą. Daleko nie trzeba sięgać. Obydwie ojczyzny Anne Applebaum dostarczają aż nadto przykładów.

Zdumiewa przypuszczenie, że w wyniku szybkiego zwycięstwa Rosji nad Ukrainą (niebędącą państwem natowskim) NATO „pogrążyłoby się w chaosie”. Sojusz, powiedzmy sobie szczerze, nie nawojował się w swojej historii. Uznawane, nie bez racji zresztą, za epokowe zwycięstwo nad obozem komunistycznym odniósł walkowerem. Przeciwnik sczezł samoistnie, po prostu. Mamy wprawdzie w epoce pozimnowojennej pewne znaczące manifestacje militarnej aktywności Sojuszu, takie jak podjęcie albo przyłączenie się do konfliktów zbrojnych na obszarze pojugosłowiańskim (zwłaszcza w Serbii/Kosowie), w Afganistanie czy w Libii, ale w porównaniu z wojną międzyblokową, nieuchronnie przecież jądrową, do której Sojusz od powstania się sposobił, wszystkie one były konfliktami odległymi i o ubocznym znaczeniu. Teraz oto miałaby nadejść godzina próby.

NATO stanęłoby w obliczu frontalnego konfliktu z Rosją (jej ataku?), a przecież w ostatnim 30-leciu niesłychanie się rozwielmożniło w Europie i świecie, a Rosja jest słabszym przeciwnikiem, niż był nim swego czasu Związek Radziecki. I co? Otóż NATO pogrążyłoby się w chaosie na widok rosyjskich żołnierzy „okopanych na polskiej granicy”, czyli jeszcze przed podjęciem przez Rosję wspomnianej „nieuchronnej inwazji na Warszawę, Wilno i Berlin”, w czym Applebaum zdaje się być twórczą kontynuatorką myśli samego prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

eprasa.pl 661d6f3dbf

Do czego dążył Putin

Zauważmy, że autorka z jej poglądem na postawę Sojuszu Północnoatlantyckiego wobec tak daleko zakrojonej agresji Moskwy paradoksalnie bliska jest prezydentowi Rosji. Raz po raz pojawiają się wszak informacje, że prezydent Putin, przygotowując inwazję na Ukrainę, liczył na szybkie i łatwe zwycięstwo nie tylko nad tym państwem, ale również nad Sojuszem, poprzez zastraszenie go, i to przy użyciu samej groźby rozszerzenia wojny na jego tzw. obszar traktatowy, tak by stał się niezdolny do działania, a nawet znalazł się na krawędzi rozkładu i upadku. Czyli zostałby doprowadzony do tego stanu, do którego tak liczni na Zachodzie chcieliby doprowadzić Rosję.

O ile można by się jeszcze zgodzić z opinią o załamaniu się „mitu" potęgi Rosji, o tyle zastrzeżenia budzi sugestia, że taki, a nie inny przebieg wojny na Ukrainie wywołał (przyczynił się do wywołania?) niepokoje „wstrząsające" Chinami i Iranem. W przypadku Chin przede wszystkim trudno je uznać za „wstrząsające", chociaż na pewno mają one znaczenie. Jeszcze trudniej wskazać oczywisty i bezpośredni związek między niepokojami społecznymi w Chinach oraz Iranie a wojną ukraińską. Podobnie nieostrożna jest teza, że w przypadku opanowania przez Rosję całej Ukrainy Chińczycy (jeszcze wiosną minionego roku?) dokonaliby najazdu i aneksji Tajwanu.

Ostatnią z kategorycznych konkluzji Anne Applebaum jest to, że „świat demokratyczny" wzmocnił się. Teza ta, głęboko mylna, nie powinna nam umknąć. Otóż konflikt ukraiński, bez względu na wynik, przyniesie skutki niszczycielskie dla tego, co autorka nazywa „światem demokratycznym". Wydaje się, że z oceną, od czego Ukraińcy nas (a nawet samych siebie!) uratowali, a od czego wprost przeciwnie, jeszcze trzeba poczekać. Ale już teraz rozejrzenie się po rozległym geopolitycznym obszarze „od Lizbony (od Vancouver?) po Władywostok" dostarcza w tej materii doświadczeń zniechęcających, a często zatrważających. Prawie wszystko prawie wszędzie zdaje się iść ku gorszemu. Strach się bać! Być może autorce pomyliło się wzmocnienie „świata demokratycznego" ze wzmocnieniem pozycji Stanów Zjednoczonych w jego obrębie, co niewątpliwie ma miejsce. Nie są to jednak zjawiska tożsame.

Już jedynie na deser zostawmy pewną osobliwą sugestię, jaką odnajdujemy w omawianym tekście: „cały demokratyczny świat" (ten, który miałby się poczuć „przeraźliwie postarzały") zdefiniowany został przez Applebaum tak niezrozumiale, że znowu uciec się trzeba do cytatu: „od Waszyngtonu po Londyn i od Tokio po Canberrę", czyli właściwie ograniczony do tzw. osi anglosaskiej. Czy to dyskretne pominięcie całej unijnej i natowskiej Europy kontynentalnej jest intencjonalne? Nawet jeśli ma służyć dyskretnemu spostponowaniu Paryża i Berlina, to dlaczego skrzywdzona została Warszawa?

Spostrzeżenia i uwagi Applebaum są śmiałe i daleko idące, ale w licznych punktach zwyczajnie dyskusyjne. Autorka zdaje się niekiedy zapominać o starej prawdzie, że co przesadzone, to nieprawdziwe (a przy tym przynoszące skutek odmienny od zamierzonego). Dążąc do osiągnięcia nawet najbardziej zbożnych celów, dobrze jest zachować do końca zdrowy rozsądek i miarę rzeczy. Może też zwykłą ostrożność. Stąd tytuł.

Z oceną, od czego Ukraińcy nas (a nawet samych siebie!) uratowali, a od czego wprost przeciwnie, jeszcze trzeba poczekać.

Dr hab. Leszek Kuk jest profesorem UMK, historykiem, wykładowcą na Wydziale Politologii i Studiów Międzynarodowych UMK

e-prenumerata PRZEGLĄDU
Cały miesiąc za 10 zł!
Czeka na Ciebie
5 E-WYDAŃ
tygodnika
sklep.tygodnikprzeglad.pl
Oferta ważna do 30.04.2023 r.

eprasa.pl 661d6f3dbf

Oko w oko

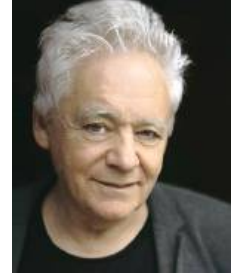

Tomasz Jastrun

Warsztat naprawczy

Umiera coraz więcej znajomych i bliskich, a w domu psują się kolejne urządzenia. Wczoraj nagle umarła nam pralka. Wcześniej zaś zepsuło mi się biodro i poszło do wymiany. Wielki warsztat naprawczy jest w Otwocku, więc nie tak daleko od nas. Nie bałem się operacji, chociaż jest poważna, bałem się szpitala, budzenia o świcie, a nawet własnego chrapania. Żona twierdzi, że chrapię. Tym można przecież zatruć życie innym, a we mnie jest wiele empatii. Ważną częścią szpitalnego życia są lokatorzy na sali. Jedni wychodzili, drudzy przychodzili, w sumie chyba przewinęło się osiem osób. Okazało się, że chrapię w domu, a w szpitalu nie, za to okrutnie chrapało dwóch lokatorów mojej sali. Miałem zatyczki, mimo to uszy były bezbronne, żadna śpiewaczka operowa nie śpiewa tak przenikliwie, jak chrapie chrapiący. Szczęśliwie byłem na tyle otumaniony lekami, że spałem nieźle wbrew okolicznościom. Wielkim chrapaczem okazał się też sąsiad na sali pooperacyjnej, trzymają tam delikwenta przez noc po zabiegu, podłączonego do aparatury, nie wiem, jak wyglądał, bo dzieliła nas zasłonka. Tu także jakimś cudem spałem.

Trzej pacjenci na mojej sali to byli ludzie bardzo prości, niewiele mówili, bo nie mieli nic do powiedzenia. Jak się do nich coś mówiło, trzeba było powtarzać co najmniej trzy razy. Jeden co jakiś czas włączał radio, pierwszy program, na szczęście na chwilę, ale na pełny regulator. Zawsze poczucie, że jestem znowu w PRL – tembr głosu, treść. Te media rządowe są zbudowane z innej tkanki. Myślę, że miliony Polaków są podobne do tej trójki pacjentów w zagubieniu i bezmyśleniu. Wielka rzeka informacji wlewa im się do głów, nic nie rozumieją, wszystko im się burzy i kłębi w głowach. Nagle mówią: Okrągły Stół, nasz papież, nic się z niczym nie łączy, do niczego nie zmierza.

Trzeci z tej grupy, starszy osobnik, nie mógł się wysikać, zamęczał tym siebie i innych. W ogóle sprawy wydalnicze w szpitalu nabierają wielkiej wagi i stają się dramatem iście szekspirowskim. Bardzo ważne pytanie zadawane o świcie przez pielęgniarkę: było wypróżnienie? Niewiele młodszy ode mnie pacjent wparował do naszej sali marszowym krokiem z plecakiem pełnym różnych gadżetów, zaopatrzony jak na wyprawę na Mount Everest. Było widać, że ma do zdobycia szczyt, czyli wymianę biodra. Miał choćby długie szczypce do podnoszenia z podłogi przedmiotów, genialnie proste urządzenie do zakładania skarpetek. Człowiek zadaniowy, serdeczny wobec lokatorów, a też salowych i pielęgniarek, które obdarzał niezwykłą wielością komplementów. Potrafił długo milczeć, ale obudzony z milczenia okazywał się wielkim gadułą. Zdawał mi się człowiekiem rozumnym, tylko myślącym skrajnie i czarno-biało. Unikał tematów politycznych, wiedział, że to niebezpieczne, ale PiS wyciekało mu bokami. Gdy oświadczył, że nie wierzy w zmiany klimatyczne, już wiedziałem – to jeden z symptomów prawicowej choroby. Robiłem uniki, bo nie miałem siły na wojnę w naszej sytuacji.

Był jeszcze facet w średnim wieku, po wstawieniu protezy kolana. Bardzo sympatyczny, mieszka na wsi, ma gospodarstwo 14 ha, pracował przy budowie autostrad, teraz handluje pompami ciepła. On także miał mały bałagan w głowie, ale w sumie niegłupi człowiek, obiecał mi, wychodząc, że nie będzie głosował na PiS.

Spodziewamy się wszystkiego najgorszego po naszej służbie zdrowia, a bywa na poziomie.

W dniu, gdy wychodziłem, pojawił się wsparty o kule młody człowiek, szczupły, typ charta, bardzo przystojny, z książką pod pachą. Łękotka – wspina się i tak nabawił się kontuzji. Ta książka pod pachą mnie wzruszyła, bo z całego towarzystwa nikt nie miał książki, woleli, leżąc, gapić się w sufit, po operacjach biodra i kolana trzeba leżeć na plecach. Zobaczyłem okładkę, książka o TOPR, czytałem ją dwa lata temu, brała udział w konkursie o Literacką Nagrodę Zakopanego. Zabawne, bo w szpitalu czytałem biografię Stanisława Witkiewicza, ojca Witkacego, która bierze udział w tegorocznym konkursie. Nie badałem, jakie młody człowiek ma poglądy na świat i polityczne; wystarczył mi jego wygląd i to, jak mówił, by wiedzieć, że jest z naszej rodziny. W finale mówiłem pielęgniarkom, że raduję się, że wracam do domu, do żony, ale tak dobrze jak tutaj to mi w domu nie będzie.

No właśnie. Świetne pielęgniarki i salowe, zawsze miłe, uśmiechnięte, sprawne. I to za taką niską pensję. Cały oddział na wysokim poziomie, w pokojach eleganckie łazienki. Spodziewamy się wszystkiego najgorszego po naszej służbie zdrowia, a bywa na poziomie. Teraz rehabilitacja, chodzenie o kulach, uznajmy, że jest to ciekawe doświadczenie późnej starości, jakby mieć 90 lat. Chyba za bardzo nie warto dożyć tego wieku. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 661d6f3dbf

Nie godzimy się na poniżanie oficerów – weteranów służby w Wojsku Polskim

List otwarty do Pana Andrzeja Dudy, Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Zwierzchnika Sił Zbrojnych RP

Szanowny Panie Prezydencie, w imieniu członków Klubu Generałów i Admirałów Rzeczypospolitej Polskiej i innych organizacji skupiających weteranów służby w Wojsku Polskim zwracamy się do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i Zwierzchnika Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej z powiadomieniem i wezwaniem do niezwłocznego powstrzymania przejawów dyskryminacji oraz poniżania godności i honoru oficerów – weteranów służby w Wojsku Polskim. Ten haniebny proceder uprawiany jest nie tylko wobec nas, ale także, co bulwersuje szczególnie, wobec rodzin zmarłych Kolegów. (…)

Przykładem takiej postawy są działania Ministra Obrony Narodowej, dokonywane przy akceptacji premiera polskiego rządu wobec oficerów, weteranów, którzy rozpoczynali swą służbę w latach PRL-u. (…)

Dzisiaj rządzące elity polityczne już nie pamiętają, że to właśnie oni, po złożeniu przysięgi wojskowej w III Rzeczypospolitej Polskiej, byli orędownikami nowego ustroju Rzeczypospolitej Polskiej i wprowadzenia Wojska Polskiego do NATO. To ci oficerowie latami swej służby zmieniali Wojsko Polskie, wprowadzając nowe, adekwatne struktury organizacyjne, nowe programy szkolenia taktycznego i operacyjnego. To oni wskazywali kierunki inwestycji i modernizacji technicznej Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej i inne potrzeby bieżącej działalności Wojska Polskiego. To oni przygotowali zastępy swoich następców, by godnie kontynuowali dzieło doskonalenia obronności Ojczyzny.

Swoimi kompetencjami i zaangażowaniem w służbie wojskowej dzisiejsi weterani zdobyli uznanie przełożonych i szacunek podwładnych, awansowali na wyższe i bardziej odpowiedzialne stanowiska służbowe. Za swoją postawę, zaangażowanie i osiągnięcia w służbie byli mianowani przez prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej na pierwsze i kolejne stopnie generalskie i admiralskie. Wielu z nich dostąpiło zaszczytu wyróżnienia przez prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej także wysokimi odznaczeniami państwowymi.

Dzisiaj my, oficerowie – weterani służby wojskowej – nie „byli żołnierze", bo żołnierzem się jest od dnia złożenia przysięgi wojskowej do śmierci, świadomi swoich praw obywatelskich, w swojej codziennej działalności przestrzegamy zasad neutralności partyjnej. Chcemy uczestniczyć w życiu społecznym jako równoprawni obywatele, przyczyniać się do rozwoju Ojczyzny. (…)

Tymczasem nasze środowisko z niezrozumiałych powodów spotyka się ze strony urzędującego Ministra Obrony Narodowej z przejawami niechęci, wręcz wrogości. Odmawia się nam możliwości współpracy z organami resortu obrony narodowej, w tym z kadrą jednostek, w których sprawowaliśmy funkcje dowódcze. Odmawia się nam jakiejkolwiek pomocy logistycznej niezbędnej do prowadzenia działalności statutowej. Jesteśmy traktowani wręcz wrogo, często z epitetem „komuchy".

Nie rozumiemy stanowiska Ministra Obrony Narodowej, który uważa, że doświadczenia weteranów służby wojskowej są do niczego nieprzydatne w aktualnej sytuacji i nie wpłyną pozytywnie na postawy żołnierzy służby czynnej. To stanowisko jest całkowicie przeciwstawne do tradycji kultywowanych w tym względzie w siłach zbrojnych naszych sojuszników w NATO. Wobec takich praktyk wyrażamy stanowczy protest, godzą one nie tylko w honor zasłużonych oficerów Wojska Polskiego, ale naszym zdaniem także w autorytet urzędu i osoby Pana Prezydenta – decydenta w sprawach mianowania oficerów na stopnie generalskie i admiralskie oraz honorowania za ich zasługi dla Ojczyzny wysokimi odznaczeniami państwowymi.

Bulwersująca jest także postawa Ministra Obrony Narodowej wobec rodzin i bliskich zmarłych oficerów – weteranów służby wojskowej. O upiornej decyzji – „braku zgody na uczestnictwo w ceremonii pochówku asysty wojskowej" – rodzina zmarłego dowiaduje się krótko przed datą pogrzebu, w bardzo trudnym dla siebie okresie, bez jakiegokolwiek wyjaśnienia oraz praktycznie bez możliwości interwencji. Oficerowie – weterani służby wojskowej III Rzeczypospolitej Polskiej już po śmierci oceniani są według cezury czasowej sięgającej wczesnego PRL-u, a nie faktycznych swych zasług dla Ojczyzny. Nie godzimy się na takie traktowanie. (…)

Panie Prezydencie! Szanując to, że jest Pan najwyższym zwierzchnikiem Sił Zbrojnych RP, zwracamy się Pana z prośbą, by przerwał Pan ten hańbiący i niegodny proceder bezpodstawnego poniżania oficerów – weteranów służby wojskowej.

Prezes – gen. dyw. w st. spocz. Jerzy Słowiński
Sekretarz – gen. broni w st. spocz. dr inż. Anatol Wojtan

eprasa.pl 661d6f3dbf

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Święto wiosny

Czyże wracają z zimowisk i stadnie świergolą, niezrównane drozdy wyśpiewują swoje zakręcone melodie, zięby też już męczą powtarzaną w nieskończoność frazą, kosy eksperymentują w awangardzie poranka; bywa już tak ciepło, że można okno otworzyć przed świtem i posłuchać sobie do woli, jeśli się szczęśliwie budzi poza miastem. Otwiera się na świt i na świat, na oddech, rozpostarcie i wyciszenie. Zamiast patrzeć przez szyby przykurzone na nieprzeniknioną dymgłę i mury sąsiedniej kamienicy, zamiast przymykać ucho na zawodzące tramwaje, pulsujące sygnały alarmowe, wściekłe klaksony i piski hamulców, całe to tętno metropolii zawzięcie produkującej hałas, teraz ucha mogę nadstawiać na ciszę bezludną. Mogę w spokoju mijać się z powołaniem, zamiast nerwowo mijać się z tłumem, przepychać, ocierać, wyswobadzać, wystawać w kolejkach po starość. W górach dryfuję na czasie, w miastach on mi wiecznie ucieka. Współczuję wszystkim uzależnionym urbanistycznie, dopóki nie próbują bałamutnie wychwalać swojego położenia – że mianowicie „wszędzie mają blisko".

Pół wieku bez mała zabrało mi zrozumienie, jakim komfortem jest mieć wszędzie daleko – dzięki temu człowiek sam się do siebie zbliżyć może. We wsi podgórskiej nawet dzwony kościelne nie drażnią mnie tak jak te miejskie, albowiem jeden tu dzwon, w pół dystansu między ziemią a niebem, wtapia się w poszczekiwania psów i zgrzyty pilarek, wybija godziny, wabi na nabożeństwa – w mieście to kakofonia dzwonów w natłoku świątyń, jeszcze jeden element nieznośnego zgiełku.

Wielki Tydzień zawsze był dla mnie świętem wiosny, bo w przeciwieństwie do domowych świąt Bożego Narodzenia rodzice zwykli spędzać ten czas w gościnie wiejskiej. Cały ten witalny zew natury budzącej się z zimowego letargu stawał w sprzeczności z ponurą treścią kolejnych dni wyznaczających tzw. Mękę Pańską. Zapachniałość i rozżwawienie za oknem skłaniały ku temu, żeby się cieszyć, tymczasem ojciec, do szpiku kości zindoktrynowany katolik, pilnował, aby do niedzielnego poranka wyłącznie się umartwiać. Wszelkie oznaki dobrego humoru były postrzegane jako grzech, bo przed dwoma tysiącami lat człowiek imieniem Jezus został poddany wyjątkowo okrutnym torturom i zamęczony na śmierć. Co więcej, jego wszechmogący ojciec sam wybrał taki los dla swojego syna, aby „zgładzić grzechy tego świata".

Katolickie rytuały pasyjne i ich pokrętnie metafizyczna logika były dla mnie w najlepszym razie dziwactwem starszych pokoleń, które w dzieciństwie znosiłem z trudem. Tym większym, że zadawałem racjonalne pytania wtedy, gdy należało „z przejęciem i pokorą" milczeć. Jako nastolatek nie znosiłem Wielkiej Soboty, bo radiowa Trójka tego dnia nie nadawała swojej Listy Przebojów, co po dziś dzień mam za tajemniczą gorliwość religijną peerelowskiego wszakże medium. Jezus leży w grobie, więc nie można słuchać rocka? Przecież zaraz i tak wstanie, nie można go w sobotni wieczór do tego zachęcić takim muzycznym *before party*? Niedziela wielkanocna to były już podchody w celu znalezienia prezentu od „zajączka", poniedziałek lał się strumieniami wedle pogańskich obyczajów – dziwna była ta błyskawiczna transformacja narodu ponuraków cierpiących żałobę po zabitym bogu w euforycznych żywiołaków, a wszystko w kilkadziesiąt godzin.

Pół wieku bez mała zabrało mi zrozumienie, jakim komfortem jest mieć wszędzie daleko – dzięki temu człowiek sam się do siebie zbliżyć może.

Ta chrześcijańska dwubiegunówka była jednak o wiele znośniejsza niż święta grudniowe, bo o ile – zakładam, że w przypadku osób psychicznie zrównoważonych – wielkopostna rozpacz była rytualnie udawana, był to teatr religijnego smutku, po którym można było z ulgą odetchnąć, o tyle w okolicznościach wigilijnych obowiązywał powszechny nakaz radowania się, co moim ziomkom przychodziło zawsze z większym trudem. O ile rokrocznie w Adwencie pogrążam się w depresji, a samych świąt boję jak diabeł wody święconej, o tyle Wielkanoc budzi we mnie skojarzenia znacznie lżejsze gatunkowo. To wiosna się święci, Strawiński raczej niż Bach, frenetyczna herezja, przeistoczenie sacrum w profanum, wody z kropielnicy znaczącej czoło w wodę z wiadra wylewanego przez chłopów na baby w gonitwie po polu. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 661d6f3dbf

To nie będzie klub weteranów

Fernando Santos zaczął wietrzenie piłkarskiej kadry

Maciej Polkowski

Widok nowego selekcjonera piłkarskiej reprezentacji Polski Fernanda Santosa z rękami uniesionymi w geście rozpaczy i totalnej bezradności zapamiętamy na długo. Portugalczykowi i nam wydawało się, że już gorzej grać nie można, a jednak 24 marca na stadionie w Pradze okazało się, że jest inaczej. Pierwszą bramkę straciliśmy w 27. (!), drugą w 129. sekundzie i było pozamiatane. Przegrywając na inaugurację eliminacji Euro 2024 1:3 z Czechami, podopieczni Santosa zapisali niechlubną kartę w historii polskiej piłki. Gol strzelony w 27. sekundzie przez Ladislava Krejčiego to bramka najszybciej stracona przez jakąkolwiek reprezentację. Plamę na honorze tylko częściowo zmyła skromna wygrana 1:0 z Albanią 27 marca w Warszawie. Taka z rodzaju zapisać trzy punkty w tabeli grupy E i jak najszybciej zapomnieć o meczu.

Trener dobry, ale ci zawodnicy…

Pojawiły się nieco zaskakujące opinie, że Santos to dobry trener, ale… dla dobrej drużyny. A my jesteśmy najwyżej piłkarskimi średniakami i można odnieść wrażenie, że nie pasuje do naszej kadry. Zdaniem byłego reprezentanta Piotra Świerczewskiego (portal Meczyki.pl) „Polska to nie Portugalia, to nie drużyna, która prowadzi grę. Trener mówi, że my mamy prowadzić grę… Tak, my będziemy prowadzić grę, ale z San Marino czy tego typu drużynami. Natomiast z mocniejszymi zespołami nie dajemy rady. Selekcjoner chyba przecenia umiejętności zawodników. Mówi, że będziemy grali cudownie i pięknie. A ja pytam: z kim chcemy tak ładnie grać? Przecież nasi zawodnicy nie są tak wyszkoleni jak chociażby Portugalczycy”.

W Pradze nasi piłkarze byli beznadziejni. Zanim większość z nich miała pierwszy kontakt z piłką, rywale prowadzili już 2:0. Nie podzielam opinii wielu obserwatorów, że to zdeterminowało przebieg spotkania i wpłynęło na mizerną postawę biało-czerwonych. Przecież z reguły zespoły rzucają się do niwelowania straty i robią to z powodzeniem. Mieliśmy tego niedawne przykłady w Liverpoolu, gdzie przegrywający z gospodarzami 0:2 Real Madryt zwyciężył 5:2, i w Kazaniu, gdzie z kolei gospodarze przegrywali 0:2 z Duńczykami, a jednak pokonali ich 3:2. Można? Można. Pod jednym wszakże warunkiem – trzeba chcieć z pasją grać w piłkę, a nie kopać ją beznamiętnie.

Grzegorz Lato: Nie powinno być świętych krów. Trenerzy nie grają. Możemy wziąć sobie najlepszego selekcjonera na świecie i nic z tego nie będzie.

Denerwujące jest powtarzanie niczym mantrę, że w naszych zawodnikach drzemie potencjał. Drzemie i drzemie, ale nijak nie chce się wybudzić. Świetni i wychwalani za popisy w swoich klubach – ciągle są marni i krytykowani za poczynania w zespole narodowym.

Warto poznać opinie naszych byłych znakomitych reprezentantów.

Grzegorz Lato: „Nie powinno być świętych krów. Trzeba dobierać zawodników, którzy chcą walczyć i dawać z siebie wszystko. Doświadczenie Fernanda Santosa nie wystarczy, by osiągnąć sukces, bo najwięcej zależy od wykonawców. Trenerzy nie grają. Możemy wziąć sobie najlepszego selekcjonera na świecie i nic z tego nie będzie. Albo mamy wykonawców, zawodników, którzy chcą coś zrobić, albo graczy, którzy kręcą nosem na kadrę i myślą, że tylko liczy się klub. Bo tam mają pieniądze”.

Włodzimierz Lubański: „Mecz z Albanią nie pokazał sportowej złości, chęci odegrania się za to, co wydarzyło się w Pradze. Skromne 1:0 i wciąż widoczne mankamenty w grze. Mamy kłopoty z kreowaniem sytuacji, w zawodnikach jest za mało zadziorności. Brakuje mi walki jeden na jednego, rzadko wymieniamy podania na jeden kontakt. Zastanawiam się, czy jest to kwestia braku umiejętności, czy raczej ostrożność i asekuracja”.

Lewy – kapitan honorowy

Jednym z najpoważniejszych problemów stał się Robert Lewandowski. Trudno wyobrazić sobie podstawową jedenastkę bez niego, ale jego obecność na boisku rodzi coraz większe rozczarowanie. W Pradze rzadko wygrywał pojedynki z obrońcami. W całym meczu oddał jeden celny strzał, dwie pozostałe jego próby zostały zablokowane i zanotował jeden udany drybling. Nic dziwnego, że w czeskich gazetach pojawiły się tytuły: „Lewa za mřížemi, pálil jen z dálky” („Lewy za kratkami. Strzelał tylko z daleka”), czyli że był pilnowany i miał ograniczoną swobodę w pobliżu bramki rywali.

Za mecz z Albanią Lewandowski otrzymał najniższą ze wszystkich reprezentantów notę – 3 (Meczyki.pl). W uzasadnieniu czytamy: „A to dlatego, że kapitan znów zagrał z orzełkiem na piersi poniżej możliwości. Tylko raz, w 63. minucie, widzieliśmy jego najlepszą wersję, gdy wszedł w pole karne rywali i przelobował bramkarza. Poza tym – mizeria, bardzo blado. Mnóstwo niedokładności, złe zagrania i wybory, przegrane pojedynki, frustracja. Oczekiwania leżą kilka półek wyżej, także

eprasa.pl 661d6f3dbf

w porównaniu z innymi kadrowiczami, stąd surowa ocena dla Lewego".

W grudniu 2022 r. pisaliśmy w PRZEGLĄDZIE: „Bez przerwy słyszymy, że mamy najlepszego napastnika świata. Postawmy sprawę jasno: katarski turniej dowiódł, że to już przeszłość. (...) Można powiedzieć, że Lewandowski pełni funkcję kapitana honorowo. (...) Jak ktoś to określił, »w kolejnych spotkaniach jego język ciała wskazywał na zniechęcenie połączone z obojętnością«. (...) Nigdy nie zdradzał cech przywódczych i nie umie zmobilizować kolegów do uporczywej walki do upadłego. Chce być nie dyrygentem, ale oklaskiwanym i uwielbianym przez tłumy solistą. De facto bowiem dla Lewandowskiego najważniejszy jest... Lewandowski!".

Coś jest na rzeczy, skoro zaledwie dobę po konfrontacji z Albańczykami Lewy odzyskał wigor i dobry humor. Powodem była warszawska uroczysta premiera filmu dokumentalnego „Lewandowski Nieznany". Na wydarzeniu w Kinotece nie zabrakło oczywiście głównego bohatera, któremu – jak zawsze w „olśniewającej i drogiej kreacji" – towarzyszyła żona Anna. Pokaz zgromadził również osobistości świata piłki z prezesem FC Barcelony Joanem Laportą czy Andrijem Szewczenką na czele.

Piątka Santosa

Nowy selekcjoner rozpoczął pracę z naszą kadrą na swoich warunkach. Asymilacja w polskim futbolowym światku nie przebiega bezboleśnie. Dość licznie dali o sobie znać „wujkowie dobra rada". Jest w Polsce grupa dziennikarzy, która przyzwyczaiła się do sterowania reprezentacją. Jeśli ktoś działa nie po ich myśli, będą go medialnie niszczyć. Na portugalskim szkoleniowcu nie robi to żadnego wrażenia. Santos chce ograniczyć zewnętrzne wpływy na reprezentację i to niektórych bardzo boli. Jedni ustawili się do zasad Portugalczyka tyłem (nic dobrego z tego nie wyjdzie), drudzy – bokiem (zobaczymy, co osiągną).

Kiedy Santos ogłosił skład 25-osobowej kadry przed spotkaniami z Czechami i Albanią, wręcz za sensację uznano brak Grzegorza Krychowiaka (33 lata). Warto, by zarówno piłkarze, jak i kibice zdali sobie sprawę, że portugalski fachowiec podpisał kontrakt na cztery lata. Widać, że już zaczął przewietrzanie kadry i będzie systematycznie dążył do zmiany pokoleń. Nie ma bowiem żadnej przyszłości drużyna nie tylko z Krychowiakiem, ale i z 35-letnim Kamilem Glikiem oraz jego rówieśnikami Kamilem Grosickim i Robertem Lewandowskim. Z grupy „trzymającej władzę" w kadrze za jakiś czas pozostanie zapewne wyłącznie Wojciech Szczęsny (33 lata). Reprezentacja nie będzie klubem weterana, lecz żywym organizmem, w którym nie ma miejsca dla wielce zasłużonych, ale rozleniwionych milionerów.

Warto przypomnieć sobie i wyciągnąć wnioski z postępowania Santosa podczas spotkania Portugalia-Szwajcaria (6:1) na katarskim mundialu. Sensacją było pozostawienie na ławce rezerwowych Cristiana Ronalda. 37-letni gwiazdor pojawił się na murawie dopiero w 73. minucie, przy stanie 5:1. Bohaterem został młodszy od niego o 16 lat Gonçalo Ramos, napastnik Benfiki Lizbona, autor hat tricka.

„Chcę przeprosić kibiców, że jako kapitan nie powstrzymałem wydarzeń, które przeobraziły się w aferę premiową", oświadczył Robert Lewandowski na konferencji prasowej przed meczem z Czechami, nawiązując do wywiadu Mirosława Skorupskiego dla „Przeglądu Sportowego". Tym samym definitywnie potwierdził, że były selekcjoner Czesław Michniewicz skłamał, mówiąc, że „na temat ewentualnej premii od premiera rozmawialiśmy pięć minut".

Nic więc dziwnego, że jedną z pierwszych decyzji Santosa było zarządzenie medialnej ciszy przed meczem z Czechami. Ponadto portugalski menedżer postanowił: 1. wycofać kamery platformy Łączy nas piłka z odpraw i autokaru; 2. zakazać używania telefonów komórkowych podczas posiłków; 3. spożywać posiłki wspólnie przy jednym okrągłym stole; 4. podawać skład meczowy 90 minut przed pierwszym gwizdkiem; 5. zabronić cofania autokaru, jeżeli w nim przebywa (cóż, nie tylko ludzie sportu bywają przesądni). Generalnie selekcjoner dał wyraźnie do zrozumienia, że zgrupowanie i mecze reprezentacji to nie okazja do spotkania się futbolowej ferajny, tylko poważne, bo narodowe, zadanie do wykonania. ■

GRUPA E

(mecze, punkty, bramki strzelone-stracone)

1. Czechy	2	4	3-1
2. Polska	2	3	2-3
3. Mołdawia	2	2	1-1
4. Wyspy Owcze	1	1	1-1
5. Albania	1	0	0-1

Najbliższy mecz z Mołdawią na wyjeździe – 20 czerwca

FOT. POLSKA ORKA POLITYCZNA

eprasa.pl 661d6f3dbf

KSIĄDZ BAR otwiera bar

Podczas pandemii w bydgoskiej bazylice wydawano 600-700 porcji żywieniowych, dziś o połowę mniej

Zuzanna Muszyńska

W bydgoskiej parafii św. Wincentego à Paulo codziennie gotuje się zupę dla 200-300 osób. Z proboszczem i innymi księżmi mieszka pod jednym dachem ponad 30 dorosłych mężczyzn. W kaplicy akademickiej trwa budowa baru mlecznego, w którym nie będzie cen.

Ja nie smakuję, ja jem

Bazylika św. Wincentego à Paulo jest największym kościołem w Bydgoszczy i jednym z największych w Polsce. Ale nie rozmiar ani unikatowa architektura przyniosły jej sławę, lecz dobry człowiek, ksiądz proboszcz Sławomir Bar. – Bazylika zawsze karmiła bezdomnych i ubogich, jednak skala potrzeb znacznie wzrosła podczas pandemii, gdy kościół wydawał 600-700 porcji żywieniowych. Dzisiaj wydajemy o połowę mniej, ale to wciąż dużo – wyjaśnia ks. Bar. – Skłoniło nas to do zatroszczenia się o godne warunki dla naszych gości, którzy przychodzą na posiłek. Część pomieszczeń w lewym skrzydle bazyliki już wcześniej oddaliśmy na magazyn, łaźnię, mroźnię i ogrzewalnię, teraz powstaje tam bar – dodaje.

Na lewo od monumentalnych kolumn zdobiących wejście do świątyni stoją po kolei: drewniana budka, Przystanek Dobrej Nadziei i pralkomat. W dni powszednie na długo przed godz. 16 pojawiają się tu pierwsi potrzebujący. Kiedy młodzi ludzie punktualnie o czwartej znoszą po schodach kociołek z zupą, kolejka sięga niemal alei Ossolińskich. Każdy dostaje gorącą herbatę, chleb, porcję zupy i po dwa jabłka. Obiady są wydawane na zewnątrz kościoła od czasu pandemii.

W wydawaniu posiłków pomagają wolontariusze.

Pan o kuli już odebrał swój przydział, podchodzi z kubkiem herbaty w dłoni. Skarży się na noclegi w hostelach, że drogo i kradną. Jak tam trafił? Miał wypadek w pracy. Jest z zawodu kamieniarzem, spadła mu na nogi płyta nagrobna. Świadczeń starcza akurat na wynajęcie pokoju. Gdyby nie partnerka, do dziś nocowałby w wieloosobowej sali. We dwójkę jakoś wiążą koniec z końcem. Ona pracuje jako sprzątaczka w szpitalu. Kiedy wstaje o godz. 5, on włącza piecyk elektryczny. – Żeby nie musiała ubierać się w zimnie – uśmiecha się. Mieszkają na parterze, od piwnicy bardzo ciągnie. Stary piec nie nadaje się do użytku. Miasto w odpowiedzi na prośbę o pomoc przysłało fachowca, który okleił go taśmą. Pytam o rodzinę. – Mam w…! – tu pada niecenzuralne słowo. – Byłem im potrzebny, dopóki zarabiałem pieniądze.

Wczoraj to historia, dziś jest darem losu

Pan bez kurtki zasłabł w pracy, kolega znalazł go w stanie śpiączki. – Żałuję, że się wtedy obudziłem – mówi. Z przepisanych leków

eprasa.pl 661d6f3dbf

Pierwsi potrzebujący pojawiają się na długo przed godziną 16.

wykupuje przede wszystkim przeciwbólowe (twierdzi, że realizacja recept to koszt ok. 900 zł miesięcznie, co o 200 zł przekracza wysokość świadczeń). Chciałby sobie dorobić i bardzo prosi, żeby o tym napisać. Kwalifikuje się do DPS, ale kolejka długa. – Wolałbym się wtedy nie obudzić – powtarza. Ma na imię Jan. Chętnie podaje personalia, bo, jak twierdzi, nie ma nic do ukrycia.

Pan Krzysztof dyktuje imię, nazwisko, numer telefonu. – Bez adresu – kończy się przedstawiać. Niechętnie mówi o sobie. Wspomina, że w noclegowniach bywa tłoczno. Zupę zjadł jak wszyscy, na stojąco. Widać, że przychodzi pod bazylikę regularnie, jest dobrze zorganizowany. Nie spuszcza z oka dwóch toreb, które odstawił pod murem na czas jedzenia. Podczas rozmowy trzyma je przy nogach. – To wszystko, co mam – wyjaśnia. Pójdzie teraz do sióstr albertynek, odpocząć. Nie czuje się ostatnio najlepiej, choć wygląda na jednego z bardziej krzepkich w kolejce po obiad. Dostał niedawno skierowanie do poradni onkologicznej.

Pan z dużym plecakiem wypytuje o pralkomat – wiem od proboszcza, że wyprodukowała go bydgoska firma, on twierdzi, że widział takie na statkach. Pływał, do niedawna. Wymienia rosyjskie lodołamacze – Urał, Arktika, Sibir. Opowiada o szczelinach w lądolodzie. Nurkował, pracował naukowo. Jak tu trafił? Zgubił papiery. Ale na statek zamierza wrócić. Nagle wyciąga rękę, przedstawia się. – Darek jestem – i odchodzi w miasto z plecakiem przerzuconym przez ramię.

Pod bazylikę przyszło zaledwie kilka kobiet, giną w tłumie mężczyzn. Starsza pani w szarym palcie wyjada z pojemnika zupę z wkładem. – Smaczna? – pytam. – Ja nie smakuję, proszę pani, ja jem – odpowiada.

Miłośnik heavy metalu, który nie przyjmuje kopert podczas kolędy.

Marcelina, Magda i Zuza, które od stycznia pomagają przy rozdawaniu posiłków, przyszły tu z pobliskiej szkoły. Cieszą się z nadchodzącej wiosny, bo przychodzić zamierzają jak najczęściej. Spytane o swojego ulubieńca, wskazują pana Jarka, który siedzi z kolegą na Przystanku, kończy jeść. Jest po pięćdziesiątce, modnie ubrany. Kilkanaście lat mieszkał i pracował w Niemczech. Żona, dwójka dorosłych dzieci. Mówi biegle po niemiecku. I ma plan, by tam wrócić. Co się wydarzyło pomiędzy Stuttgartem a Bydgoszczą? Miłość w Jeleniej Górze. Gdy się skończyła, stracił wszystko. Rozmawiamy o służbie zdrowia, gdzie lepsza – tu czy za zachodnią granicą. Pan Jarek wymienia jednym ciągiem kilka schorzeń, na które cierpi, ale w pierwszej kolejności troszczy się o kolegów. Wkłada do torby dodatkowy przydział chleba. – Trzeba sobie pomagać, tutaj ludzie są różni, nie każdy umie zadbać o siebie – tłumaczy. Myśli pozytywnie, bo inaczej nie wolno. – Wczoraj to historia, dziś jest darem losu, jutro to tajemnica – przytacza cytat zapamiętany ze szkoły.

On i kolega jako ostatni opuszczają podkościelną jadłodajnię. Odchodzą w kierunku galerii Focus Park, ze sporym bagażem, który dźwiga pan Darek. Do otwarcia noclegowni na Fordońskiej, gdzie przenocują, zostało jeszcze półtorej godziny.

Jak nędza, to do księdza

Bramy na tyłach lewego skrzydła gmachu nikt nie zamknął. Na dziedzińcu leżą materiały budowlane. Przez otwarte drzwi widać wnętrze dawnej kaplicy. Nie ma ołtarza ani Najświętszego Sakramentu. Przy budowie uwija się kilkuosobowa ekipa. Najpierw spali tu bezdomni, na karimatach. Dwa lata temu przeniesiono ich do wyremontowanych pomieszczeń w tym samym skrzydle kościoła. Tak powstała Ogrzewalnia U Miecia. A w kaplicy będzie bar.

– Bydgoskie Stowarzyszenie Miłosierdzia od początku istnienia parafii, czyli od 1928 r., udzielało pomocy ubogim i dysfunkcyjnym – mówi ks. Bar. I dodaje: – Poprzedni proboszcz śp. ks. Mieczysław Kozłowski chciał, by powstał na cele pomocowe osobny budynek na tyłach bazyliki, ale plan zagospodarowania przestrzennego pozwalał jedynie na zabudowę parterową, co zajęłoby większość terenu. Dlatego zdecydowaliśmy, by zagospodarować na te cele jedno skrzydło bazyliki, a że osoby ubogie były bliskie sercu księdza proboszcza, oddaliśmy mu cześć, nazywając ogrzewalnię U Miecia. Możemy w niej gościć do

eprasa.pl 661d6f3dbf

50 osób. Przyjmujemy wszystkich, nie pytamy o wiarę.

Ksiądz tłumaczy, że w dobie grodzenia posesji i zakładania domofonów ubodzy, którzy mieszkali po piwnicach, w pustostanach, migrują, szukając nowych miejsc. Ci, którzy próbują zawalczyć o siebie, przychodzą do ogrzewalni czy noclegowni. – Mamy do nich podejście holistyczne. Taka osoba najpierw trafia do łaźni, zrzuca ubranie, jest odwszawiana. Jeżeli stwierdzimy u niej świerzb, to próbujemy z tym walczyć. Potem dajemy przydział czystej odzieży, posiłek i podpisujemy umowę. Oferujemy dach nad głową, trzy posiłki dziennie. Pomagamy w wyprostowaniu spraw urzędowych, alimentacyjnych, zaległości komorniczych, załatwieniu dokumentów, ubezpieczeń etc. i w znalezieniu pracy. Czas pobytu ograniczamy do dwóch miesięcy. Każdy dostaje zeszyt, w którym wpisuje, co robił danego dnia. Ogrzewalnia funkcjonuje między godz. 17 a 8 rano. W ciągu dnia jest czas na szukanie pracy. Mamy też gabinety, terapeutyczny oraz medyczny z pielęgniarką i lekarzem, który dyżuruje raz w tygodniu. Organizujemy wykłady, spotkania integracyjne, lekcje angielskiego czy obsługi komputera. To taki pakiet na start. Jeżeli po dwóch miesiącach nic się nie zmienia, jeśli ktoś traktuje nasz dom jak przechowalnię, żegnamy się.

Plan działa. Jak podkreśla ks. Bar, zespół pomocowy ciągle się uczy – wcześniej wszystko było robione na hura, pomocy udzielano początkowo pod jednym warunkiem – zachowania trzeźwości. Teraz, im oferta bogatsza, tym dłuższa lista wymagań, ale są też wyraźne efekty. – Około 60-70% podopiecznych wychodzi z bezdomności, wcześniej było to 10-15% – podsumowuje ksiądz.

W służbie bliźniemu

Proboszcz Bar pochodzi z Grodkowa na Opolszczyźnie. W domu było ich dziewięcioro, wszyscy skończyli studia. Jeden z braci jest księdzem, siostra zakonnicą; ks. Bar pracuje w bydgoskiej bazylice od 13 lat. Zaczynał od zakładania wspólnoty misjonarskiej dla młodzieży wierzącej i niewierzącej, później zajął się Bydgoskim Stowarzyszeniem Miłosierdzia. – Wychowałem się na parafii misjonarskiej, ale przede wszystkim rodzice dbali o nas, tato uczył solidnej pracy, mama wrażliwości i odpowiedzialności za to, co się robi – opowiada.

Pralkomat służy bezdomnym oraz tym, którzy nie mają możliwości zrobić prania w domu.

Proboszcz, który przegonił polityków ze swojej parafii.

Podkreśla, że niczego nie robi sam. W zespole pomocowym działa trzech księży, dwóch braci oraz członkowie Stowarzyszenia Miłosierdzia i akcji Bazylika Pomaga. – Gromadzimy się raz w miesiącu, dołączają do nas prawnik, psycholog, lekarz, pielęgniarka. Dyskutujemy, dzielimy się spostrzeżeniami. Szczególną uwagę zwracamy na to, żeby nie zmuszać nikogo do religijności. Zauważyliśmy jednak pewną prawidłowość: ludzie wychodzący z bezdomności zaczynają przychodzić do kościoła. Wcześniej czuli się niegodni, wykluczeni, niepotrzebni. Uczestnictwo w mszy przywraca im tę godność. Nie wiem, ile w tym wiary, przecież wiara to łaska. Ale na pewno jest to działanie terapeutyczne.

Misjonarze prowadzą oprócz tego Wincentyński Dom Miłosierdzia im. św. Małgorzaty Marii Alacoque na ulicy Nasypowej, w którym przebywają kobiety i dzieci, będące często ofiarami przemocy. U chłopaków w ogrzewalni ks. Bar stara się być co najmniej dwa razy w tygodniu, a na wydawaniu posiłków przynajmniej raz. Niełatwo to wszystko pogodzić. – Gromadzimy ludzi wokół wspólnego celu, dogadujemy się ze wszystkimi – deklaruje. – W ogrzewalni, gabinetach terapeutycznych, sali animacyjnej pracują wolontariusze, a przy budowie baru bracia, jak również osoby bezdomne.

Jeden z pomocników, pan Marian, z nieodłącznym alkomatem, pilnuje porządku pod bazyliką. – Masz na piwo, to kup sobie jedzenie! – zwraca się podniesionym głosem do mężczyzny, który spóźnił się na wydawanie posiłków i nie chce się poddać badaniu alkomatem. Ten w końcu ulega presji i wydmuchuje 1,15 promila. Oddala się, pomstując na pana Mariana. Kolejka znów się posuwa, młodzi ludzie wracają do rozlewania zupy.

FOT. ZUZANNA MUSZYŃSKA, BAZYLIKA POMAGA (2)

eprasa.pl 661d6f3dbf

W poniedziałki i czwartki posiłki rozdają kadeci z I klasy oddziału przygotowania wojskowego Akademickiego Liceum Ogólnokształcącego w Bydgoszczy. Ich opiekun, Tomasz Krajewski, wyjaśnia, że pracują w trzech grupach, przy rozdawaniu żywności, w ambulatorium medycznym oraz przy sprzątaniu w kuchni. – Mają wprawę, bardzo lubią to robić – mówi Krajewski. – Interakcja z osobami w kryzysie bezdomności sprawia, że młodzi wzmacniają swoją wrażliwość. A osoby bezdomne, widząc umundurowaną młodzież, reagują pozytywnie.

W pozostałe dni przychodzą uczniowie z innych szkół. – Nic by tu się nie zadziało bez młodych – podkreśla ks. Bar. – Mówi się, że młodzi odchodzą z Kościoła, tymczasem w naszej parafii działa kilka grup młodzieżowych. Młodzież przygotowuje kanapki dla bezdomnych na weekend. Młodzież pomaga w rozwożeniu obiadów po domach. Młodzież tworzy grupę street workerów, z którą jeździmy po mieście, szukając osób bezdomnych. Niestety, ostatnio coraz częściej ściągamy z ulic również młodych ludzi – dodaje. Wyjaśnia, że ma to związek z kryzysem rodzin w pandemii, z brakiem zrozumienia młodych przez starsze pokolenie, no i z sytuacją rodzin dysfunkcyjnych.

Budowniczy pierwszego w Polsce baru mlecznego w kościelnej kaplicy.

Co na to wszystko parafianie? – Przyjmują to, co robimy, z reguły bardzo pozytywnie, choć zdarzają się niezadowoleni. Czy pralkomat „zaburza architekturę bazyliki”? Chętnie zrezygnowałbym z niego, gdyby ktoś podczas ogłoszeń parafialnych dał znać, że tego i tego dnia można u niego zrobić pranie. Chodząc z kolędą, zorientowaliśmy się, że przybywa parafian, którym np. odcięto prąd, wodę lub gaz albo zepsuła im się pralka. U nas takie osoby mogą dostać karty abonamentowe. Ci, których stać, zapłacą za pranie i 20% opłat pójdzie na ogrzewalnię. Zresztą pralkomat trafi z czasem do baru mlecznego. A dla marudzących mam odpowiedź jako gitarzysta – że w kapelach mieliśmy zawsze taką zasadę: bierz instrument i graj!

Miłośnik heavy metalu, który nie przyjmuje kopert podczas kolędy. Proboszcz, który przegonił polityków ze swojej parafii. Budowniczy pierwszego w Polsce baru mlecznego w kościelnej kaplicy z daniami za „co łaska”. Nominowany w plebiscycie „Osobowość Roku” prosił, żeby zamiast głosować na niego (odpłatnie), wesprzeć akcje pomocowe w jego parafii.

Św. Wincenty à Paulo, patron ubogich, był zwykłym człowiekiem. Przeszedł przez życie, starając się postępować słusznie. Kierował się empatią i wielkim sercem. Podczas rewolucji francuskiej, gdy niszczono w antyklerykalnym szale figury i obrazy świętych, jego podobizny oszczędzono.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad

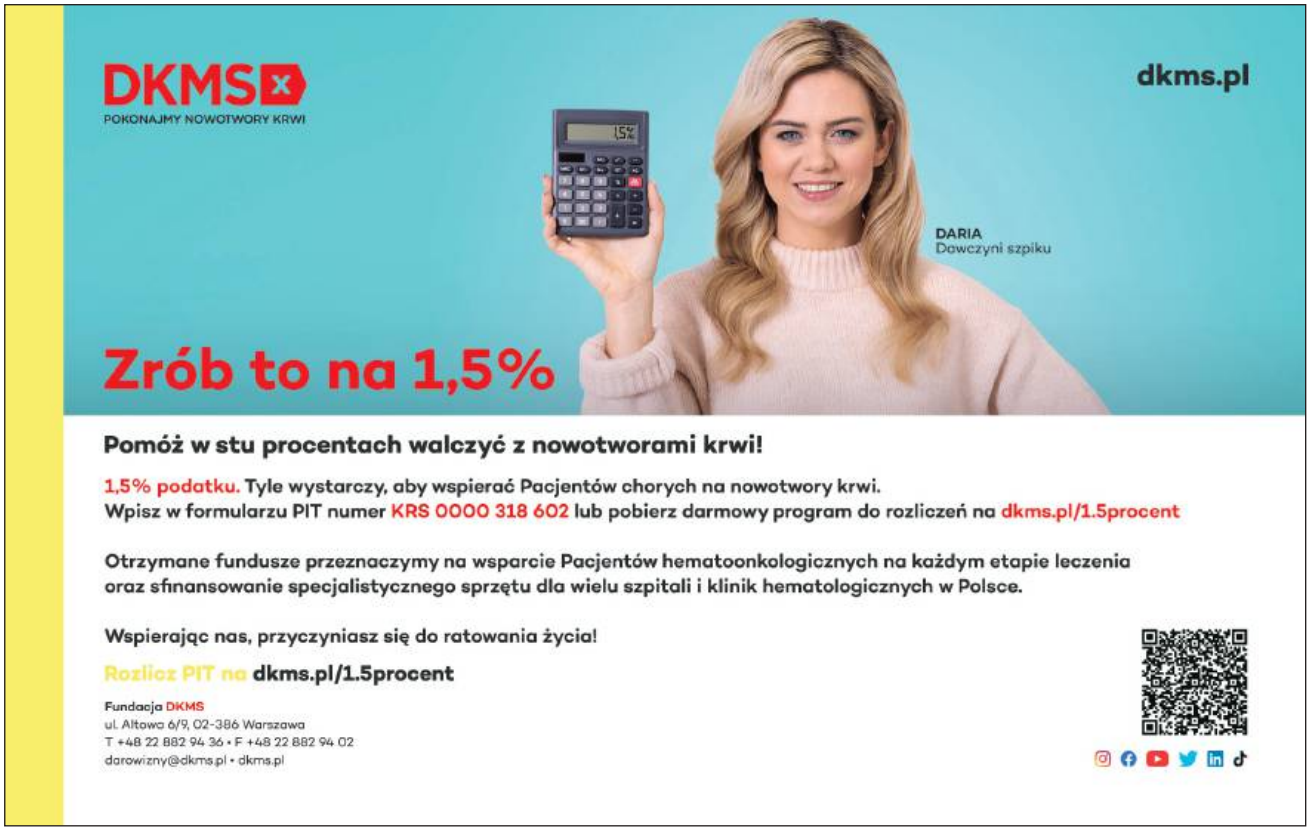

eprasa.pl 661d6f3dbf

FELIETON

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Rozrusznik

Zima nas rozjechała i teraz, na drżących nogach, stoimy, wkładając sobie ostrożnie do brzucha żołądek, jelita, wątrobę. Zbieramy włosy z poduszki, poruszamy palcami u stóp. Robimy koci grzbiet. Bilans zysków i strat. W każdym razie żyjemy! Nawet ci, którzy jak katedry gotyckie godzą się na ponure dźwięki we własnych wnętrzach – strzyknięcia, trzaśnięcia, zgrzyty – czekają na zmiany. W sklepie prężą się uwodzicielskie nowalijki i jak zwykle więcej obiecują, niż dają. Mają w sobie tylko wodę i ziemię, tak w każdym razie smakują.

Już wychodzimy na słońce: ostrożnie – najpierw twarz, potem szyja, ręce i wreszcie nogi – tylko odważni paradują w krótkich spodenkach, jakby chcieli wypowiedzieć zimie wojnę (czy takie metafory nie są niestosowne)? Poziom nasłonecznienia zmienia się tak gwałtownie, że mrużymy oczy, czerwone od pyłków i łez. W pytę jesteśmy delikatni na wiosnę, jakbyśmy sami wyszli spod ziemi. Śmieszne, że właśnie teraz kalendarz normatywny domaga się od nas „porządków", przesadzania kwiatów, odwiedzin „na grobach bliskich", całodniowych wycieczek po pagórach i lasach. Kiedy my nie zdążyliśmy się złuszczyć ani dojrzeć. W stanie liminalnym, w jakimś śpiącym „pomiędzy", testujemy na schodach granice własnych możliwości.

Jesteśmy delikatni na wiosnę, jakbyśmy wyszli spod ziemi. A właśnie teraz kalendarz normatywny domaga się od nas „porządków".

Pies jest rozrusznikiem. Ale sam jest zdezorientowany, wiatr mu uszy wywrócił na lewą stronę i wyglądają jak gumowe muszle. Zapachy zderzają się z nosem, ale wiatr je rozsyła chaotycznie po mieście. Pies biegnie zygzakiem, próbuje je złapać. Bum, bum, taranuje krzaki, wbiega w gnój, w kamienie. Ja za nim i już szukam w oknach wykrzywionych twarzy. Są! Grożą nam, jak należy, że my w ich krzaki, w ich gnój, w ich kamienie. Ale nigdy nie wyjdą, zawsze to tylko twarze za szybami, śmieszne, kiedy próbują nadrobić mimiką jak źli czarodzieje ze złych teatrów.

Biegniemy nad rzekę, a tam inni tacy: psy siwe, brązowe, białe, rude, w paski, w jakieś strusie, w kobzy, w misie, w kobry, w lisie kity, w bobry – fruwają centymetr nad łąką. Ich ludzie ledwo śledzą wzrokiem ten krzyżujący się syf dziwnych szlaków donikąd. Anarchia. Nikt nie próbuje dociec, o co chodzi w tej grze. Ci ludzie, którzy spocili się od samego patrzenia na psy – zdejmują kurtki, wiążą je na biodrach, przystają na kreciej grudce. Pozdrawiają się albo tylko wystawiają twarze do słońca. No wreeeszcie! Słońce, gdzieś było całą zimę, zrób coś! Psy wchodzą do rzeki, przepływają na drugi brzeg. Ich ludzie w panice wykrzykują imiona.

Zwierzęta wychodzą z rzeki i już wiadomo, że mieszkania będą pachnieć mułem, że klatka schodowa będzie zamulona i windą muł będzie jeździł cały dzień. Rozrusznik każe ruszać na balkony i tam mówić do psów, uspokajać, przekupywać, żeby stały jak dojne krowy i dały z siebie cokolwiek zmyć. Wiosna ma zapach mułu i psiej sierści, a i to źle wygląda w piśmie. Jak początek wiersza, który odrzuci w konkursie przytomne jury. Po tych ceregielach psy idą spać w czystej pościeli, ludzkość zaś na krzywych nóżkach idzie zaparzyć kawę, bo może pomoże. Mroczki przed oczami, jakby w czaszce wałęsały się kwaśne muszki. Wiosna, ta to ma wejście. Dlaczego potem pamiętamy kwiaty? Jabłonie na blokowiskach? Kawę pitą na stojaka po spacerze, w parku albo pod mostem? Mity, mity. Bo w konfrontacji z kwietniem i majem wypadamy blado. Rozrusznik nas tylko przymusza. Inaczej, półleżąc pod kocem, oglądalibyśmy końcówki seriali. Rozmowy przez telefon kończylibyśmy szybciej, niż wypada. A nasze posiłki – monotonne jak chrupki ryżowe – byłyby z plasteliny, z gumy do żucia, z korka.

Ale rozrusznik działa. Idziemy w gości. Więc są obowiązki – wobec własnego ciała i wobec ciała cudzego. Zorganizować wino, zorganizować koszulę, umyć but. Może razem znów się przepchamy przez tę dziurę, przez tynk i szary papier zimy – żeby się zorganizować w jakieś wspólne życie.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

BEZPŁATNY NEWSLETTER ZAPRASZAMY

Kto już się zapisał? Można to zrobić na stronie **tygodnikprzeglad.pl**, podając swój adres e-mail, lub dzwoniąc do redakcji, tel.: 22 635 84 10.

Dostając newsletter, co tydzień otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGLĄDU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

BĄDŹMY W KONTAKCIE!

YouTube

eprasa.pl 661d6f3dbf

Wyprawy w poszukiwaniu osobliwości ginących cywilizacji, niezwykłych krain i ludzi osiadłych w odległych regionach

JACEK PAŁKIEWICZ

PÓŁ WIEKU REPORTERSKICH PODRÓŻY

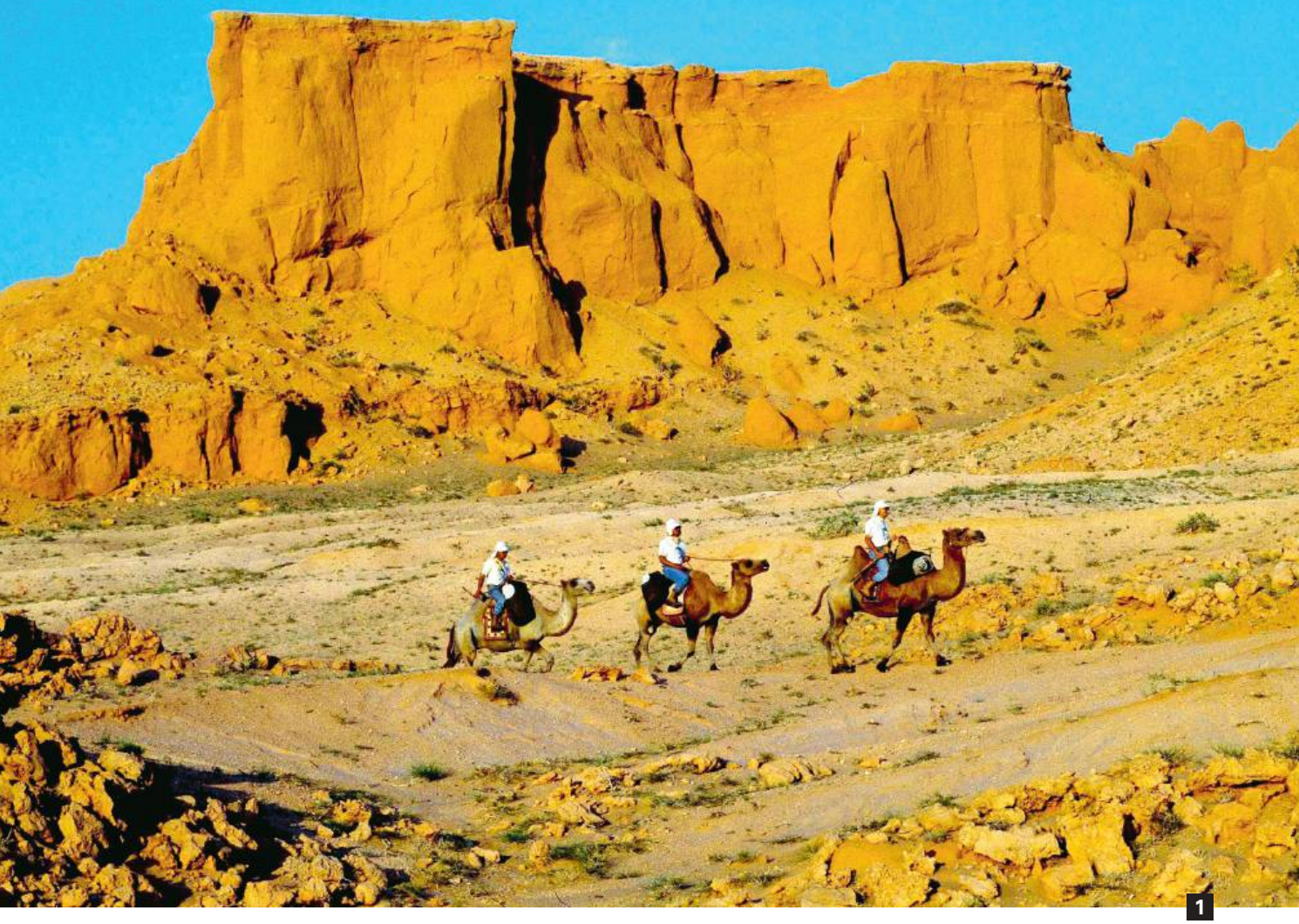

1

CMENTARZYSKO DINOZAURÓW

W lecie 1922 r. karawana złożona z samochodów oraz idącej za nimi setki wielbłądów wyruszyła na eksplorację pustyni Gobi w Mongolii. Kierował nią prof. Roy Chapman Andrews, dziś często uznawany za pierwowzór Indiany Jonesa. Całość przedsięwzięcia, w którym wzięli udział paleontolodzy, geolodzy, topografowie, kosztowała 250 tys. dol. zebranych od wpływowych sponsorów. Amerykanin odkrył cmentarzysko dinozaurów sprzed 150-60 mln lat, co zapewniło mu światową sławę.

W 1988 r. ruszyłem jego śladem, by w rejonie skalistego masywu Bajandzag (Płomienne urwiska) znaleźć skamieliny prehistorycznych gadów, które stanowią bogate naturalne dziedzictwo Mongolii. W połowie lat 60. działała tu misja wykopaliskowa w dużej skali, kierowana przez prof. Zofię Kielan-Jaworowską. Zebrała imponującą kolekcję dobrze zachowanych szkieletów, w tym odciśnięty w kamieniu moment starcia dwóch tytanów. Odkrycia różnych naukowców pozwoliły, dzięki imponującym efektom specjalnym „Parku Jurajskiego" Stevena Spielberga, ożywić w 1993 r. ogromne, dominujące niegdyś na Ziemi gady.

eprasa.pl 661d6f3dbf

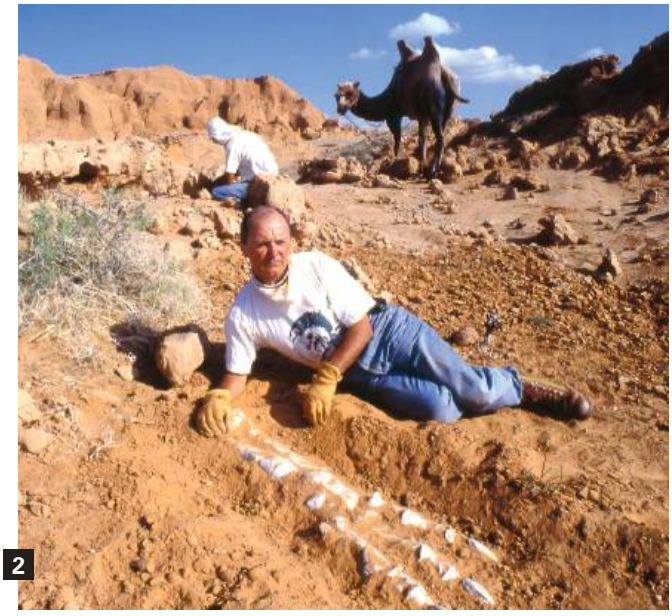

2

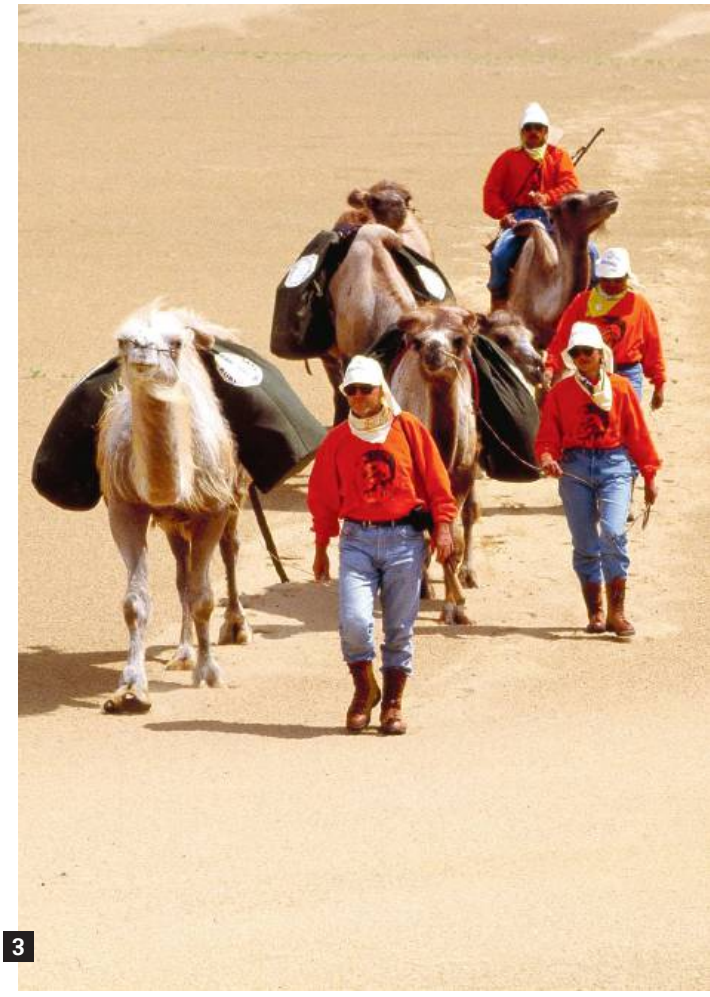

3

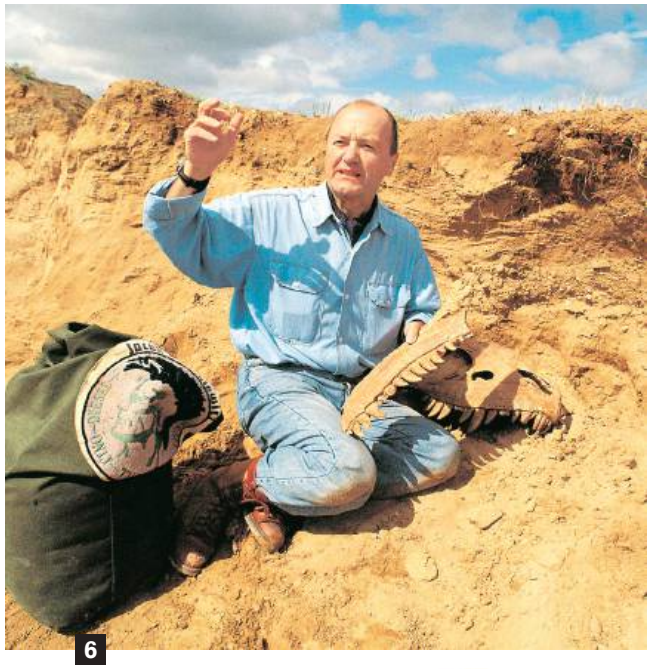

6

JACEK PAŁKIEWICZ
– reporter, eksplorator, twórca survivalu w Europie.
www.palkiewicz.com

eprasa.pl 661d6f3dbf

4

5

1. Masyw Bajandzag na pustyni Gobi w Mongolii.
2. Jacek Pałkiewicz przy swoim ekscytującym odkryciu paleontologicznym.
3. Pustynia Gobi ma 1750 km długości.
4. Dwugarbne baktriany.
5. GPS, nieodzowny instrument podczas pustynnej wyprawy.
6. Na Gobi znajdują się jedne z najbogatszych na Ziemi złoża skamielin.
7. W XIII w. podróżował tędy Marco Polo.
8. Latem baktriany są nagie i brzydkie.
9. Nocny biwak pośród piaszczystych gór Khongoryn Els.

8

7

9

FOT. ARCHIWUM AUTORA

eprasa.pl 661d6f3dbf

Konrad Malec

Ta pierwsza, co wiosny nie czyni

Nasze jaskółki zaczynają wracać od połowy kwietnia i szybko zajmują najlepsze lokale mieszkalne

Ponoć jedna jaskółka wiosny nie czyni, ale z tą wiosną sprawa jest zagmatwana. Astronomiczna startuje, gdy długość dnia zrównuje się z nocą, co zwykle ma miejsce 21 marca. Przyrodniczo jednak mamy wówczas przedwiośnie, a wiosna zaczyna się, gdy średnie temperatury dobowe wynoszą powyżej 5 st. C. Czyli zwykle w połowie kwietnia.

Boska opatrzność

Powiedzenie nie kłamie, pierwsze jaskółki zjawiają się na początku kwietnia – nim nastanie właściwa wiosna. Początkowo pojawiają się leniwie, pojedynczo, ale z każdym dniem wyraźnie ich przybywa. Te pierwsze na polskim niebie to migranci, dla których jesteśmy krajem tranzytowym. Nasze jaskółki zaczynają wracać od połowy kwietnia i szybko zajmują najlepsze lokale mieszkalne. Jako dziecko uwielbiałem podglądać lepienie gniazd przez te ptaki, ale jaskółki preferują rynek wtórny i jedynie wtedy, gdy nie załapią się na gotowca, przystępują do budowy. Często zresztą nie od podstaw, ale na już istniejącym fundamencie po zniszczonym domostwie.

Projekt architektoniczny jest powszechnie znany. Nosi toto błoto w dziobie i klei do szyby! O tak, nie tylko ja, ale w ogóle większość miłośników ptaków spotkała się z zarzutem, że jaskółki brudzą. Przekonanie to powoduje, że rodacy utrudniają ptakom budowę gniazd. Tu słowo wyjaśnienia. Jaskółka to nie jeden gatunek, ale dość duża rodzina ptaków, do której zalicza się przeszło 80 współczesnych gatunków. Spośród nich trzy spotykamy w Polsce i tylko jeden brudzi okna. Właściwie to nad Wisłą można zaobserwować jeszcze czwarty gatunek, jaskółkę rudawą, ale to rzadki gość w naszych progach, dotychczas odwiedził nas nieco ponad 20 razy, ostatnio w ubiegłym roku (czym wywołał niezliczone pielgrzymki ptakolubów). Swoje domki do framug okiennych kleją oknówki, jaskółki o czarnym płaszczu z granatowym

połyskiem i białym kuprze. To one najczęściej mieszkają w miastach. Kiedyś ich gniazda cieszyły ludzkich mieszkańców, miały być dobrą wróżbą, wyrazem szczególnych względów bóstw, zresztą nie tylko u nas, również Chińczycy mają podobne przesądy. Chrześcijanie zapuszczający się na tereny pogańskich Piastów mówili o prymitywizmie wierzeń naszych praprzodków, ponieważ ci pozwalali jaskółkom osiedlać się na bałwanach przedstawiających boskie wyobrażenia. Owo przyzwolenie wynikało z wiary w boską przychylność.

Widok oknówek cieszył Szekspira, który w „Makbecie" zachwala ptaki budujące gniazda na blankach wież, gdzie powietrze jest najczystsze. Nie wiem, jak było w czasach Williama, możliwe, że to przypadkowe zestawienie literackie, ponieważ dziś widujemy oknówki w centrach polskich miast, stale będących w czołówce najbardziej zanieczyszczonych w Europie.

W polskiej literaturze także pojawiają się jaskółki. U Zbigniewa Nienackiego w „Raz do roku w Skiroławkach" malarz Porwasz z żoną leśniczego opiekują się pisklęciem, które wypadło z gniazda. Skutkiem owej opieki było porzucenie męża przez leśniczynę i przeniesienie się z synem do malarza (choć nie tylko opieka nad ptasią sierotą była powodem). Malarz był zadowolony,

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 661d6f3dbf

że zyskał dziecko bez konieczności zmiany pieluch, i zachwalał jaskółcze dzieci, które w celu defekacji od małego wystawiają kuper na zewnątrz gniazda. Po prawdzie robią to od czwartego dnia, wcześniej rodzice zjadają ich odchody, bo, po pierwsze, zawierają nie w pełni strawione pozostałości, a tym samym sporo substancji odżywczych. Po drugie, odchody młodych jaskółek nie są owinięte błoną jak u innych wróblaków, więc rodzice nie są w stanie wynieść ich z gniazda bez ubrudzenia dzioba i piór, a skoro tak, to przynajmniej nic się nie zmarnuje.

Wracając do okien i oknówek, prawdą jest, że brudzą, jeśli ulokują gniazdo nad oknem. Mnie to nie przeszkadza, okno i parapet po sezonie można umyć. Wprawdzie łatwo pisać, sam nie mam do czynienia z jaskółkami, ale z jerzykami już tak. Te często są mylone z naszymi bohaterkami. Jerzyk, którego poznamy po węższych i dłuższych skrzydłach oraz braku połysku, mieszka w szczelinie budynku, w którym ja niekiedy pomieszkuję. Sprzątanie po tych lokatorach jest znacznie trudniejsze, załatwiają się bowiem na bezodpływowy balkon, skąd żaden deszcz nawozu nie spłucze. Cóż, w ruch idzie szpachelka, a później ciężkie detergenty, ale dzięki temu mogę się cieszyć niesamowitym sąsiadem.

Oknówki są pod tym względem jeszcze wdzięczniejsze, trzymają się bliżej gniazda, młode zeń wyglądają, a rodzice do karmienia siadają na zewnątrz, co daje wiele okazji do obserwacji. Brudzeniu można po części zaradzić, montując odpowiednie budki lęgowe, które kierują strumień odchodów poza okno i parapet, lub mocując pod gniazdem deseczkę wyłapującą fekalia. Takie budki są chętnie zasiedlane, tym bardziej że oknówki i inne jaskółki wymagania lokalowe mają elastyczne i gniazda zakładają nie tylko pod okapem okien i dachów. W tym celu potrafią wykorzystać np. szczeliny w ścianach czy otwory wentylacyjne stropodachów. Pierwotnie oknówki gnieździły się na nawisach skalnych i klifach.

Bunkry i kryte parkingi

Podobnie było z dymówką, to ta jaskółka, która ma cały ciemny wierzch, długi, rozwidlony ogonek i oczywiście granatowy połysk. Ona pierwotnie mieszkała we wnętrzach jaskiń, tam gdzie jeszcze docierało światło. Dziś znacznie częściej można je spotkać we wnętrzu budynków gospodarczych na wsi, szczególnie tych z inwentarzem. Pamiętam z dzieciństwa, jak jaskółki w czasie deszczu uwijały się w oborze, głównie w narożnikach, gdzie gromadziło się najwięcej much. Dość często jednak dymówki zakładają gniazda pod mostami, wiatami, w obiektach przemysłowych, bunkrach, a nawet studniach!

Jaskółka to nie jeden gatunek, ale rodzina ptaków, do której zalicza się przeszło 80 gatunków. Spośród nich trzy spotykamy w Polsce i tylko jeden brudzi okna.

Ostatnio pojawiają się doniesienia o zasiedlaniu parkingów galerii handlowych, gdzie osiągają wysoki sukces rozrodczy. Widać to przy porównaniu z tradycyjnymi wnętrzami obór, ale też najbardziej podobnymi siedliskowo bunkrami (bunkry to głównie zachodnia Polska, parkingi wschodnia). W obu przypadkach zwłaszcza drugi lęg jest większy na parkingach, choć to ciągle dość nieliczne przypadki. Przyczyn sukcesu doszukiwać się można w bardziej stabilnych i wyższych temperaturach na parkingach oraz ciągłej obecności ludzi, co płoszy drapieżniki plądrujące gniazda.

Wspomniałem o dwóch lęgach, zwykle tak jest u wszystkich naszych jaskółek, ale przy niesprzyjającej pogodzie bywa, że ptaki przystępują do lęgów późno, wówczas mogą nie wyprowadzić kolejnego. Na drugie skrzydło, niektóre pary wyprowadzają trzy lęgi. To jaskółki w najlepszej kondycji, a i to przy dużej dozie szczęścia. Te późne lęgi są wyraźnie mniejsze od pierwszych (już w drugim jest mniej jaj) i często nie są kończone. Jeśli warunki znacznie się pogorszą, rodzice opuszczą gniazdo, często z już podrośniętymi pisklętami. U nas trzeci lęg wyprowadza mniej niż 5% jaskółek, podczas gdy nad Morzem Śródziemnym nawet kilkanaście. Inna rzecz, że tam sezon może się zacząć już w lutym, a w lipcu tamtejsze jaskółki udają się na zimowiska w Afryce.

Wydawałoby się, że gniazda dymówek, przynajmniej te w oborach, nie powinny nikomu przeszkadzać. A jednak, wraz z wejściem do UE podniosły się wymogi sanitarne w oborach. Nie wiem, na ile wynika to z przepisów, a na ile z nadgorliwości niektórych rolników, ale w malowanych oborach często gniazda dymówek są usuwane. Co dziwniejsze, jedna z sąsiadek powtarza mi, że nie lubi tych jaskółek, bo brudzą, choć odchody i tak lądują… w nawozie. No i w takich miejscach nigdy nie brakuje uciążliwych insektów, w znacznej mierze likwidowanych przez dymówki.

Ta bura

Trzecim naszym gatunkiem są brzegówki, mające brązowawe umaszczenie bez granatowej opalizacji. Nazwa nawiązuje do pierwotnego miejsca lęgów, czyli norek kopanych w stromych, podmywanych przez wodę brzegach. To nadal najpopularniejsze miejsce, w jakim brzegówki lokują gniazda, choć często spotykam je w kopalniach piasku czy hałdach ziemi gromadzonej wzdłuż budowanych dróg. Z tym ostatnim przypadkiem miałem ambaras przed laty, gdy sprawowałem nadzór przyrodniczy przy budowie jednej z autostrad. Budowa miała się ku końcowi i kierownictwo niecierpliwie dopytywało się, czy te jaskółki to jeszcze są. Lęgi wszystkich jaskółek mogą się przeciągnąć na wrzesień. Nawet gdy pisklęta wyrosną na podloty, jeszcze przez jakiś czas nocują z rodzicami w gnieździe.

eprasa.pl 661d6f3dbf

W opisanym przypadku po sierpniowym zachodzie słońca ptaki nagle zniknęły, ale do norek nie wleciały. Skryły się na nocleg w trzcinowiskach, wraz z innymi jaskółkami i nie tylko. Drogowcy odetchnęli z ulgą, a hałda zmieniła się w podłoże pod przydrożne rośliny.

Przy budowie dróg, przynajmniej tych większych, konieczny jest nadzór przyrodniczy, który blokuje działania szkodliwe dla przyrody. Inaczej rzecz się miewa w kopalniach piasku. Gdy wykonuję raport środowiskowy dla takich miejsc, umieszczam formułkę o zakazie niszczenia gniazd brzegówek i konieczności wstrzymania prac na fragmencie z gniazdami do czasu zakończenia lęgów. Tyle że później przestrzeganie tego to raczej dobra wola zarządcy, bo choć zniszczenie czynnych gniazd jest przestępstwem, zwykle uchodzi ono czyjejkolwiek uwadze. Widuję nieraz kolonie lęgowe w kopalniach, a przy kolejnej wizycie już jest po ptakach. Dosłownie! Także pomysły użeglownienia rzek, jak rząd nazywa przyrodniczą dewastację, nie są dobrą wiadomością dla tych ptaków – stracą znaczną część najbardziej naturalnych siedlisk.

Kopanie norki zaczyna pan brzegówka, zaraz po przybyciu na lęgowisko. O ile nie zajmie już istniejącego i wygodnego lokalu, który wystarczy nieco wyremontować. Po przybyciu pań i szybkich zaręczynach praca jest kontynuowana we dwoje. Ptaki kopią dziobem, a pozbywają się urobku z pomocą specjalnych piór przy nóżkach, działających jak miotełki. W trzy-cztery dni drążą ponadpółmetrową, a czasem niemal metrowej długości norkę, z komorą lęgową na końcu. W przeciwieństwie do mieszkających w podobnych okolicznościach przyrody zimorodków wyściełają komory lęgowe źdźbłami traw i piórkami (u zimorodków jedyną wyściółką są rybie ości i łuski, stąd być może nietowarzyskość tych ptaków).

Te ptaki jak mało które uwalniają nas od dokuczliwych owadów. Wśród ich przysmaków są muchy, meszki i komary.

Norki są chodliwym towarem na rynku nieruchomości, nie tylko wśród brzegówek. Stwierdzono, że mieszkają w nich niekiedy wróble, mazurki czy pliszki siwe. Zresztą nie inaczej bywa z pozostałymi jaskółkami, których gniazda, poza już wspomnianymi, zamieszkują sikory, kopciuszki czy pleszki. Zasiedlenie może poprzedzać eksmisja prawowitych mieszkańców, czemu towarzyszy niszczenie lęgów. Z drugiej strony jaskółki też potrafią wypędzić inne ptaki z zajętych gniazd, choć rzadziej, ze względu na dość delikatną budowę ciała. Zdarza się, że gniazdo oknówki zajmuje dymówka i na odwrót, zwykle w czasie znoszenia jaj, gdy własne gniazdo ulegnie zniszczeniu i samica nie może dłużej czekać. Znany jest jednak przypadek wspólnego wychowania potomstwa. Maluchy w gnieździe były dość zgodne, natomiast relacje między parami rodziców pozostawały napięte, chociaż piastunowie karmili pisklęta, nie patrząc na gatunek.

Nas nie dogonią

Delikatna budowa nie oznacza, że jaskółki są łatwym łupem, wręcz przeciwnie. Ich najskuteczniejszym prześladowcą jest kobuz, czyli miniaturka sokoła wędrownego. Podobnie jak większe odpowiedniki kobuzy są piekielnie szybkie i jako jedne z nielicznych potrafią złapać jaskółkę w locie, te bowiem również należą do najszybszych lotników. Co prawda, ich zwykła prędkość przelotowa wynosi nieco ponad 30 km/godz., ale bez problemu potrafią trzykrotnie przyśpieszyć, ze zrywem, jakiego może im pozazdrościć większość samochodów sportowych. Dodatkowo wiele par oczu stale wypatruje wroga, a wzniecony alarm szybko stawia na skrzydła całe towarzystwo. Przeciwnik zwykle jest wtedy bez szans, nieraz widziałem taki alarm przy okazji ataku krogulca. Jemu wprawdzie udaje się czasem skosztować jaskółczyny, ale tylko gdy nie zostanie dostrzeżony, przy ataku z bliskiej odległości. W przeciwnym razie jaskółki podnoszą rwetes i nękaniem zmuszają agresora do rejterady. Krogulce z rzadka próbują się stawiać, inni napastnicy od razu kapitulują. Wobec kobuza takiej śmiałości nie widziałem, jaskółki raczej starają się unikać konfrontacji, wycofując się z pola walki.

Zmagania jaskółek i kobuzów to wspaniały spektakl! Podobnie muszą wyglądać polowania sokoła skalnego, który napastuje jaskółki w trakcie migracji przez południową Europę.

O ile drapieżniki w sumie rzadko zagrażają jaskółkom, o tyle pasożyty zewnętrzne są dla nich prawdziwym utrapieniem. Krótkie łapki tych ptaków nie nadają się do pielęgnacji piór i pozbycia się uciążliwych kleszczy, wszy, wszołów i pcheł. Prawdopodobnie bardzo zapasożycone gniazda wpływają na obniżenie sukcesu lęgowego – liczbę piskląt opuszczających gniazdo.

Jakie problemy mają młode? Gniazda bywają rabowane przez

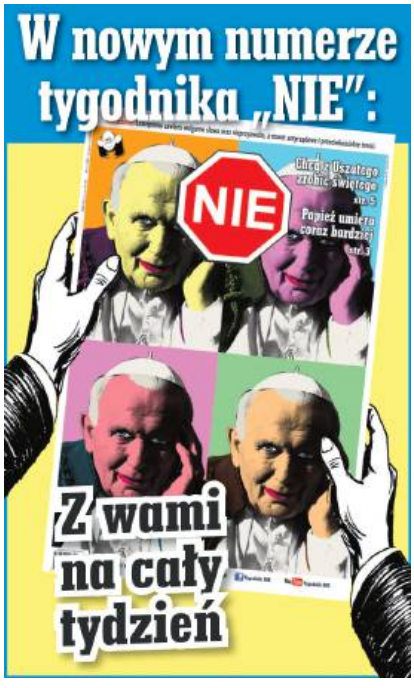

eprasa.pl 661d6f3dbf

drapieżne ssaki, często koty, czyli gatunek obcy w przyrodzie. Innymi sprawcami bywają gryzonie, które potrafią się wspinać dość wysoko. Tu warto nadmienić, że z tej grupy w zabudowaniach najczęściej wspinają się szczury i myszy domowe, a więc obce gatunki inwazyjne. Po wylocie z gniazd, nim ptaki nabiorą wprawy w lataniu i unikaniu zagrożeń, wiele z nich zginie. Trudy dalekiej migracji, 6-10 tys. km (większość zimuje na południe od równika), mogą być nie do pokonania. W pierwszym roku ginie nawet 50-70% młodych, ale już szanse na przeżycie każdego kolejnego sezonu wynoszą 70%, tak że najstarsze znane jaskółki mają kilkanaście lat, choć to rzadkość. Oczywiście im starszy samiec, tym ponętniejszy w oczach samic. Najłatwiej dostrzec to u dymówek, u których im starszy osobnik, tym dłuższe widełki ogona. Rzecz jasna, najlepszych samców jest niewiele, większości samic nie trafi się zatem superman. Nic dziwnego, że samice zabezpieczają interesy genetyczne potomstwa romansami z sąsiadami, szczególnie bardziej atrakcyjnymi.

A ponieważ jaskółki żyją kolonijnie, choć dymówki w mniejszym stopniu, to o romans łatwo. Przeciętnie w gniazdach 30% jaj nie jest po piastunie. Oczywiście im bardziej dorodny samiec, tym mniej jaj po innym tacie, a im młodszy, tym więcej. W niektórych gniazdach nawet połowa jaj ma innego ojca biologicznego niż wychowujący. Być może z owych romansów wynika tolerancja dla maluchów, które po pierwszych lotach mylą gniazda i wpadają do sąsiadów? Mogą one podczas pobytu w gościnie liczyć na strawę na równi z prawowitymi domownikami. Jak już wspomniałem, młode dość długo pozostają pod opieką rodziców po opuszczeniu gniazda. Często wracają doń, gdy samica siedzi już na kolejnych jajach.

Niekiedy rodzice dla starszych pociech budują dodatkowe gniazdo, chociaż częściej adaptują jakieś sąsiednie, akurat nieużywane. Bywa też, że młode z pierwszego lęgu pomagają rodzicom w wychowaniu młodszego rodzeństwa. Szczególnie często zdarza się to u oknówek. Tacy opiekunowie zyskują doświadczenie, co czyni je skuteczniejszymi rodzicami (i atrakcyjniejszymi partnerami) w kolejnym sezonie, gdy sami przystąpią do lęgów.

Najstarsze znane jaskółki mają kilkanaście lat, choć to rzadkość. Oczywiście im starszy samiec, tym ponętniejszy w oczach samic.

Najlepszy sąsiad człowieka

Żadna z naszych jaskółek nie jest zagrożona, wręcz należą do najliczniejszych ptaków w Polsce. Czy to jednak znaczy, że możemy bezmyślnie się ich pozbywać z naszych okien, obór czy skarp?

Te ptaki jak mało które uwalniają nas od dokuczliwych owadów. Wśród ich przysmaków znajdują się muchy, meszki i komary, stworzenia, z którymi osobiście mam na pieńku (nie wiedzieć czemu zawsze wybierają mnie jako pokarm, i to nie tylko w terenie, ale nawet w tłumie). W memach najczęściej pogromcami krwiopijców i upierdliwców są gacki (nietoperze), ale te wolą grubszą zdobycz, taką jak ćmy i chrząszcze. Jaskółki zaś naprawdę zjadają naszych prześladowców. Widzieliście zapewne, jak jaskółki zniżają się nad wodę i uderzają o nią piersią. To ich jedyny sposób, by mogły się napić, ale nie tylko gaszą w ten sposób pragnienie. Często tak polują na składające jaja samice komarów, które w tym celu przysiadają na powierzchni wody (ich waga nie przebija napięcia powierzchniowego wody). Jak dla mnie to najlepszy powód, by pozwolić im na brudzenie szyb, sranie w obornik, wstrzymywanie prac budowlanych czy wydobywczych i wszelkie inne przewiny.

I to wręcz doskonały powód, by masowo montować im budki lęgowe. Te często instaluje się jako kompensację po termomodernizacji i remontach elewacji, a przed trzema laty na warszawskiej Białołęce powstał pierwszy jaskólnik, czyli wieża z budkami na podobieństwo tych dla jerzyków.

Konrad Malec

URATUJMY MAŁĄ KASIĘ

Małą Kasię spotkałem w komórce. U handlarza. Chwilę temu miała dom, ale okazała się zbędna. Jej świat runął w jednej chwili. Bez ostrzeżenia. Bez zapowiedzi. Dostała wyrok śmierci. Stała tam. Z tyłu, wciśnięta w kąt za innymi końmi, tylko patrzyła w stronę drzwi. Najstarsza, najsłabsza, nie miała szansy, by podejść i prosić o pomoc. A może, nawet gdyby mogła to zrobić, to by już nie chciała. Bo takie jak Mała Kasia dobrze znają ludzi. Nie raz się na nich zawiodły. Te inne, z którymi stała, były młode i silne. I już sprzedane. Czekały na odbiór, jechały do dobrego domu. I tylko Mała Kasia czekała na samochód do ubojni.

Szanowni Państwo, pokornie proszę Was o pomoc dla Małej Kasi. Jej życie i transport do naszego przytuliska to koszt 3400 zł. Ona nie może już pracować, nie urodzi, nie zarobi, ale to nie powód, by ją zabijać. Jeśli uważasz, że jej życie jest cokolwiek warte, podaruj jej kilka złotych. We wtorek trzeba wpłacić połowę, do piątku pozostałą kwotę. Bardzo proszę o ratunek dla Małej Kasi. Dokonaj drobnej wpłaty z tytułem "Ratuję Małą Kasię"

Numer konta 23 1020 4027 0000 1102 1692 6564

Fundacja BENEK ul. Orzechowa 15, 63-004 Szewce

www.fundacjabenek.pl tel: Michał Bednarek 506 349 596

BARDZO DZIĘKUJE ZA KAŻDĄ POMOC

KRS0000794938 - Podaruj zwierzętom 1,5% podatku

blik 506 349 596

eprasa.pl 661d6f3dbf

Da Vinci naszych czasów

Prace Basquiata zaczęły osiągać zawrotne ceny, nawet 200 mln dol. za obraz, a on sam jest najdroższym artystą współczesnym

Rozmawia Mateusz Demski

LECH MAJEWSKI
– poeta, malarz, pisarz, reżyser filmowy, teatralny i operowy

Kiedy spotkał pan Jeana-Michela Basquiata po raz pierwszy?

– To było bodajże w roku 1986, kilka lat przed jego śmiercią. Byłem już po moim amerykańskim debiucie, „Locie świerkowej gęsi", który wyprodukował Michael Hausman, producent Miloša Formana i Martina Scorsesego. Syn Hausmana Shawn miał w owym czasie wzięty klub nocny, który nazywał się Area. Lokal przyciągał osobistości. Tam zetknąłem się z Jeanem-Michelem, który tego wieczoru był w głębokiej, powiedzmy, fazie. Widziałem jednak, jak bardzo skupiały się na nim spojrzenia ludzi. Miał na sobie podarte spodnie od piżamy, zachlapaną farbą marynarkę od Armaniego za kilka tysięcy dolarów i ptasie gniazdo na głowie, zaplątane w odpowiednio oryginalną fryzurę. Tak z daleka przypominał stracha na wróble.

Basquiat, jak wielu artystów tamtego czasu, na salony przyszedł znikąd, praktycznie z ulicy. To symboliczne, że film o nim, do którego napisał pan scenariusz, rozpoczyna się sceną, w której Basquiat budzi się w kartonowym pudle, gdzieś w parku.

– W Tompkins Square Park na Manhattanie. Początek lat 80. to była eksplozja czegoś nowego w sztukach wizualnych, co zaczęto później nazywać neoekspresjonizmem. Pojawili się Julian Schnabel, Keith Haring i właśnie Jean-Michel Basquiat, który u szczytu sławy trafił na okładkę niedzielnego wydania „New York Timesa". Było też trzech włoskich muszkieterów: Sandro Chia, Francesco Clemente i Enzo Cucchi. Do tego dochodzili grafficiarze typu A-One czy Rammellzee, którzy doprowadzili swoje murale do wysublimowanych form i również zaczęli być celebrowani przez środowisko.

Malowanie wagonów metra było według nich jak tworzenie wędrujących po mieście wystaw. To stało się tak powszechne, że cały Nowy Jork zaczęło pokrywać graffiti.

– Haring zaczynał w ten sposób, że jeździł od stacji do stacji i kredą rysował swoje obrazy na pustych miejscach po zdjętych plakatach reklamowych. Basquiat podobnie wdarł się w pejzaż Manhattanu. Razem z Alem Diazem, swoim kolegą, włóczyli się po Nowym Jorku i pisali na murach sprayem jednozdaniowe, osobliwe hasła podpisane SAMO© (skrót od *same old shit*). Nagle na mieście zaczęły się pojawiać frazy rodem z poezji, z surrealizmu, które trudno było przeoczyć i które jakoś nie pasowały do logicznej anglosaskiej kultury. Takie napisy jak „Zbuduj fortecę i podpal ją", „Kobieta kangur sprowadza deszcz" czy „Młodość huśtająca prawą nogą" były frapujące, zaskakujące, zaburzały odbiór rzeczywistości. Kiedy widzi się coś takiego na ulicy, to człowiek zaczyna się zastanawiać, skąd to się wzięło, kto to napisał, jakie to ma znaczenie.

Na Basquiata w ten sposób wpadła Annina Nosei, marszandka i galerystka, która dała mu miejsce do malowania w piwnicy swojej galerii. Bardzo szybko zyskał sławę. Krążą

eprasa.pl 661d6f3dbf

mity, że malował wieczorem obraz, a rano przynosiła mu w gotówce 20 tys. dol. „New Art, New Money: The Marketing of an American Artist" – to tytuł artykułu, który pojawił się w „New York Timesie". Słowem, sztuka stała się produktem.

– To były czasy Reagana, rozszalałego rynku. Nagle pojawiła się młoda gwardia superbogatych ludzi, zaledwie po studiach, którzy wchodzili na Wall Street i zarabiali tam krocie. Krótko mówiąc, spekulanci giełdy i pieniądza mieli swój widoczny bum, wprowadzili zupełnie nowe, jak to się teraz mówi, instrumenty finansowe. Swoją drogą, to ciekawe, że taką nazwę nadaje się czemuś, co na dobrą sprawę nie istnieje, co jest kompletną abstrakcją – narzędzia i instrumenty to można znaleźć w sklepie ze śrubokrętami lub w sklepie muzycznym, ale nie w banku.

I natychmiast rósł popyt na sztukę nowych artystów. Powiedział pan kiedyś, że najpierw była faza roleksa, następnie bmw, a potem sztuki.

– Bo ile można kupić zegarków, garniturów, ile samochodów – te produkty nie mogą kosztować więcej, niż wynosi ich cena rynkowa. Inaczej jest ze sztuką. Nie można dostać widełek wyceny, to jest coś poza wszelkimi kategoriami, dlatego prace Basquiata zaczęły osiągać zawrotne ceny. Teraz cena jednego takiego obrazu dochodzi nawet do 200 mln dol., do szaleńczych barier, a on sam jest najdroższym artystą współczesnym.

Który w rankingach prześcignął Warhola. Na czym polega więc to, że akurat on został wyniesiony na szczyt? Sam porównał pan kiedyś Basquiata do Leonarda da Vinci.

– Trochę dla żartów, z zachowaniem wszelkich proporcji. Zainteresowanie Basquiatem pojawiło się u mnie w momencie, gdy pracowałem nad montażem i udźwiękowieniem filmu „Więzień Rio" w Pinewood Studio pod Londynem. Jednym z przywilejów, którymi się tam cieszyłem, było to, że mieszkałem w pobliżu biblioteki w Windsorze. Oglądałem tam „Kodeksy" da Vinciego. W trakcie przeglądania tych dokumentów trafiłem na studium nogi konia do pomnika Sforzy. Uświadomiłem sobie, że da Vinci w jakimś sensie, opisując te wszystkie zwierzęce stawy i kości, odkrywał rzeczywistość. Dla niego, w jego czasach, wszystko było do odkrycia, a dodatkowo potrafił to narysować, opisać, czasem zaszyfrować. Nam ta szansa została natomiast zabrana, bo żyjemy w świecie, który został już przez kogoś innego odkryty, ponazywany i skatalogowany. Ktoś za nas odrobił już tę lekcję. Sztuka, którą my robimy, jest second hand, a może nawet fourth hand.

Basquiat katalogował banalne rzeczy, które potem powielał, kserował. Na obrazach notował fonetycznie różne nazwy: z etykiet na kartonach mleka, z paczek papierosów...

To by znaczyło, że Basquiat jakoś tej wtórności się oparł.

– Być może Basquiat sam tego podobieństwa był świadomy, bo jedną z prac zatytułował „Leonardo's Greatest Hits". Myślę, że o ile nie można porównać ich skali, o tyle można – zachowując przy tym rozsądne proporcje – porównać ich zapał do opisywania rzeczywistości. Basquiat odkrywał pewnego rodzaju poezję, która go otaczała. To świat miejski, pozbawiony natury, gdzie wszystko staje się produktem. W tych czasach nie ma już nogi konia, istnieje za to naklejka na płycie Milesa Davisa, token do metra, bilet do kina. Basquiat z pasją katalogował tego typu banalne rzeczy, które potem powielał, kserował. Na obrazach notował fonetycznie różne nazwy: napisy z etykiet na kartonach mleka, z paczek papierosów, strzępy zdań z komiksów, z encyklopedii. Tworzył z nich kronikę czasu. Miał przy tym jasno określony styl. Bardzo to było jego.

Kiedyś, jak jeszcze nie był znany, handlował na ulicy pocztówkami własnej roboty i kilka udało mu się sprzedać podczas lunchu Warholowi. Basquiat robił je na starych magazynach, to były takie wydzieranki, wyklejanki. Ktoś, kto kupił kiedyś taką pocztówkę za dolara, mógłby dzisiaj pewnie nieźle na tym zarobić.

– Prawdziwość takiej pocztówki trudno byłoby dzisiaj udowodnić. Podobnych prób basquiatopodobnych było wiele, oczywiście ze względu na kasę, która tam dookoła niego krąży. Prawem kaduka spadkobiercą Jeana-Michela Basquiata, całej jego spuścizny, stał się ojciec, który w rzeczywistości był głównym sprawcą jego życiowych problemów. To on doprowadził go do ucieczki z domu i nędzy, choć być może w ten przewrotny sposób przyczynił się do rozkwitu talentu i legendy syna. Nie zmienia to faktu, że ten człowiek był zamordystą domowym. Matka Jeana-Michela trafiła do kliniki dla nerwowo chorych. Jego siostra została wpędzona w katatonię, a sam Basquiat został kiedyś przez ojca zaatakowany pod prysznicem nożem kuchennym, jak w filmie Hitchcocka. I nagle ten, który katował i tak nienawidził syna, zaczął dyktować warunki. Dawał pozwolenia i certyfikaty, czy coś jest made by Basquiat, czy nie jest. Bywał przy tym podejrzewany o manipulacje i malwersacje. Bardzo negatywna postać, ale zarazem temat, który w naszym filmie o Basquiacie okazał się zbyt prowokujący.

No właśnie. Pan musiał z tym człowiekiem osobiście się skonfrontować, pisząc scenariusz do filmu „Basquiat – Taniec ze śmiercią".

– Mało tego, jak przeczytał mój scenariusz, to zabrał na spotkanie prawnika, który wcześniej zajmował się spadkiem po Warholu. Nagle stał się bogaczem, ponieważ to on

Lech Majewski – jeden z najmłodszych artystów, którzy mieli retrospektywę w nowojorskim Museum of Modern Art. Jego prace są pokazywane w galeriach i muzeach całego świata. Prowadzi na różnych uniwersytetach i akademiach sztuki wykłady na temat ukrytego języka symboli.

eprasa.pl 661d6f3dbf

Jean-Michel Basquiat, król neoekspresjonizmu i sztuki ulicznej, ikona globalnej popkultury, uważany jest za największego artystę naszych czasów. Jego nazwisko należy do najdroższych w świecie sztuki. W sierpniu minie 35. rocznica jego śmierci. Najprawdopodobniej jedynym polskim twórcą, który miał okazję poznać go osobiście, jest Lech Majewski, reżyser i artysta wizualny. Na początku lat 90., na podstawie głębokiego researchu oraz rozmów z marszandami, kolekcjonerami sztuki i dilerami narkotykowymi z najbardziej szemranych dzielnic Nowego Jorku, Majewski napisał scenariusz o życiu Basquiata, który stał się kanwą filmu „Basquiat – Taniec ze śmiercią" w reżyserii Juliana Schnabla.

Jean-Michel Basquiat i Andy Warhol przed swoimi obrazami na wystawie w Tony Shafrazi Gallery w dzielnicy SoHo na Manhattanie, Nowy Jork, 24 września 1985 r.

miał w garści copyright Basquiata. Poszedłem tam razem z Julianem Schnablem, który także miał dobrych adwokatów, i rozpętała się wojna prawna na temat tego, co możemy, a czego nie możemy. Wynik spotkania był taki, że możemy zrobić film, bo Basquiat trafił już do tzw. domeny publicznej, został wielokrotnie opisany w prasie, miałem też zebrane wypowiedzi osób, które już umarły, jak Keith Haring czy Henry Geldzahler. Ale nie mogliśmy przedstawić ojca Basquiata ani atmosfery w tej rodzinie w żaden negatywny sposób. Ponadto ojciec Basquiata zabronił użycia w filmie prac swojego syna.

To dlatego w końcu pan tego filmu nie wyreżyserował i oddał go w ręce Schnabla?

– Nie godziłem się na sanityzację i ustępstwa, które były konieczne do opowiedzenia o Basquiacie. Stwierdziłem wtedy, że nie interesuje mnie łagodzenie kantów tej historii, i wolałem nakręcić mojego „Wojaczka". Zaproponowałem, żeby film zrobił zamiast mnie Julian Schnabel, który pisał ze mną dialogi i po prostu o tym marzył. Jedna z bardziej drastycznych scen w moim scenariuszu pokazywała, jak Jean-Michel został w dzieciństwie przywiązany przez ojca do nogi od stołu i jadł z psiej miski na podłodze. Oczywiście ta scena w filmie o Basquiacie musiała wylecieć. Ciekawostką jest, że po dziesięciu latach, z okazji mojej retrospektywy w Museum of Modern Art w Nowym Jorku, zrobiłem z tej sceny wideoart, bo ciągle ta historia nie dawała mi spokoju. Niektórzy zaczęli podejrzewać mojego świętej pamięci ojca, że on takie rzeczy robił ze mną.

Trzy lata zbierał pan materiały do książki i scenariusza o Basquiacie.

– Prace rozpocząłem zaraz po śmierci Basquiata. Uczyłem wtedy na Uniwersytecie Yale. Jeden dzień w tygodniu zabierały mi wykłady, drugi poświęcałem na recenzje i poprawki tego, co napisali studenci, a resztę miałem teoretycznie wolną. Przez następne trzy lata cały wolny czas spędzałem na Manhattanie, dokumentując historię Basquiata. Miałem poumawiane różne spotkania, każda osoba musiała podpisać zgodę, na co mój prawnik uczulał mnie od początku. Śledząc losy Jeana-Michela, dotykałem niebezpiecznych tematów prawnych. Serce Manhattanu, na każdym party na stołach linie kokainy. Gdyby to był film abstrakcyjny, wszystko można by w nim pokazać, ale tu występowały postacie z kluczem, łatwe do odszyfrowania, a takie ujawnienie mogło grozić pozwem. Każdy, z kim rozmawiałem, musiał notarialnie zaświadczyć o autentyczności swoich relacji. Ciągle mam tych siedemdziesiąt parę wywiadów, które przeprowadziłem na temat Basquiata. Może w którymś momencie do tego siądę i skompiluję książkę. Jakoś tak wyszło, że życie dotąd nie pozwalało mi tym się zająć.

Z tego, co wiem, ma pan rozmowy zarówno z marszandami i kolekcjonerami jego sztuki, z ludźmi sławnymi i bogatymi, jak i narkomanami na skraju nędzy.

– Basquiat był w stanie tego samego dnia pójść na wystawne przyjęcie i wylądować w najgorszej melinie w ciemnym zaułku. Trochę o tym wiem, bo chodziłem jego śladami. Byłem w najbogatszych penthouse'ach i loftach. Widziałem meliny w grożących zawaleniem budynkach. Było trochę tych spotkań. Poleciałem do Los Angeles, żeby rozmawiać z Armandem Hammerem, przemysłowcem i komunistą, który dorobił się niebywałej fortuny i kolekcji dzieł sztuki. Rozmawiałem z dziewczynami Basquiata, m.in. z Madonną i Eszter Balint, która zagrała potem u Jarmuscha w „Inaczej niż w raju". Byłem też w klinice

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, AP/EAST NEWS

eprasa.pl 661d6f3dbf

odwykowej, w której przebywał asystent Basquiata. W czasie wywiadu dookoła nas rozlegało się przerażające wycie. Z bólu. Z głodu. To jeden z najbardziej wstrząsających momentów w moim życiu, kiedy zobaczyłem, co się dzieje z ludźmi po heroinie.

Mówił pan, że Keith Haring także znalazł się wśród rozmówców.

– Tak, choć był już bardzo chory. Pamiętam, że miał taką narośl na uchu, to było zaawansowane stadium AIDS. Udzielał mi wywiadu, intensywnie pracując nad obrazem. Miał tam ogromne płótno, cztery na trzy metry – malował wtedy już inaczej, agresywniej, zostawiał pełno plam i zacieków. Trudno po tej rozmowie powiedzieć, czy znali się dobrze z Basquiatem. Należeli po prostu do jednego środowiska. Film ostatecznie zrobił Schnabel, w którego pracowni na półpiętrze Jean-Michel się wysikał, wychodząc od niego. To był komentarz, co sądził o Schnablu i jego sztuce. Jakieś przedziwne intensywności i ciśnienia tam między nimi były – niekoniecznie się kochali i cenili. To jednak w tym środowisku zrozumiałe. Do tej pory jest pewnego rodzaju opór. Na przykład w Metropolitan Museum of Art, ważnym miejscu na mapie sztuki, dopiero niedawno powiesili Basquiata. A Schnabla tam nigdy nie wystawili. MoMA tak samo.

Z twórczością Basquiata też różnie bywało, jeszcze za życia zdarzały mu się negatywne recenzje. Tak było w przypadku wspólnej wystawy z Andym Warholem, kiedy został przez jednego z krytyków zrugany i nazwany „maskotką Warhola".

– Można się zastanawiać dlaczego, bo to przecież pierwszy czarny artysta o światowym zasięgu, który wdarł się do białego świata sztuki. Trzeba jednak zrozumieć grę, jaka wokół niego się toczyła. Sztuka współczesna to gra finansowa, która nie ma nic wspólnego ze sztuką jako taką. Sama sztuka gdzieś tam jest, na dalekim, może dziesiątym planie. To polega na tym, że jakaś grupa bądź osoba, marszand, bierze „na tapet" dowolnego artystę i zaczyna go promować. Najczęściej działa to na zasadzie wyłączności – podpisuje się odpowiednie kontrakty, na mocy których artysta musi dostarczać tyle i tyle prac, a w zamian promotor organizuje mu wystawy albo miejsce na biennale, za sprawą sieci interesów i znajomości. To są całe rozgrywki. Nie wszystkich, rzecz jasna, da się wylansować. Jest wielu artystów kupionych i lansowanych, którzy się nie przedarli.

Są i tacy, którzy zdobywają sławę. Tak w końcu stało się z Basquiatem, od którego śmierci mija w tym roku 35 lat.

– W jego sztuce było coś brutalnego. A jednocześnie to było, w dobrym znaczeniu tego słowa, czarne. To była sztuka z danej kultury, która miała źródła w Afryce. Chodziło więc również o powrót do surowizny i miejsc dla Basquiata pierwotnych. To, co tworzył, to były Picassowskie „Panny z Awinionu" w wersji na lata 80. Coś, czym wcześniej w Ameryce stał się jazz. Poza tym Basquiat żył krótko. Zmarł przedwcześnie i tragicznie, w wieku 27 lat, z przedawkowania heroiny, jak Morrison, Hendrix czy Joplin. Basquiat przemknął przez świat jak kometa. Nagle zniknął, ale zostawił po sobie smugę obrazów, które ciągle działają na wyobraźnię. Zawsze kojarzył mi się z Wojaczkiem, który też ze swoją nadwrażliwością, niezgodą i talentem przeleciał przez pejzaż PRL jak ognista kometa.

Mateusz Demski

KSIĄŻKI

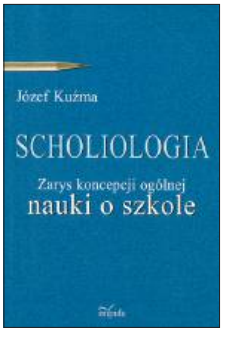

Józef Kuźma
Scholiologia
Zarys koncepcji ogólnej nauki o szkole
Impuls, Kraków 2022

Szóste już wydanie monografii, która od początku włącza się bezpośrednio w dialog o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości edukacji szkolnej w Polsce i na świecie. Autor poświęcił temu zagadnieniu ponad 20 lat pracy naukowej i redakcyjnej, a o aktualności „Scholiologii" mogą świadczyć liczne załączone opinie wybitnych badaczy z zakresu nauk o edukacji.

Joanna Flis
Co ze mną nie tak?
Znak, Kraków 2023

Jak mówi podtytuł, to książka „O życiu w dysfunkcyjnym domu, środowisku, w Polsce i o tym, jak sobie z tym (nie) radzimy". Pozwala nam zaakceptować siebie bez obwiniania innych. Uczy, jak możemy zaopiekować się sobą tu i teraz mimo przeszłych zranień. Bez zrozumienia przeszłości nie da się bowiem zrozumieć i tworzyć zdrowej teraźniejszości.

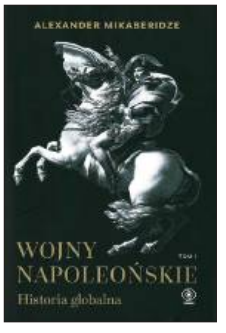

Alexander Mikaberidze
Wojny napoleońskie. Historia globalna, t. 1
przeł. Tomasz Fiedorek
Rebis, Poznań 2023

Historia wojen, które zaczęły się w czasie rewolucji francuskiej, trwały do klęski Napoleona w 1815 r., a stały się narzędziem budowy globalnego imperium. Równolegle z walkami w Europie mocarstwa rywalizowały o hegemonię w obu Amerykach, Afryce, Azji i na Bliskim Wschodzie. Wojny te w dużym stopniu odmieniły świat w okresie między reformacją a I wojną światową, ich skutki zaś są widoczne do dziś.

eprasa.pl 661d6f3dbf

MIĘDZY OKŁADKAMI

Patti McCracken
Wioska wdów
tłum. Urszula Gardner
Wydawnictwo Kobiece, Białystok 2023

W zapyziałej wiosce na Nizinie Węgierskiej w latach 20. zeszłego wieku obejmujący posadę lekarz chce się pozbyć konkurentki – Romki akuszerki. To, co miało być walką oświecenia z zacofaniem, medycyny z zabobonem, skończyło się ujawnieniem gigantycznej afery trucicielskiej, co zainteresowało nawet światową prasę. Cioteczka Zsuzsa, niemal archetypiczna wiedźma – ciskająca klątwy baba piec z fajką w zębach – oprócz znacznie bardziej fachowej pomocy przy porodach oferowała kobietom, nieraz udręczonym do ostateczności, usunięcie ich problemów: brutalnego męża, kolejnego noworodka, którego nie ma jak wykarmić. Jej podejście do społeczności, w której żyła, można by nazwać eugenicznym. Zaszokowany świat męskiej władzy dostrzegał jednak tylko demoralizację i rozwiązłość klientek cioteczki. Z tym że to wybrzmiewa raczej na drugim planie, autorka, debiutująca „Wioską wdów" dziennikarka, przede wszystkim odmalowuje w krótkich, lecz barwnych i szczegółowych aż do obsesji scenkach życie ówczesnej węgierskiej prowincji.

Aleksandra Pańko

ZASŁUCHAJ SIĘ

Boreyko/Zdunik, Orkiestra Filharmonii Narodowej
Polish Music for Cello and Orchestra
FN/CD Accord

Wirtuoz Marcin Zdunik nagrał cztery kompozycje na wiolonczelę z orkiestrą czworga polskich kompozytorów współczesnych. Najczęściej grywany na estradzie jest „Koncert wiolonczelowy" Grażyny Bacewicz, która sama grała na skrzypcach i fortepianie, najrzadziej chyba – „Koncert" Miłosza Magina, który sam był pianistą. Najnowocześniejszy jest utwór wiolonczelisty Henryka Jabłońskiego, a najweselsza – „Fantazja" Aleksandra Tansmana, też pianisty.

Bronisław Tumiłowicz

NA EKRANACH

Styczeń
reż. Viesturs Kairišs, prod. Łotwa/Litwa/Polska, już w kinach

Rok 1991. Łotwa szykuje się do ogłoszenia niepodległości i zmiany ustroju, ale kraj pozostaje pod wpływem Związku Radzieckiego. Iskra, która wznieca płomień, pojawia się 2 stycznia. Żołnierze OMON, jednostki specjalnej ministerstwa spraw wewnętrznych ZSRR, opanowują Dom Prasy w Rydze. Kiedy próbują przerwać druk podziemnej prasy, budzą się emocje i protesty. Viesturs Kairišs pamięta te wydarzenia doskonale, ale swoim najnowszym filmem postanowił opowiedzieć nie tyle o wielkiej historii narodowej, ile o własnych młodzieńczych przeżyciach. Kiedy padły strzały, a na ulice wyjechały czołgi, on snuł marzenia o robieniu kina. Niepodległościowy zryw rozgrywa się tu więc na tle dorastającego pokolenia, które zamiast strzelać, woli złapać kamerę i uchwycić na taśmie czas przemian. „Styczeń" to opowieść niewidocznych świadków i uczestników historii, opowieść o młodości i szkolnej miłości, najpiękniejszym okresie w życiu, brutalnie okaleczonym przez politykę.

Mateusz Demski

KURTYNA W GÓRĘ

Życie ma sens

Dramat muzyczny „Irena", czyli rzecz o Irenie Sendlerowej, niosącej pomoc żydowskim dzieciom w czasach Zagłady, okazał się prawdziwym sukcesem. Choć projekt obciążony był pewnym ryzykiem – trudno przezwyciężyć psychiczną barierę opowiadania w musicalu o czasach Holokaustu – twórcy znaleźli sposób, aby przemówić do emocji widzów i zachować właściwe proporcje między tragizmem tematu i naturalną dla gatunku lekką formą podania. Zarówno wyważone libretto, w stylu amerykańskim, tchnące tradycją sięgającą „West Side Story", jak i piękna muzyka autorstwa Włodka Pawlika, odwołująca się do motywów i jazzowych, i klezmerskich, a także prosta scenografia nawiązująca do rysunków dziecięcych sprawiły, że oglądało się tę historię i słuchało z zapartym tchem.

Wykonawcy nie szczędzili talentu, aby przekonać do, wydawałoby się, banalnej, ale i wzniosłej tezy spektaklu, że życie ma sens, jak stanowi fundamentalny motyw libretta i muzyki. Olśniewająco wywiązała się ze swych zadań Oksana Hamerska w roli Ireny Sendlerowej, zarówno młodej, jak i sędziwej, dając popis nie tylko możliwości wokalnych i wrażliwości emocjonalnej, ale też warsztatu aktorskiego dużej miary. Płynnie przechodziła – bez żadnych zmian charakteryzacji czy kostiumu – od postaci Sendlerowej seniorki do dziewczęcej, pełnej entuzjazmu działaczki okupacyjnego podziemia.

Spektakl wyprodukowany przez Teatr Muzyczny w Poznaniu znalazł w Warszawie wdzięczną publiczność – to przecież opowieść o tym umęczonym mieście i obrońcach jego honoru. Wielkie gratulacje dla poznańskiego zespołu.

Tomasz Miłkowski

„Irena", libretto Mary Skinner i Piotr Piwowarczyk, muzyka Włodek Pawlik, reżyseria Brian Kite, Teatr Muzyczny w Poznaniu, premiera warszawska w Teatrze Polskim, 25 marca 2023

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. DAWID STUBE, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 661d6f3dbf

Nazywają go Wazonem

Zastanawiają się ludzie w MSZ, jak długo jeszcze Zbigniew Rau będzie kierował ministerstwem. I wszyscy dochodzą do podobnego wniosku – że niedługo.

Skąd ten wniosek? Po pierwsze, w październiku będą wybory. PiS może stracić w nich władzę. A to już oznacza wymianę w MSZ. Po drugie, za odejściem Raua przemawia tzw. PESEL. Minister ma 68 lat i nie jest okazem zdrowia. Można więc zakładać, że nie będzie aspirował do kierowania resortem. Że będzie miał dość ciągłego podróżowania po świecie – a to Nowy Jork, a to Seul – zmian czasu itd. To, co jest atrakcyjne dla 30-latka, staje się mordęgą dla 70-latka…

Jak podpowiadają zresztą obserwatorzy jego aktywności, z programów wizyt można wyczytać, że Rau stara się je traktować na poły wypoczynkowo. Na zasadzie: jeden dzień na polityczne rozmowy, drugi na odpoczynek i zwiedzanie. Czyli albo już nie ma siły na intensywną pracę, albo chce wykorzystać okazje turystyczne, bo niedługo ich nie będzie miał. Jest zatem gotowy na odejście z MSZ.

Czy te spekulacje są trafne? Wskazuje na to wiele tropów. Rau, jak żaden z jego poprzedników, jest zaangażowany w promowanie swojego okręgu wyborczego. Ściąga do MSZ ludzi z Łodzi, z Uniwersytetu Łódzkiego, organizuje w Łodzi MSZ-etowskie eventy. Ostatnim były rozmowy ministrów spraw zagranicznych tzw. Bukareszteńskiej Dziewiątki (B9), czyli Bułgarii, Czech, Estonii, Litwy, Łotwy, Polski, Rumunii, Węgier i Słowacji. Jaki był powód, by tyle delegacji ciągnąć do Łodzi? Rau to wie. Do tego dorzućmy pomysł przerzucenia centrum decyzji wizowych do miasta włókniarzy.

Jak więc widać, Rau postępuje tu jak klasyczny polityk budujący swoje zaplecze. Po co? Wtajemniczeni podpowiadają, że zamierza walczyć w swoim mieście o mandat senatora. To byłaby dla niego najlepsza emerytura. Byłby w grze, ale już nie tak intensywnej.

Jeszcze jedno sugeruje, że Rauowi bliższa jest Łódź i jego kariera w PiS niż przyszłość MSZ. Otóż jest on stałym gościem narad na Nowogrodzkiej. To oczywiście buduje jego polityczną siłę, ale z drugiej strony zmusza do rozmaitych koncesji. Personalnych przede wszystkim. W ten sposób Rau przerabia MSZ na urząd synekur, otwierając ministerstwo, w stopniu nieznanym w III RP, na ludzi z politycznego nadania. Waszczykowski, Czaputowicz – na jego tle to obrońcy profesjonalizmu w MSZ. On takich zahamowań nie ma. Wystarczy popatrzeć na ostatnie nominacje ambasadorskie, by wyzbyć się jakichkolwiek złudzeń. Nadchodzi zresztą okres wakacyjny, czyli wyjazdów i rotacji, przekonamy się, jak bardzo te obawy są prawdziwe.

W ten sposób Rau dorobił się przydomka Wazon, tak coraz więcej ludzi w MSZ go nazywa. Wiadomo, wazon stoi, gdzie się go postawi, kłopotów nie sprawia, raczej milczy, a ma i tę zaletę, że od czasu do czasu można coś do niego wrzucić. Jakiegoś zasłużonego działacza na funkcję wiceministra, ambasadora, konsula… I tak właśnie się dzieje.

Attaché

Szkielet tyranozaura złożony z kości trzech osobników, nazwany Trinity, zostanie zlicytowany 18 kwietnia w Zurychu. Ma 67 mln lat, 3,9 m wysokości i 11,6 m długości, a wyceniono go na 6,5-8,7 mln dol.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 661d6f3dbf

JOLKA

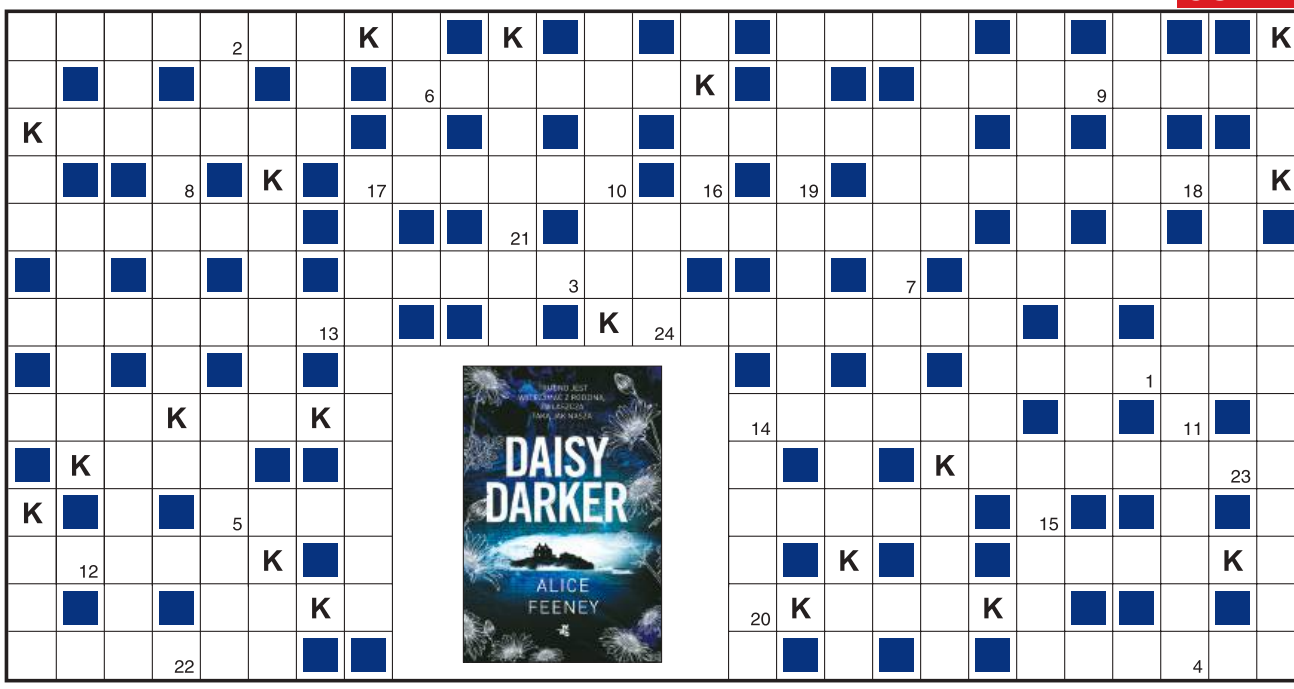

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- przystojniak jak ukochany Afrodyty
- oddział jazdy rzymskiej
- i lalkarz, i inspirator
- kontynent z Chinami
- błotnista kałuża
- mniejszy od tarasu
- farbowanie
- płaksa, mazgaj
- spódnica z niskim stanem
- osoba, której przetacza się krew
- pluć w nią sobie to żałować
- prosty lub sierpowy
- uciekł z wojska
- …do orzechów
- cudak, ekscentryk
- sprzedaż towarów za granicę
- określenie, też obraźliwe
- ambulans pogotowia
- mocny napar z liści herbacianych
- futrzany, szeroki szal
- bez konkurentek w raju
- Eugeniusz Romer lub Wacław Nałkowski
- imię lekkoatletki Konopackiej
- wspina się na Everest, Makalu
- wigor, temperament
- spadnięcie kropli
- awans za awansem
- polska armatohaubica jak skorupiak
- …nad Wisłą, czyli Polska
- dotrzymywać go to nadążać
- o majątku z ciężkiej pracy
- grająca lub śpiewająca czwórka
- pluszak na szczęście
- roślinnie o delikatnisiu
- cherlak, chudzina, słabeusz
- jego igły opadają na zimę
- środek przeciw molom
- „…do radości”
- duchowy, chrzestny lub Święty
- najliczniejsze na szachownicy
- grządka kwiatowa
- poprawka zdjęcia, drobna korekta
- główne miasto ROW
- podłużne naczynko, korytko
- obrządek, liturgia, ceremonia
- grudka złota
- scenka kabaretowa
- dwa czarne i dwa białe koniki
- żywe… to fryga lub rtęć
- wydzielony obszar, zona
- jej atrybutem maska komiczna
- potrawa z surowego mięsa
- w XIX w. buntowali się liońscy i śląscy
- imię Stwosza
- wyciąg z dokumentu, wyjątek z tekstu
- przesąd
- magazyn, składnica
- chronometr
- sejmik ptaków
- naklejany na list

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1111”. Do rozlosowania książki „Daisy Darker” ufundowane przez Grupę Wydawniczą Foksal. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 10 kwietnia 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1108” z nr. 11: *Dziwacy to ozdoba ziemi.*
Nagrody otrzymują: Alina Koziej ze Świdnika, Anna Wajs z Legionowa, Leszek Wiśniewski z Tumlina-Podgrodu.

eprasa.pl 661d6f3dbf

KRZYŻÓWKA Z PISANKĄ

W diagramie ujawniona została tylko część numerów i zaciemnionych pól. Rozmieszczenie pozostałych należy ustalić samemu.

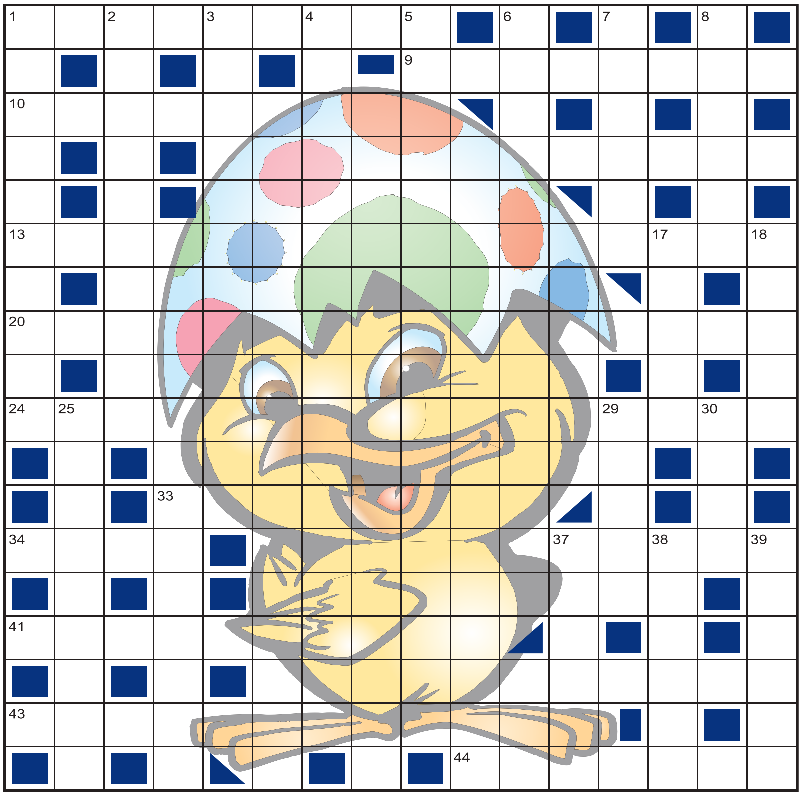

Poziomo:
1) sposób na częściowe załatwienie sprawy
9) miesiąc z andrzejkami
10) pismo papieża do biskupów i wiernych
11) z jednym palcem to łapawica
12) obszar wodny
13) nie do przetłumaczenia dosłownie
14) wyciąg, esencja
19) cztery kółka, wóz
20) w nasyconym więcej substancji się nie rozpuści
21) kwota globalna na jakieś wydatki
22) przejmujący, dokuczliwy chłód
24) słuchowy lub rentgenowski
28) film Wajdy o pomordowanych oficerach
31) obok epiki i liryki
33) Nowe… – stolica Indii
34) teleturniej, zgaduj-zgadula
35) posiadaczka komórki płacąca co miesiąc
40) i faun, i lubieżnik
41) obrzęd, rytuał, określona etykieta
42) kwitnące i owocujące kaktusy
43) Taszkent jego stolicą
44) kolor lub roślina

Pionowo:
1) Mariza lub Żanna Biczewska
2) w powstaniu przenosiła rozkazy
3) torba foliowa na zakupy
4) wyrabia dzianiny
5) instrument Benny'ego Goodmana
6) w Halloween cukierek albo on
7) …z Loch Ness
8) figielek, drobny dowcip
15) gdy nią kręcić, gra pozytywka
16) aktówka lub skoroszyt
17) roślinny motyw z kolumny korynckiej
18) jego liście zawierają nikotynę
23) bada język i kulturę np. Apaczów
25) okres 50 lat
26) „Brzydula i…" Koterbskiej
27) komórkowa lub satelitarna
29) stolica z Partenonem
30) nazwisko dynastyczne, miasto lub pies
32) może zrzednąć
36) parasol – …przed deszczem
37) utwór do ćwiczeń
38) region w Grecji, Bułgarii i Turcji
39) kolczasty krzew owocowy

UKŁADANKA WIELKANOCNA

Jeżeli każdej literze słowa WIELKANOC przypiszemy punkty: W = 1, I = 2, E = 3, L = 4, K = 5, A = 6, N = 7, O = 8, C = 9, możemy z tych liter układać punktowane słowa. Na przykład WIEK będzie miał 11 pkt (1+2+3+5), LINIA – 21 pkt (4+2+7+2+6). Ułóż siedmioliterowy wyraz za 42 pkt i dziewięcioliterowy za 51 pkt.

wyraz siedmioliterowy
_ _ _ _ _ C _

wyraz dziewięcioliterowy
_ _ C _ _ _ _ _ _

PISANKI

Na każdej pisance jest fragment dziewięcioliterowego wyrazu. Odgadnij wszystkie wyrazy.

_ _ _ _ _ _ _ _ _

_ _ _ _ _ _ _ _ _

_ _ _ _ _ _ _ _ _

_ _ _ _ _ _ _ _ _

SUDOKU

W każdym rzędzie, w każdej kolumnie i każdym kwadracie 3 x 3 powinno się znaleźć 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

				2	6			
	5	2	8		3	1		
	8	1	4	9		3		
					1			
		9				5	7	
		4	7	5		2		
8						4		2
9	3	5			2			1
2			5			6		

TRUDNE

					4			3
		3		6				
9		4				2	6	
1			2		9			
				1			5	
	8						7	
		5			2			
		2		4	3			1
6						5		

Rozwiązania na s. 65

eprasa.pl 661d6f3dbf

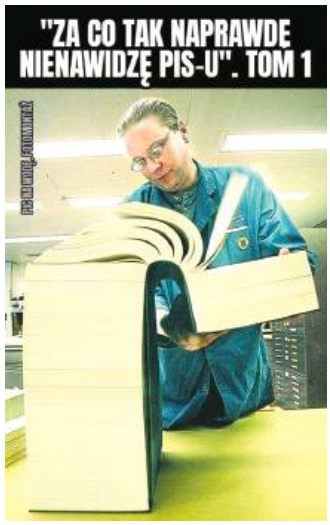

PENETRACJE

SZYMON MARCINIAK,
SĘDZIA PIŁKARSKI

Nie jestem robotem. Kontrowersje będą się pojawiały. Jednak cieszę się, że spełniłem wielkie marzenie. Jako chłopak mówiłem do starszych sędziów: „Zobaczycie, kiedyś będę sędziował w mistrzostwach świata". Kiwali głowami: „Szymon, Szymon, lepiej przygotuj sprzęt, jutro niedziela, musimy jechać na mecz do Czerna czy Gostynina". Dziś oni piszą do mnie: „Kurczę, miałeś rację!". Dlatego powtarzam, zwłaszcza młodym ludziom, że warto mieć marzenia, walczyć o nie. Choćby nie wiem jak były odległe, śmieszne dla innych. Ja, zwyczajny chłopak z Płocka i Słupna, wierzyłem w siebie. Nie bałem się pracy, wyzwań, dążyłem do celu i dzisiaj mam złoty medal z finału mistrzostw świata.

MACIEJ WOLDAN,
DZIENNIKARZ SPORTOWY

– Biorę pełną odpowiedzialność, to były moje wybory, moje pomysły (…). Jestem smutny, zawiedziony. Tak samo zawodnicy. Natomiast musimy schłodzić głowy, musimy porozmawiać o meczu, o tym, co możemy zrobić – stwierdził z klasą na pomeczowej konferencji Fernando Santos. Trzymając się bokserskiej nomenklatury, przed Portugalczykiem bardzo trudne zadanie – podnieść leżącą na deskach drużynę i zbudować zespół z charakterem. Gdzie szukać pocieszenia? Może w odwołaniu do przeszłości? Jedynym zagranicznym selekcjonerem, który osiągnął sukces z reprezentacją Polski, był Leo Beenhakker. O wiele trudniej w obecnych realiach będzie przywrócić sympatię zniesmaczonych kibiców i całego środowiska. Oby zimny, a wręcz lodowaty prysznic z Pragi pomógł. Bo przecież, zgodnie ze słowami Bednarka, „gorzej być nie może". Tylko czy aby na pewno?

PIOTR KRYWAK,
LITERATUROZNAWCA

Lem, wizjoner, pisarz i moralista, przez długi czas zdawał się surowym krytykiem cywilizacji i ostatecznie prorokiem destrukcji ludzkiego gatunku, przynajmniej w jego aktualnej postaci. Ostatni okres jego działalności literackiej był jednak fazą, w której górę – mimo ewidentnej sympatii do starej, „poczciwej", ale wciąż jeszcze w znacznym stopniu naturalnej ludzkości – brała fatalistyczna świadomość nieuchronności zmian i ich niechętna, lecz mimo wszystko akceptacja. Proroctwo dehumanizacji, najważniejsze, jak sądzę, proroctwo Lema, zapewne się ziści, może nawet przed końcem aktualnego stulecia.

KAROLINA GRUSZKA,
AKTORKA

Chorujesz na stwardnienie rozsiane. Czy choroba ma wpływ na twoje życie?

– Na co dzień w ogóle o niej nie myślę, bo dzięki leczeniu od lat nie mam żadnych objawów. Nie miałam też szczególnej potrzeby dzielenia się historią swojej choroby, ale mam poczucie, że społeczeństwo mylnie odbiera osoby chore na SM. Ludzie wyobrażają sobie, że po diagnozie prosta droga prowadzi na wózek inwalidzki. A w tej chwili dostępne są bardzo skuteczne leki, które hamują jej rozwój. Do tej pory za leczenie płaciłam sama, ale teraz lek, który przyjmuję dwa razy w roku, jest refundowany. Cały myk polega na tym, żeby wcześnie zacząć się leczyć, po to, by zachować pełną sprawność. Ja wiedziałam, czego szukać, do jakiego lekarza zgłosić się z moimi objawami, bo w otoczeniu mam osoby chorujące na SM.

FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (2), SEKCJA GIMNASTYCZNA (2)

eprasa.pl 661d6f3dbf

ROZWIĄZANIA

P	Ó	Ł	Ś	R	O	D	E	K	■	P	■	P	■	Ż	■
I	■	Ą	■	E	■	Z	■	L	I	S	T	O	P	A	D
E	N	C	Y	K	L	I	K	A	■	I	■	T	■	R	■
Ś	■	Z	■	L	■	E	■	R	Ę	K	A	W	I	C	A
N	■	N	■	A	K	W	E	N	■	U	■	Ó	■	I	■
I	D	I	O	M	■	I	■	E	K	S	T	R	A	K	T
A	■	C	■	Ó	■	A	U	T	O	■	E	■	K	■	Y
R	O	Z	T	W	Ó	R	■	■	R	Y	C	Z	A	Ł	T
K	■	K	■	K	■	Z	I	Ą	B	■	Z	■	N	■	O
A	P	A	R	A	T	■	N	■	K	■	K	A	T	Y	Ń
■	Ó	■	U	■	E	■	D	R	A	M	A	T	■	O	■
■	Ł	■	D	E	L	H	I	■	■	I	■	E	■	R	■
K	W	I	Z	■	E	■	A	B	O	N	E	N	T	K	A
■	I	■	I	■	F	■	N	■	S	A	T	Y	R	■	G
C	E	R	E	M	O	N	I	A	Ł	■	I	■	A	■	R
■	C	■	L	■	N	■	S	■	O	P	U	N	C	J	E
U	Z	B	E	K	I	S	T	A	N	■	D	■	J	■	S
■	E	■	C	■	A	■	A	■	A	M	A	R	A	N	T

ŁATWE

7	9	3	1	2	6	8	4	5
4	5	2	8	7	3	1	6	9
6	8	1	4	9	5	3	2	7
5	7	8	2	6	1	9	3	4
1	2	9	3	8	4	5	7	6
3	6	4	7	5	9	2	1	8
8	1	6	9	3	7	4	5	2
9	3	5	6	4	2	7	8	1
2	4	7	5	1	8	6	9	3

TRUDNE

5	6	1	7	2	4	8	9	3
8	2	3	9	6	5	4	1	7
9	7	4	8	3	1	2	6	5
1	5	6	2	7	9	3	4	8
2	4	7	3	1	8	9	5	6
3	8	9	4	5	6	1	7	2
4	1	5	6	8	2	7	3	9
7	9	2	5	4	3	6	8	1
6	3	8	1	9	7	5	2	4

PISANKI:
TERMOMETR LEGOWISKO
ASEKURANT MARSZAŁEK

UKŁADANKA WIELKANOCNA:
OKOLICA NOCOWANIE

Aby język giętki…

GRZEGORZ LATO
O ROBERCIE LEWANDOWSKIM
Wielki piłkarz musi brać na siebie odpowiedzialność za wynik i jedną akcją przesądzić o zwycięstwie. A kiedy to zrobił?

JERZY HOFFMAN
O POBYCIE NA SYBERII
Nauczyłem się bić, grać w karty, pić bimber, palić machorkę. Przeszedłem szkołę, która przydała mi się w dorosłym życiu.

SZYMON HOŁOWNIA
O PRZYSZŁOŚCI KACZYŃSKIEGO
Konfederacja i Ziobro kiedyś w końcu go zjedzą. Jako grupa młodsza, antysystemowa, polexitowa.

AGNIESZKA SMOCZYŃSKA
O KINIE NIEZALEŻNYM
Ono przestaje się opłacać, jest uznawane za zbyt ryzykowne dla inwestorów i producentów.

JOANNA TRZEPIECIŃSKA O SOBIE
Kochająca życie. Ciekawa świata. Ciągle w drodze. Bardziej zainteresowana człowiekiem poszukującym niż tym, który już wszystko wie.

BOŻENA DYKIEL
O PIECZONEJ NA ŚWIĘTA INDYCZCE
Koniecznie indyczka, nie indyk. Indyczka będzie zawsze bardziej soczysta i delikatna. Jak ją rozpoznać w sklepie? Indyczka ma krótkie nogi i bardziej dorodną pierś.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 661d6f3dbf

Eryk Lipiński,
Bolesław IV Kędzierzawy,
1981

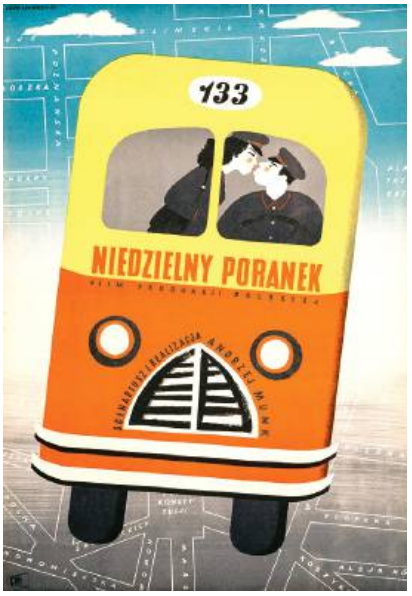

Eryk Lipiński, plakat do filmu
„Niedzielny poranek", 1955

Eryk Lipiński i Ha-Ga, ilustracja z książki
„Opowiedział dzięcioł sowie", 1946

Lipińskich dwóch

Muzeum Karykatury obchodzi w tym roku 45-lecie. Przygotowało z tej okazji dwie równoległe prezentacje poświęcone swojemu założycielowi i patronowi Erykowi Lipińskiemu: „Zrobiłem projekt. Grafika użytkowa Eryka Lipińskiego" oraz „Miej oko. Teodor i Eryk Lipińscy". Obaj Lipińscy, ojciec i syn, nie tylko byli utalentowanymi twórcami karykatur i rysunków satyrycznych, ale też interesowali się żywo historią tej dziedziny. Właśnie pasja kolekcjonerska Teodora – zbieranie wycinków prasowych z karykaturami rozmaitych autorów – kontynuowana później przez Eryka, dała początek muzeum.

Muzeum Karykatury
Warszawa, ul. Kozia 11
do 18 czerwca

Patronat **Przeglądu**

Teodor Lipiński, Henryk III Walezy, przed 1914

Teodor Lipiński, Lalki polskie, ok. 1915

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 661d6f3dbf

Fundacja Dziecięca Fantazja

Twoje 1,5%

daje siłę i nadzieję

ciężko chorym dzieciom

KRS 0000168783

eprasa.pl 661d6f3dbf

TEATR CAPITOL

PRZEBOJOWE KOMEDIE ◆ GWIAZDORSKIE OBSADY ◆ PRZEDSTAWIENIA DLA DZIECI

Kiedy kota nie ma...

W KWIETNIU POLECAMY

O co biega?

Potężna dawka energii i znakomita zabawa gwarantowane!

Kiedy kota nie ma...
1, 16, 23, 27 kwietnia

O co biega?
20, 25 i 30 kwietnia

◆ KUP BILET TEATR CAPITOL 2023 ◆ www.teatrcapitol.pl ◆

Patroni Medialni: RMF MAXX, Tygodnik, Rzeczpospolita, ams, onet, Przegląd, Kobiety, Familie.pl

Partnerzy Teatru: Strefa Music, O bag, kicket, Aktywna Warszawa, mzo, mokosh

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 661d6f3dbf